

Janelle Taylor

**STRACH W
CIEMNOŚCI**

*Moim przyjaciołom, rdzennym Amerykanom:
Nation, Rayowi Traceyowi, Jackie i Chuchowi Harrisom,
Camille Gordon i Patowi Parkerowi*

Rozdział 1

Cześć, jeszcze raz Beau Somerville. Jordan, odebrałem w piątek wiadomość, że nasze sobotnie spotkanie jest nieaktualne. Mam nadzieję, że i ty odsłuchałaś moje nagranie. Chciałem zobaczyć się z tobą jutro wieczorem, ale niestety muszę to odwołać. Zadzwoń, może uda nam się spotkać przed moim wyjazdem na urlop, w przyszłym tygodniu. Przepraszam. Cześć.

Jordan Curry westchnęła, gdy męski głos o kreolskim akcencie umilkł, a automatyczna sekretarka dwukrotnie zapiszczała, co oznaczało koniec drugiej tego dnia wiadomości. Pierwszą zostawili rodzice, przypominając, że na trzy tygodnie wybierają się na Alaskę.

Clark Curry niedawno przeszedł na emeryturę. Uczył wiedzy o społeczeństwie w liceum, do którego kiedyś chodziła Jordan. Przysiągł sobie, że resztę życia poświęci na podróże po świecie. Naturalnie matka Jordan była zachwycona jego planem. W końcu przez trzy szczęśliwe dekady małżeństwa była zachwycona wszystkim, co wymyślił.

Jordan przysiadła na różowo-kremowej kanapie i zsunęła z nóg granatowe pantofle na niskim obcasie.

A więc Beau Somerville znów przekłada naszą randkę w ciemno, pomyślała, masując obolałe stopy. Może naprawdę był zajęty. A może nie. Najprawdopodobniej wcale nie miał ochoty na spotkanie z obcą kobietą, mimo, że niedawno przyjechał z Waszyngtonu i prawie nikogo tu nie znał.

Jordan ze wszystkich sił opierała się Andrei MacDuff, która chciała ją wyswatać. Ale jej najbogatsza klientka, żona senatora Luizjany Harlana MacDuffa, nie uznawała odpowiedzi odmownej. Zakładała, że jej życzenie jest dla Jordan rozkazem.

Wychowanej na Południu, konserwatywnej i staromodnej Andrei nie mieściło się w głowie, że Jordan nie szuka męża. Nie rozumiała, że prowadzenie dobrze prosperującej firmy cateringowej może

dawać taką samą satysfakcję jak małżeństwo.

Beau poprosił, żeby do niego zadzwoniła i umówiła się na jakiś inny dzień. Może więc później zadzwoni. Jeśli będzie miała ochotę. Na razie chciała tylko zdjąć dopasowany kostium i rajstopy, w których była na spotkaniu z nowym klientem, włożyć szorty i T-shirt, wyciągnąć się na kanapie, żeby przejrzeć magazyn kulinarny i najnowsze wydanie *Życia Marthy Stewart*.

Wzięła w jedną rękę pantofle, a w drugą wypchaną, skórzaną aktówkę. Wstała i przeszła po puszystym dywanie w stronę schodów, prowadzących do sypialni. Po drodze zapalała lampy.

Choć nie było jeszcze późno, czerwcowe niebo pociemniało. Zbierało się na burzę.

Zatrzymała się w przedpokoju na piętrze, żeby przestawić klimatyzator. Dotychczas, wchodząc do domu - wilgotność powietrza na dworze wynosiła dziewięćdziesiąt pięć procent - czuła miły chłód. Teraz się dusiła. To było jej trzecie gorące lato w Georgetown, ale wciąż nie przywykła do zamykania okien i włączania klimatyzacji.

Wychowała się w małym miasteczku w Pensylwanii, u stóp gór Allegheny, gdzie klimatyzacja była tylko w supermarketach i szpitalu. Jordan lubiła letnie wieczory, gdy do snu kołysała ją cykanie świerszczy, cichy dźwięk poruszanych wiatrem dzwoneczków, odległe strzępy rozmowy rodziców i skrzypienie huśtawki na ganku, gdzie zwykle siadywali.

Przy zamkniętych oknach i stale włączonym klimatyzatorze czuła się jak w izolatce - ale w tej części kraju nie można było żyć inaczej.

Spojrzała z zadowoleniem na jasnożółte, przecierane ściany i białe sztukaterie w sypialni. Ekipa remontowa skończyła malowanie zaledwie przed tygodniem. Poprzednio ściany były niebieskie. Choć pokój był obszerny, miała wrażenie, że jest zamknięta w klatce.

Postanowiła, że jej dom będzie teraz utrzymany w odcieniach wiosny. Nowa, zielono-żółta kołdra w kwiaty od Ralphi Laurena i sprowadzona z Egiptu pościel leżały jeszcze w zapinanych, plastikowych torbach przy dużym łóżku. Niedawno kupiony

dywanik, który miał przykryć część błyszczącej, drewnianej podłogi, stał zwinięty w rogu pokoju.

Jordan ziewnęła, zastanawiając się, czy powinna otworzyć paczki z zakupami i rozwinąć dywan. Nie, była zbyt zmęczona, żeby zajmować się urządzeniem domu - podobnie jak każdego poprzedniego wieczoru w tym tygodniu. Może zabierze się do tego jutro, skoro pan Beau Somerville ponownie odwołał randkę. Dobrze się stało. Niepotrzebnie zgodziła się na spotkanie.

Pomyślała, że całkowicie zadowalają ją samotne wieczory w domu. Gdyby miała czas, bardzo chętnie zajęłaby się pracami domowymi, które uwielbiała od dzieciństwa: pieczeniem ciast, urządzeniem pokoi, ogrodnictwem, robieniem na drutach...

Ale nie chciała się oszukiwać. Takie hobby było dobre dla ludzi, prowadzących inny tryb życia. Ile kruchych ciasteczek domowej roboty może zjeść jedna osoba, zanim zacznie żałować, że nie ma kogo nimi poczęstować?

Urządzanie nieciekawych pokoi w niewielkim segmencie z tarasem w Georgetown to nie to samo, co prowadzenie prawdziwego, zamieszkanego przez kilka osób domu z pokojem dzieciennym i bawialnią. I choć całe kwadratowe, brukowane patio i żeliwne kwietniki były zajęte przez jednoroczne rośliny w glinianych doniczkach, a na balustradach balkonu wisały skrzynki z wonnymi ziołami, to przecież nie mogło się to równać z uprawianiem prawdziwego ogródka.

Po wydzierganiu na drutach niezliczonych prezentów na śluby znajomych oraz dla ich małych dzieci, nawet najbardziej zadowolona z siebie samotna kobieta zaczęłaby w końcu żałować, że nie ma własnej rodziny.

Jordan zdjęła kostium i otworzyła dwudrzwiową szafę. Włożyła zakiet i spódnice do kosza, w połowie wypełnionego rzeczami, które miała zawieźć do pralni chemicznej. Gdy wsuwała kosz do szafy, zaczęła o plastikową torbę, wiszącą z tyłu.

Marszcząc brwi, starała się odsunąć na bok długą torbę, zawierającą masę białej, jedwabnej organdy. To była jej suknia ślubna. Kosz zawsze zaczepiał o torbę z nią, przypominając Jordan dzień, o którym wolałaby zapomnieć.

- Trzeba się wreszcie pozbyć się tej cholernej sukni! - warknęła do siebie, zatraskując drzwi szafy.

Ale przecież to byłoby jeszcze bardziej bolesne. Musiałaby ją wyjąć, znieść na dół, włożyć do samochodu, znów wyjąć i dać... Komu daje się suknie ślubne, noszone zaledwie czterdzieści pięć minut? Tak długo to trwało. Jordan, niedoszła panna młoda, przyjechała limuzyną do ozdobionego kwiatami wiejskiego kościółka z domu rodziców. Pozowała do kilku zdjęć, samotnie i potem w towarzystwie rodziców oraz Phoebe, pierwszej druhy.

Potem stała w drzwiach kościoła, kurczowo ściskając ramię ojca. Pastor znieruchomiał przy pulpicie, organista cztery razy odegrał *Kanon D-dur* Pachelbela, a przybyli goście patrzyli to na Jordan, to na ołtarz, przy którym nikt na nią nie czekał. Wreszcie w bocznych drzwiach pojawił się ubrany w smoking brat Kevina, David Sanders. Podbiegł do pastora i szepnął mu coś do ucha.

Serce Jordan waliło jak młot, wiązanka z białych lilii drżała w dłoniach. David pośpiesznie wyszedł z kościoła, a pastor, z bardzo poważną miną, ruszył w jej stronę. Wiedziała, co się stało. Nie musiał jej mówić. To było oczywiste. Może nawet podświadomie się tego spodziewała, choć za nic nie dopuściłaby do siebie takiej myśli.

Kevin, którego kochała od szkoły średniej, zmienił zdanie. Nie miał zamiaru pojawić się w kościele. Nie chciał jej pojąć za żonę.

Jordan skrzywiła się na wspomnienie bólu i upokorzenia, jakie wtedy czuła. Przypomniała sobie gości, siedzących w kościelnych ławkach i patrzących na nią z politowaniem.

Phoebe objęła Jordan ramieniem. W jej oczach lśniły łzy współczucia. Matka poderwała się ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie i podbiegła do córki, żeby natychmiast zabrać ją z kościoła, jak najdalej od wścibskich spojrzeń gości. Tata zaprowadził je wszystkie z powrotem do limuzyny.

Andy, młodszy brat Jordan, wraz z innymi друзbami zdążył już przywiązać do zderzaka sznury z pustymi puszkami i umieścić na tylnej szybie karton z napisem NOWOŻEŃCY. Puszki z hałasem podskakiwały na asfalcie, gdy limuzyna wiozła do domu milczącą niedoszłą pannę młoda i jej bliskich. W swoim pokoju Jordan zdjęła suknię ślubną i rzuciła ją na podłogę, po czym z rozpaczą opadła na

łóżko.

Praktyczna Phoebe, która pochodziła z niebogatej rodziny i sama niedawno wyszła za mąż, podniosła ją z ziemi, powiesiła na wieszaku i przykryła plastikowym pokrowcem.

- Kosztowała kilkaset dolarów i jest nowiutka. Możesz ją sprzedać - powiedziała, gdy Jordan jęczała, że zaraz wyrzuci suknię do najbliższego śmietnika.

Jordan w końcu przyznała, że Phoebe miała rację. Ślubną kreację można było sprzedać. Albo wyrzucić. Ale jedno i drugie byłoby kłopotliwe. Musiałyby spojrzeć na suknię, dotknąć jej, pomyśleć o tamtym dniu, o Kevinie i wspólnych planach na przyszłość, które on tak brutalnie przekreślił.

Nie miała zamiaru brać ze sobą ślubnego stroju, gdy przed rokiem wyprowadziła się od rodziców i przewiozła resztę rzeczy do Waszyngtonu. Położyła go, wciąż w plastikowym pokrowcu, na kartonowym pudle pełnym śmieci. Była pewna, że ludzie, których wynajęła do przeprowadzki, wyrzucili pudło. Dopiero w Georgetown, rozpakowując swoje rzeczy, zorientowała się, że przewieźli nie tylko suknię, ale i pudło ze śmieciami.

Nie wiedziała, czy się śmiać, że zapłaciła za transport śmieci - w tym cuchnących odpadków z kuchni - na odległość czterystu pięćdziesięciu kilometrów, czy raczej płakać na widok wyszywanej paciorkami białej sukni, która chyba miała ją prześladować do końca życia. Zatem... Suknia wisiała w szafie, choć minęły już cztery lata od czerwca, w którym nie doszło do ślubu.

Słyszała, że niedługo po jej wyjeździe z miasteczka Kevin ożenił się z dziewczyną, która chodziła z nimi do szkoły, tylko była o kilka klas niżej. Wraz z żoną nie tracili czasu, mieli już dwoje dzieci.

Wciągając T-shirt przez głowę, Jordan zauważyła swoje odbicie w lustrze na drzwiach szafy. Z luźnego koka, w który uczesała się rano, wysunęły się pasma długich, ciemnych włosów. Miała dyskretny, elegancki makijaż, podkreślający jej duże, zielone oczy, ładne kości policzkowe i pełne usta.

Makijaż ją drażnił. Nie lubiła się malować, ale robiła to codziennie, bo spotykała się z ważnymi klientami. Zauważyła, że jest bledsza niż zwykle. A może to tylko złudzenie, bo coraz częściej

widowała opalonych ludzi. Przecież zaczęło się lato.

Kiedyś było ono dla Jordan synonimem odsłoniętej, opalonej na złoto skóry. Ona i Phoebe co dzień leżały na podwórku w kostiumach kąpielowych, wysmarowane nie kremem ochronnym, a jedynie olejkiem. Były zbyt młode i próżne, żeby bać się szkodliwego promieniowania i raka skóry.

To były czasy, pomyślała kwaśno. Kiedy ostatni raz się opalała? Przypomniała sobie, że wczoraj kazała przyciemnić przednią szybę w samochodzie, bo raziły ją promienie słoneczne.

„Potrzebujesz urlopu”. Jej współnik i kolega ze studiów, Jeremy Van Pragh, mówił to bardzo często - co tydzień, a ostatnio nawet codziennie. Jordan nigdy go nie słuchała. Gdy Jeremy wykorzystywał zimowy zastój w interesach, żeby polecieć na Karaiby, ona nadrabiała zaległości w dokumentach i eksperymentowała w kuchni, gotując potrawy według nowych przepisów.

Teraz patrząc na własne odbicie w lustrze, pomyślała o swoim życiu. Osiągnęła tak wiele... ale wydawało się też, że wielu rzeczy brakuje jej do szczęścia.

Firma cateringowa odniosła sukces, który przekroczył najśmielsze marzenia Jordan i Jeremy'ego. Choć działała zaledwie trzy lata, na liście stałych klientów były już nazwiska ludzi liczących się na arenie politycznej i społecznej.

Pierwszy raz w życiu Jordan miała pod dostatkiem gotówki, spore oszczędności na koncie, fundusz emerytalny oraz rosnący pakiet inwestycyjny. Miała też nowy samochód, kartę członkowską elitarnego klubu sportowego, mnóstwo ubrań - zarówno eleganckich, jak i swobodnych - oraz świeżo odnowiony segment z wykonanymi na zamówienie mebla mi i zasłonami, nowoczesnymi urządzeniami kuchennymi oraz elektronicznym sprzętem.

Tylko że była zbyt zajęta, żeby jeździć swoim czarnym kabrioletem bmw dokądkolwiek poza pracą, na większości swobodnych strojów wciąż były metki, a ona nie umiała obsługiwać połowy młynków i mikserów.

Nie obejrzała ani jednego filmu na DVD, nie wysłuchała ani jednej płyty z odtwarzacza, nie surfowała też po Internecie i nie

wysłała ani jednego e-maila z komputera, który miała w domu.

Stojąc w sypialni - o wiele za dużej dla jednej osoby - pomyślała o Andrei MacDuff, której zdaniem takie życie nie miało sensu. Andrea nie wiedziała, że Jordan nie zbliżyła się do żadnego mężczyzny - nikogo nawet nie pocałowała - odkąd Kevin porzucił ją przy ołtarzu. Co prawda Jordan nie zgadzała się ze staroświeckimi poglądami Andrei na temat kobiet, kariery i małżeństwa, ale... Może nadszedł już czas, żeby znów zacząć się umawiać. Nawet na randki w ciemno.

Włożyła szorty i zeszła na dół, żeby poszukać numeru telefonu Beau Somerville'a.

Beau nawet nie oderwał wzroku od monitora, gdy w kieszeni zadzwonił mu telefon komórkowy. Właśnie zmieniał plany kuchni na parterze dobudówki wiejskiego domu MacDuffów w Wirginii. Andrea uparła się na wysepkę w kształcie litery L, mimo że Beau ostrzegał ją, że to zaburzy porządek pomieszczenia. Kobieta była jednak nieugięta, choć nie wskazywał na to jej subtelny wygląd i łagodny głos. Przypominała matkę Beau. Prawdziwa stalowa magnolia.

Po trzecim dzwonku z odrazą sięgnął po telefon, jakby chciał uciszyć natrętnego komara. Otworzył klapkę, wciąż wpatrując się w monitor komputera. Czuł pulsowanie w głowie, a plecy bolały go od kilkugodzinnego przesiadywania w tej samej pozycji. Czasami tęsknił za staromodną metodą projektowania, na papierze, a nie w komputerowym programie.

- Beau Somerville - mruknął do słuchawki, przesuając na ekranie część wysepki tak, żeby była prostopadła do reszty.

Przez chwilę nic się nie działo.

- Cześć - powiedział nieznajomy kobiecy głos. - Dziwię się, że nie trafiłam na pocztę głosową.

- Nie ustawiłem jej jeszcze w telefonie komórkowym - odpowiedział, wciąż trzymając dłoń na myszce.

- Och... To jest telefon komórkowy? Przepraszam, chciałam zadzwonić pod drugi numer. Andrea podała mi oba, ale myślałam, że ten jest domowy...

- Andrea?
 - MacDuff.
 - A jest jakaś inna?
- Uśmiechnął się mimowolnie.
- Ty jesteś Jordan tak? Jordan Curry?
 - A jest jakaś inna?

Zaśmiał się, zaskoczony ripostą. Może niepotrzebnie odwołał jutrzejsze spotkanie. Wcale nie miał powodu tego robić. Kierował nim... Po prostu strach. Nie chciał się z nikim wiązać. Spędził kilka miesięcy w Waszyngtonie po rozstaniu z Lisa, która myślała, że Beau ją poślubi, spłodzi z nią dzieci i zbuduje jej wymarzony dom. A przed Lisa...

Nie chciał sięgać pamięcią do tamtych czasów. Zmusił się, by wrócić do teraźniejszości, ale było już za późno. Sama myśl o tamtym wspomnieniu sprawiła, że poczuł w sercu chłód.

- Odebrałaś moją wiadomość? - zapytał Jordan, która podobno była najładniejszą, najinteligentniejszą i odnoszącą największe sukcesy kobietą w całej okolicy. Och, i piekła „ciasto pralinkowe, z którego byliby dumni potomkowie Somerville’ów i Awlinsów”, jak powiedziała Andrea.

- Tak, odebrałam - odpowiedziała oficjalnym tonem, jakby omawiali sprawę służbową. - Chcesz się umówić na kiedy indziej?

Właściwie nie. Miał nadzieję, że po kilku telefonach i nieudanych próbach spotkania znajomość się urwie i Jordan zostawi go w spokoju.

- Jasne - powiedział, bo przecież taką wiadomość zostawił na jej automatycznej sekretarce.

Z irytacją stuknął w kilka klawiszy, żeby usłyszała, jaki jest zajęty. Miałby pretekst, żeby urwać rozmowę. Zapytał równie oficjalnie jak ona:

- Kiedy chcesz się spotkać?
- To zależy od ciebie.

Miała niski, zmysłowy głos, bez śladu regionalnego akcentu. Beau był tak zmęczony cedzeniem Lisy, że teraz z przyjemnością słuchał Jordan. Lisa wychowała się na Środkowym Zachodzie, ale uważała się za adoptowaną piękność z Południa. Studiowała w

Tulane. Chyba tam zaczęła rozjaśniać swoje brązowe włosy, kupiła niebieskie soczewki kontaktowe i z zapalem uczyła się południowego akcentu. Na wspomnienie jej słodkiego głosu zadrżał z irytacji.

- Może w sobotę? - zaproponował.

- Pojutrze czy w przyszłym tygodniu?

- W przyszłym tygodniu wyjeżdżam na urlop, więc pojutrze - wyjaśnił, zastanawiając się, co, do cholery, wyprawia. To, że ta kobieta miała inny głos niż Lisa, nie oznaczało, że powinien się z nią umówić. Nie powinien chodzić na randki. Już nigdy.

- Pojutrze? - Usłyszał szelest przewracanych kartek notatnika. - Mam wolny wieczór - powiedziała.

Ale w jej głosie nie było słycać szczerzego zadowolenia. Cóż, przecież to ona oddzwoniła. Gdyby nie chciała się z nim spotykać, nie powinna była telefonować.

- Świetnie - powiedział, równie nieudolnie jak ona udając entuzjazm. - Zjemy razem kolację?

- To dobry pomysł.

- W porządku.

- Gdzie chcesz się spotkać?

Podał nazwę restauracji, ona - godzinę i rozłączyli się. Beau zastanawiał się, czy zapisać te informacje w elektronicznym notesie. Nie, nie zapomni. Przecież to tylko dwa dni.

Skrzywił się, patrząc na monitor. Kuchenna wysepka zasłaniała teraz drzwi do sieni. Jak to się stało?

Umówił się na randkę z Jordan Curry. Jak to się stało?

Beau pokręcił głową. Szczerze zapragnął udusić Andreę MacDuff?

Nieco ponad dwadzieścia cztery godziny później Jordan wysiadła ze swojego bmw i pobiegła do drzwi. Padało. Co za dzień! Wieczór też był okropny. Palce bolały ją od drylowania wiśni do galaretki, którą zrobiła na sobotni wieczór paniński, organizowany przez jej firmę. Bolały ją też ramiona i barki. A właściwie całe ciało. W dodatku przemokła do suchej nitki. Ulewny deszcz, który zaczął się z hukiem w środku nocy, ani na chwilę nie zelżał. W jego

strugach świat wydawał się szary.

Jordan marzyła o tym, żeby wbiec do suchego, ogrzewanego domu, przebrać się i wyciągnąć na kanapie z Życiem Marthy Stewart. Poprzedniego wieczoru była tak zmęczona, że przysnęła nad czasopismem. W końcu poddała się i poszła spać.

Stała jak wryta przed schodami. Ktoś kulił się pod występem dachu, osłaniającym górny stopień, który był za wąski, by uchodzić za podest. To nie jest jeden człowiek, pomyślała Jordan, patrząc na postać w ciemnym płaszczu przeciwdeszczowym. Rzeczywiście, stały tam dwie osoby. Druga sięgała tej pierwszej do połowy uda i również była okryta płaszczem.

- Jordan?

- Mój Boże! - Jordan rozpoznała głos swojej najlepszej przyjaciółki. - Phoebe!

Wbiegła po schodach i uściśnęła kobietę.

- Co tu robicie? - zapytała, patrząc na mały fragment twarzy Phoebe widoczny spod kaptura, a potem na dziecko, które kurczowo trzymało przyjaciółkę za nogę.

- Czekamy na ciebie - odpowiedziała Phoebe.

- Długo? Czyżbyście uprzedzili mnie o przyjeździe? - Jordan na pewno by o tym pamiętała. Wizyta Phoebe to ważne wydarzenie. Nie zapomniałaby o czymś takim.

- Nie, nic nie wiedziałas - uspokoiła ją Phoebe. - Czekamy krótko. Nie wiedziałam, gdzie cię szukać. Przyjechaliśmy taksówką z dworca, mogłam powiedzieć kierowcy, żeby zaczekał.

- Teraz to już bez znaczenia. - Jordan wyjęła klucze i otworzyła drzwi. - Wejdzmy do środka. Czy to Spencer? Dlaczego nie zadzwoniłaś i nie powiedziałaś mi, że przyjeżdżacie?

- Tak, to jest Spencer - powiedziała krótko Phoebe i przeszła z synem przez próg.

Oszołomiona Jordan poszła za nimi. Nie spodziewała się, że jej najbliższa przyjaciółka z dzieciństwa nagle pojawi się pod jej domem. Nie widziała Phoebe od... Ile czasu już upłynęło? Przypomniała sobie ich ostatnie spotkanie, w ciszy zakładu pogrzebowego w rodzinnym mieście Glen Hills, i wyliczyła, że minęło jakieś półtora roku. Wtedy zmarł ojciec Phoebe. To stało się

w czasie ferii.

Dobrze pamiętała telefon, który odebrała pewnego wieczoru i nagły wyjazd do domu. Pamiętała, jak zaskoczył ją łamiący się głos przyjaciółki w słuchawce. Phoebe od kilku lat - czyli od swojego ślubu z Reno i przeprowadzki do Filadelfii - kontaktowała się z nią bardzo rzadko. Ale w czasie tamtej rozmowy czas i odległość nie miały znaczenia.

- Jordan, mój tata nie żyje - powiedziała Phoebe przez łzy. Jordan płakała razem z nią.

Oczywiście Jordan była na pogrzebie. Poleciała do Erie małym samolotem i wróciła tego samego dnia, bo jej firma organizowała wesele rzecznika parlamentu. Teraz przypomniała sobie, jak mocno uściśnęła ją Phoebe, gdy stały przy trumnie. Reno odciągnął żonę, mówiąc, że pastor ma do niej jakąś sprawę. Spencera nie było na cmentarzu. Zostawili go z opiekunką w domu Curta, starszego brata Phoebe.

- Ile masz już lat, Spencer? - zapytała Jordan, kucając obok swojego chrześniaka. Ostatni raz widziała go, kiedy był jeszcze niemowlęciem.

- Trzydzieści jeden.

- Nie, Spence, to ja mam trzydzieści jeden lat - poprawiła Phoebe z lekkim uśmiechem. - On niedługo skończy cztery - wyjaśniła - ale ma bardzo bujną wyobraźnię.

Jest piękna jak zwykle, pomyślała Jordan, patrząc z podziwem na jej długie blond włosy, ściągnięte w kucyk. Phoebe wychudła. Zawsze była szczupła, ale teraz miała zapadnięte policzki i podkrążone oczy, jakby ostatnio źle spała.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteście! - Jordan zdjęła mokry płaszcz przeciwdeszczowy i rzuciła go na krzesło. - Co za niespodzianka! Czy Reno z wami przyjechał?

- Nie. Ładnie tu. - Phoebe rozejrzała się po przedpokoju z lśniąca podłogą z desek i tapetą w kasztanowo-kremowe prążki.

- Dziękuję. Właśnie skończyłam remont.

- Zamoczymy ci chodnik - powiedziała Phoebe, wskazując tkany dywanik pod stopami.

- Po to tu jest. - Patrząc na przyjaciółkę, Jordan uświadomiła

sobie, że coś jest nie tak. Nie chodziło tylko o Phoebe, ale też o jej syna i całą tę scenę.

Phoebe, zawsze cicha - co pogłębiało się z każdym rokiem małżeństwa - wydawała się jeszcze bardziej spłoszona niż zwykle. Może nawet przerażona. Z trudem rozpięła guziki płaszcza przeciwdeszczowego. Mały Spencer stał bez ruchu. Jego duże brązowe oczy osadzone pod gęstymi prostymi brwiami też wyglądały na przestraszone.

- Co się stało, Phoebe? - W głowie Jordan kłębiły się myśli. Czyżby jej przyjaciółka odeszła od Reno? Jeśli tak...

Najwyższy czas. Jordan nigdy nie lubiła tego przystojnego, ciemnowłosego mężczyzny, który zakreślił Phoebe w głowie i szybko się z nią ożenił. Niechęć Jordan nie znajdowała uzasadnienia w jego słowach ani czynach. Bardzo słabo się znali, więc mogła oceniać jego charakter, kierując się wyłącznie instynktem. Ale przecież czasami instynkt wystarcza.

- Phoebe? - ponagliła przyjaciółkę, która unikała jej wzroku. - Co się stało?

- Ja... nie mogę tego wyjaśnić. Jeszcze nie. - Phoebe wskazała głową na syna.

Chciała ukryć przed Spencerem prawdziwy powód ich wizyty. Jordan nie naciskała. Wzięła płaszcz Phoebe i patrzyła, jak przyjaciółka zdejmuje Spencerowi kurtkę. Powiesiła ich okrycia oraz swój trencz nad nieużywaną wanną w łazience przy kuchni. Wprowadziła gości do salonu i zapytała, czy się czegoś napiją.

- Masz soczki w kartonikach? - zapytał Spencer.

- Soczki w kartonikach? - powtórzyła Jordan z zakłopotaniem. Przykucnęła obok chłopca. - Niestety, soczki się skończyły, ale w lodówce jest kilka ładnych pomarańczy. Mam wyciskarkę do owoców, której nigdy nie używałam. Chętnie ją wypróbuję.

- Nie trzeba - powiedziała szybko Phoebe. - Może się napić mleka. Albo wody - dodała, widząc minę Jordan.

- Wodę mam. - Jordan zaprowadziła gości do kuchni z podłogą z białych płytek, glazurą w niebieskie cętki i szarymi, granitowymi blatami. Niektóre z białych szafek miały oszklone drzwiczki, przez które było widać zastawę w kolorze kobaltowym. Znalazło się tu

miejsce dla sześciopalnikowej kuchenki Viking ze stali nierdzewnej oraz dużej lodówki. W rogu stał dystrybutor wody z dużą, niebieską butlą.

- Przykro mi, że nie mam mleka - powiedziała przez ramię. - Nie kupuję go, odkąd przestałam pić kawę w domu. W drodze do pracy wstępuję do Starbucks. Tak jest o wiele wygodniej. Ale... jeśli chcesz, zaparzę ci kawy - zaproponowała przyjaciółce. - Albo możemy się napić wina.

- Nie, dziękuję. Ja też poproszę o wodę. - Phoebe pomogła Spencerowi wdrapać się na wysoki, drewniany taboret przy bufecie i usiadła przy nim, patrząc, jak Jordan wyjmuje trzy ładne, niebieskie szklanki.

Napełniając je, Jordan zastanawiała się, które z kłębiących się w jej głowie pytań może zadać, nie będąc zbyt wścibską. W końcu podjęła decyzję.

- Zostaniecie na noc?

Phoebe milczała. Jordan odwróciła się i spojrzała na przyjaciółkę. Na twarzy Phoebe malowało się zdenerwowanie i troska.

- Masz pokój gościnny? - zapytała Phoebe.

- Mnóstwo - powiedziała Jordan. - Rozejrzyj się. Mieszkam tu sama. Jest bardzo dużo miejsca, zostańcie, jak długo chcecie. Obok mojej sypialni jest jeden pokój, a kanapa w salonie się rozkłada, więc można tam spać.

- Masz telewizję kablową? - zapytała Phoebe, zerkając na syna, który rozglądał się po kuchni. Jordan potaknęła z uśmiechem.

- Tak, mam tu nawet kablówkę?

- Spencer lubi program na kanale Disneya, nadawany codziennie mniej więcej o tej porze - powiedziała Phoebe. - Mogę mu włączyć telewizor?

- Nie ma sprawy. Ja to zrobię. Chodź, Spencer, weź ze sobą wodę, a ja poszukam jakiejś przekąski.

- Masz plastikowe kubki? - zapytał Spencer, patrząc na szklankę, którą trzymała w dłoni. - Ta szklanka jest za duża. Mogę rozlać wodę.

- Nie mam nic plastikowego - wyznała z żalem Jordan. - Ani

nawet papierowych kubeczków. Ale niczym się nie przejmuj, jeśli rozlejesz wodę, trudno.

- Szklanka może się stłuc - niepokoił się Spencer.

- No to się stłucze. Mam ich dużo. Chodźmy, usiądziesz przed telewizorem. Zaraz wrócę, Phoebe.

Znalezienie kanału Disneya zajęło jej dobrych kilka minut. Gdy wróciła do kuchni, Phoebe wciąż siedziała przy bufecie, nad nietkniętą szklanką wody. Oparła podbródek na dłoni. Wyglądała, jakby się czymś bardzo martwiła.

- Powiedz, co się dzieje - poprosiła cicho Jordan, siadając na taborecie Spencera. - Dlaczego przyjechaliście? Dlaczego bez Reno? Czy coś się stało?

Phoebe kiwnęła głową, przeczesując dłonią włosy. Spojrzała Jordan w oczy. Na jej twarzy malował się strach.

- Reno jest w domu, w Filadelfii.

Czyli przecucie Jordan się potwierdziło. Phoebe od niego odeszła. Ale dlaczego? Czy ją skrzywdził?

Z łatwością mogła sobie wyobrazić, że wpadający w skrajne nastroje Reno bije Phoebe, a nawet syna. Podczas kilku spotkań z obojgiem zauważyła, że często obejmuje żonę, ale nie widziała w ich małżeństwie szczerego uczucia. Nie dostrzegała też związku ojca z synem. To Phoebe cały czas opiekowała się Spencerem, gdy był malutki, to ona zmieniała mu pieluchy, karmiła go i bawiła się z nim. Reno wcale się w to nie angażował.

- Wszystko będzie dobrze, Phoebe. - Jordan pocieszającym gestem dotknęła ramienia przyjaciółki. Było tak przeraźliwie chude, że pod palcami czuła wystające kości. - Jesteś kłębkim nerwów. Wiem, że trudno jest przejść przez coś takiego, ale...

- Nie, Jordan, nie jest tak, jak myślisz - powiedziała Phoebe, zerkając lękliwie w stronę salonu, gdzie ryczał telewizor.

- Nie rozstajesz się z Reno?

- Nie.

Jordan była rozczarowana i coraz bardziej zaniepokojona. Najwyraźniej stało się coś złego. Phoebe nie zamierzała się rozwieść, ale przyjechała do niej ze Spencerem, podczas gdy Reno został w Filadelfii. O co więc mogło chodzić? Rodzice Phoebe już nie żyli.

Miała tylko starszego brata.

- Czy coś się stało Gurtowi? - zapytała Jordan, chociaż nie wierzyła, żeby to była przyczyna zmartwienia przyjaciółki.

Phoebe nigdy nie była blisko związana ze swoim jedynym bratem, owocem krótkiego, pierwszego małżeństwa jej ojca. Curt był od niej starszy niemal o całe pokolenie. Nawet gdyby spotkało go coś złego, Jordan nie wyobrażała sobie, żeby z tego powodu rozdygotana Phoebe bez uprzedzenia przyjechała właśnie do niej.

- Nie, nie Gurtowi... To... - Phoebe znów urwała. Wyraźnie posmutniała.

O, nie! Jordan jeszcze raz spojrzała na wymizerowaną, zropaczoną przyjaciółkę. Czyżby Phoebe była poważnie chora?

- Musisz mi powiedzieć - nalegała. Żołądek ścisnął jej się ze strachu. - Przerażasz mnie.

- Ja też się boję, Jordan - szepnęła Phoebe. - Przykro mi, że cię w to wciągam, ale jesteś jedyną osobą, której mogę ufać.

- Oczywiście, że możesz mi ufać - potwierdziła automatycznie Jordan. Przypomniała sobie słoneczne, letnie dni, kiedy jako dzieci składały sobie dozgonne przysięgi.

Ile razy wypowiedziała te słowa? Ona i Phoebe mieszkały bardzo blisko siebie i bawiły się razem, gdy tylko dorosły na tyle, żeby chodzić po podwórku między ich domami. Dzieliły się wszystkim, od dziecięcych sekretów po kosmetyki do makijażu na podwójne randki.

Chociaż studia rozdzieliły je na długo przed pojawieniem się Reno, ucieczką Kevina i przeprowadzką Jordan do Waszyngtonu, ona wciąż uważała Phoebe za swoją najdroższą przyjaciółkę. Nie było sekretu, którego by jej nie powierzyła.

- Muszę cię o coś poprosić - powiedziała Phoebe rozpaczliwym tonem. - To ogromna prośba. Nie musisz jej spełniać, ale... Jeśli się nie zgodzisz, to nie wiem, co będzie dalej.

- Zrobię dla ciebie wszystko, Phoebe. Dobrze o tym wiesz. Uwierz mi, żadna przysługa nie jest zbyt duża.

- Proszę, żebyś wzięła do siebie Spencera.

Jordan otworzyła usta ze zdziwienia.

- Wziąć Spencera? Jak to? - Odetchnęła głęboko. - Czy ty jesteś

chora? Tak?

- Nie, nie martw się. Nie jestem chora. I nie chcę żebyś wzięła go na zawsze. Po prostu... Zaopiekuj się nim. Proszę. - Głos jej zadrżał.

- Niech tu pomieszka. Tak długo, jak będzie to koniecznej.

- Ale... dlaczego? Nie myśl, że nie chcę go wziąć - dodała Jordan pośpiesznie. Zakręciło jej się w głowie od pytań, które chciała zadać.

Wziąć do siebie czterolatka? Czy ona kiedykolwiek rozmawiała z czterolatkiem? Tak, ostatni raz w dzieciństwie, z młodszym bratem. Miała wtedy sześć lat.

- Nie mogę ci tego wyjaśnić, Jordan. Pamiętaj, nikt nie może się do wiedzieć o tym, że Spencer tu jest. Nikt. Nawet twoja rodzina. Ani moja. - Nawet Reno.

- Nawet Reno? Phoebe, co się dzieje?

- Po prostu się zgódź. Błagam. To... - Phoebe urwała, żeby otrzeć łzy z oczu.

- Co takiego, Phoebe?

- To sprawa życia i śmierci.

Rozdział 2

Jeremy? Obudziłam cię?

- Czy mnie obudziłaś? - Zaspany głos współnika Jordan był ledwie słyszalny w słuchawce. - Która godzina?

- Dochodzi szósta - powiedziała Jordan, nalewając sobie drugą filiżankę kawy z ekspresu z nierdzewnej stali. Przyzwyczaiła się do pysznej kawy z mlekiem w Starbucks, ale dziś była tak wyczerpana, że nie zwracała uwagi na smak brunatnego płynu, który piła.

- Szósta? - powtórzył Jeremy. - A raczej „dochodzi szósta”? Dlaczego nie śpisz? I dlaczego ja nie śpię, do cholery?

- Bo zaraz wyświadczysz mi ogromną przysługę.

W telefonie usłyszała męski głos. Wiedziała, że należał do Paula, który dzielił z Jeremym łóżko i życie. Wspólnie opiekowali się czterema kotami o imionach Curly, Larry, Mo i Joe - ten ostatni był niedawno przygarniętym dachowcem.

- Nie, to Jordan - powiedział Jeremy do Paula, ziewając. - Śpij

dalej. O jaką to przysługę może chodzić, że budzisz mnie przed świtem, Jordan?

- O długoterminową. W tej chwili nie musisz nic robić...
- Dzięki Bogu!
- Zanim zacznę, wiedz, że nie mogę ci powiedzieć wszystkiego.
- Jak to, nie możesz powiedzieć wszystkiego? Co się dzieje? Czy coś się stało?

Czy coś się stało? Na pewno. A ja nie wiem co, pomyślała ponuro.

- Jeremy, muszę wziąć urlop - powiedziała do słuchawki. Usłyszała jego westchnienie ulgi.

- Tylko tyle? Obawiałem się najgorszego. Najwyższy czas, żebyś odpoczęła. Kiedy wyjeżdżasz, na jak długo i dokąd? Mam nadzieję, że wybierzesz się do uzdrowiska, które ci poleciłem, bo tamtejszy masażysta...

- Jeremy, nie o to chodzi. Nie jadę na wakacje. Coś się wydarzyło i muszę wziąć wolne.

- Co się wydarzyło? Jak długo cię nie będzie?
- Nie mogę powiedzieć. Nie wiem, ile to potrwa.
- Czy ktoś umarł? - zapytał po chwili milczenia.
- Nie!
- Jesteś chora?
- Nie. Nie mogę...

- Tak, wiem. Nie możesz mi powiedzieć. Zasłużyłaś na urlop. Zrób sobie tyle wolnego, ile tylko zechcesz. Ja dopilnuję interesu. Kiedy wyjeżdżasz?

Przez chwilę milczała, zastanawiając się, czy powiedzieć Jeremy'emu, że nie wyjeżdża. Może lepiej nie mówić nawet tego. Nie chciała, żeby przyszedł do niej z ciekawości i zobaczył Spencera. Wtedy musiałyby wytłumaczyć, skąd wziął się u niej chłopiec, a Phoebe zabroniła mówić o tym komukolwiek.

- Wyjeżdżam natychmiast - odpowiedziała.
- Czyli... dziś?
- Już mnie nie ma.
- A co z...
- Ze ślubem Goffa i Andersen? Sałatki już przygotowane,

homary zostaną przywiezione w południe, a kwiaty o wpół do pierwszej. Bądź na miejscu o dziesiątej, bo stoliki i krzesła...

- Wiem. - Jeremy znów ziewnął. - Będą o jedenastej. Dokumenty leżą w biurze, a ponieważ masz niezdrowy nawyk notowania absolutnie wszystkiego, na pewno się nie pogubię. Ale w razie czego...

- Zadzwoń do mnie - powiedziała Jordan. - Na komórkę, będzie stale włączona.

- Dobrze.

- Słoiczki z wiśniową galaretką na wieczór panieński Clark są...

- Wiem.

- Już obwiązałam nakrętki serwetkami, więc po prostu musisz je zabrać. Przyjęcie zaczyna się o...

- Wiem, Jordan. Pamiętam, co i na kiedy zaplanowałaś, dokąd mam iść i wierz mi lub nie, wiem co i jak robić. Na miłość boską, wyjedź stąd i na jakiś czas zapomnij o pracy!

- Dobrze.

- Życzę ci cudownej zabawy.

- Dziękuję. - Czy dosłyszał nutkę nieszczerości w jej głosie?

Upiła łyk cierpkiej, zbyt mocnej kawy.

- Jordan?

- Hm?

- Mam nadzieję, że po powrocie mi go przedstawiś.

Kogo? Omal nie zakrztusiła się kawą.

- Skąd wiesz...

- Domyśliłem się, że chodzi o mężczyznę. Najwyższy czas, żebyś zaczęła się z kimś spotykać.

Mężczyzna? Uśmiechnęła się mimo woli.

Jak zareagowałby Jeremy, gdyby wiedział, że „mężczyzna” ma metr wzrostu i nosi kaptcie z Puchatkiem?

Westchnęła.

- Jeremy...

- Wiem. Żadnych szczegółów. Ale pozwól, że wszystko sobie dośpiewam. Poznałaś kogoś, zakochałaś się do szaleństwa, a teraz on zabiera cię do jakiegoś bajecznego, egzotycznego raj.

Dobrze. Niech myśli, co chce.

- Miał podróży, Jordan - rzekł Jeremy.

Usłyszała cmoknięcie, co znaczyło, że przesłał jej buziaka.

- Do widzenia, Jeremy.

Wcisnęła guzik na słuchawce, żeby się rozłączyć, po chwili zrobiła to jeszcze raz. Usłyszała sygnał. Musiała sprawdzić numer. Wyleciał jej z pamięci - tak rzadko wybierała go w ostatnich kilku latach. Na myśl o tym poczuła żal. Kiedyś znała numer telefonu Phoebe lepiej niż własny. Przez ponad dziesięć lat dzwoniła do przyjaciółki kilka razy dziennie. Mniej więcej w czwartej klasie wymyśliły, że będą do siebie krzyczeć przez otwarte okna, ale rodzice szybko położyli temu kres.

Uśmiech zniknął z ust Jordan, gdy wybierała kierunkowy do Filadelfii i numer telefonu Phoebe. Po czterech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka.

- Nie ma nas w domu. Proszę zostawić wiadomość - powiedział głos Reno.

Jordan rozłączyła się. Miała tyle pytań do Phoebe. Zadzwoń później.

Beau przyszedł do klubu rano, kilka minut przed umówioną partią squasha. Nie było w tym nic dziwnego, matka nauczyła go, że dżentelmen jest zawsze punktualny. Ed jeszcze się nie zjawił, co również nie było niczym nadzwyczajnym, gdyż zawsze się spóźniał. Beau dawno zauważył, że jego przyjaciel i wspólnik spędza dużo czasu z telefonem komórkowym przy uchu, przepraszając i tłumacząc, dlaczego znowu nie dotarł gdzieś na czas.

Powinien już do tego przywyknąć. W końcu znalazł go od czasów, gdy wspólnie wynajmowali pokój, studiując architekturę na uniwersytecie Rice. Ed spóźniał się i opuszczał zajęcia, ale i tak zawsze miał świetne stopnie. Po prostu był geniuszem.

Po ukończeniu studiów Beau pojechał do Europy. Potem poślubił Jeanette i urodził się Tyler. Zamieszkali w rodzinnym mieście Beau, w DeLisle w Luizjanie.

Jego ojciec chciał - a raczej oczekiwał - że Beau przejmie Somerville Industries, ale on wolał pracować w miejscowej firmie architektonicznej za bardzo skromną pensję. Utrzymywał rodzinę ze

swojego dużego funduszu powierniczego. Ojciec, który uważał architekturę za hobby syna, wciąż wyrażał nadzieję, że Beau wreszcie zmądrzeje. Robił to nawet teraz.

W tamtych czasach Geoff Somerville przygotowywał do przejęcia firmy Redmonda, kuzyna Beau. Ale często mówił synowi, że zawsze znajdzie się dla niego miejsce. Siostrzeniec był zdolny i pełen zapału, ale Geoff chciał, by i jego syn pomnażał rodzinną fortunę.

Zeszłej zimy architekt, u którego Beau przepracował wiele lat, postanowił zlikwidować firmę. Po rozstaniu z Lisa Beau zrozumiał, że powinien zacząć wszystko od zera. Ale wiedział, że praca u ojca nie jest dobrym rozwiązaniem. Z DeLisle wiązało się zbyt wiele wspomnień. Lepiej było stamtąd uciec.

Przez lata sporadycznie kontaktował się z Edem. Wiedział o jego ślubie z dziewczyną z Richmond, której bogaty ojciec wyłożył fundusze na firmę w Waszyngtonie. Ed kilkakrotnie proponował Beau, żeby przeniósł się na północ i został jego współnikiem. Kilka miesięcy temu, gdy kolega ponowił propozycję, Beau uznał, że nadszedł odpowiedni moment.

Zostawienie rodziny i DeLisle było łatwiejsze, niż się spodziewał. Może nawet łatwiejsze, niż chciał. Nie był już pewien, czy kurczowo trzyma się przeszłości, czy też szczerze pragnie od niej uciec. Teraz jego życie Upływało w rytmie pracy, pospiesznie zjadanych posiłków i ćwiczeń w klubie.

Nawet o tak wczesnej porze, w sobotę, klub Capital Fitness był już zatłoczony. Beau postanowił zaczekać na Eda w sali z przyrządami. Znalazł wolny trener i zaczął rozgrzewkę.

Za kilka dni, pomyślał, będę biegał po piaszczystej plaży. Wynajął dom nad oceanem, na Outer Banks w Karolinie Północnej. Zeszłej jesieni, kiedy dokonywał rezerwacji, mieszkał w Nowym Orleanie z Lisa. Mieli wyjechać razem. To był jej pomysł. Gdy się rozstawali, on zapłacił już za wynajem domu, więc szkoda byłoby go nie wykorzystać.

Zresztą nie miał nic przeciwko wakacjom spędzonym w pojedynkę. Czuł, że chętnie pobędzie sam. Tak wiele się zdarzyło w ciągu ostatnich miesięcy - rozstanie, przeprowadzka, nowa praca - że

powinien pozbierać myśli w samotności.

Właściwie, zastanawiał się, biegnąc szybciej, nie chodzi tylko o wydarzenia tej wiosny. Od lat nie miał okazji wyjechać i spokojnie wszystkiego przemyśleć. Jego życie wyrwało się spod kontroli w tej jednej, strasznej chwili, która na zawsze wryła się w jego pamięć. Od tamtej pory Beau pozwalał się nieść wartkiemu prądowi wydarzeń.

Dość tego, pomyślał, czas wszystko sobie poukładać. Zastanović się nad życiem. Określić, gdzie jestem i czego chcę...

Piekło to jedyne miejsce, w którym pragnę się znaleźć, stwierdził ponuro, zamykając powieki i przypominając sobie... Zmusił się, by tego nie robić. Otworzył oczy, zanim zdążyły wypełnić się łzami.

Patrząc w lustro, wiszące przed rzędem przyrządów do ćwiczeń, dostrzegł atrakcyjną kobietę o blond włosach, związanych w kucyk i w obcisłym kostiumie, który eksponował jej ładnie zarysowane, opalone mięśnie brzucha.

Uśmiechnęła się do niego. Krótco odwzajemnił uśmiech i odwrócił głowę. Ale przez piętnaście minut, gdy intensywnie ćwiczył, czuł na sobie jej wzrok. Spojrzał na zegarek i zszedł z trenażera.

Ed na pewno już jest, pomyślał, ocierając rękami pot z czoła.

- Cześć, jesteś nowy w klubie?

Spojrzał w dół i zobaczył przy swoim łokciu kobietę z blond kucykiem. Była niska, a wydawała się jeszcze niższa, stojąc obok niego. Beau miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Obliczył, że ona ma co najwyżej metr pięćdziesiąt pięć.

Jeanette miała tylko metr pięćdziesiąt dwa. Nazywał ją „krasnołudkiem”. Przełknął, walcząc z natrętnymi wspomnieniami. Skupił się na pytaniu.

- Tak, jestem nowy - odpowiedział. - Wstąpiłem do klubu kilka tygodni temu.

- Skąd pochodzisz? Podoba mi się twój akcent.

- Z Luizjany.

- Wiedziała! Raz byłem w Nowym Orleanie, podczas karnawału. Wspaniałe miasto!

- Tak, wspaniałe - zgodził się.

To była prawda. Nowy Orlean bardzo mu się podobał. Nagle

zatręknął za domem. Ale mieszkanie tam było zbyt bolesne. Wszędzie, gdzie spojrzął, widział Jeanette i Tylera. Nie mógł tak dalek żyć.

- W Waszyngtonie też jest świetnie - powiedziała kobieta, uśmiechając się szeroko. - Wiem coś o tym. Urodziłam się i wychowałam kilka ulic stąd.

- Jesteś pierwszą rodowitą mieszkanką tej okolicy, jaką znam - powiedział. - Cała reszta przyjechała chyba z innych miast.

Tutaj nie było jak w domu. W jego miasteczku, DeLisle, położonym w połowie drogi między Nowym Orleanem a Baton Rouge, większość rodzin znała swoją historię kilka pokoleń wstecz. Somerville'owie mieszkali w dużym domu na plantacji od stu pięćdziesięciu lat.

- Tak, ludzie przyjeżdżają i wyjeżdżają. Przyzwyczaisz się do tego - powiedziała kobieta.

Zauważył, że zerka na jego dłoń. Wiedział, czego szukała. Obrączki. Celowo wsunął palce pod ręcznik, żeby nie zobaczyła, że jej nie nosi. Sam nie był przyzwyczajony do tego widoku. Trudno mu było uwierzyć, że kiedyś mu przeszkadzała. Nie lubił biżuterii, poza zegarkiem i, od czasu do czasu, spinkami do mankietów. Ale kiedy postanowili, że się pobiorą, Jeanette poprosiła, żeby nosił obrączkę.

- Dlaczego? Nie ufasz mi? - wycedził, mrużąc oczy. Oboje wiedzieli, że nie miała się czym martwić.

- Ufam. Ale jestem staromodna. Chcę mieć staromodnego męża ze staromodną obrączką na palcu.

Kiedy wreszcie przywykł do złotego krążka, lśniącego na jego dłoni, musiał się od niego odzwyczaić. „Nie możesz wiecznie nosić tej obrączki, Beau”. To były słowa Lisy po miesiącu spędzonym razem. Beau chciał ją nosić wiecznie, nawet po śmierci Jeanette. Kiedyś wierzył, że jego małżeństwo z nią będzie trwało równie długo. Nic nie jest wieczne, pomyślał z goryczą. Chyba że ból.

- Jak ci na imię? - zapytała zmysłowym tonem kobieta.

Całkiem o niej zapomniał.

- Beau - powiedział. - Beau Somerville.

- Miło mi cię poznać, Beau. Jestem Suzanne Lancaster. Idę

właśnie poćwiczyć ze sztangą... Może zobaczymy się w sali obok?

- Przykro mi - powiedział, choć jego głos nie zabrzmiał ani trochę przepraszająco. - Jestem umówiony na partię squasha.

- Innym razem. - Wzruszyła ramionami. - Być może to zbyt zuchwałe, ale... Spotkajmy się później, dobrze? Oprowadzę cię o mieście. Chętnie pokażę ci ładne, mało znane miejsca. Waszyngton to coś więcej niż Biały Dom i Smithsonian.

- Na pewno - rzekł Beau - ale ja nie jestem... - zawahał się.

- Zainteresowany? Wolny? - Przyglądała mu się uważnie. - A może jedno i drugie?

Kiwnął głową.

- Przykro mi.

- Nie szkodzi. Warto było spróbować. W zeszłym roku skończyła się moja sprawa rozwodowa, więc czuję się trochę samotna.

- Przykro mi - powtórzył.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ja tego chciałam.

- Na pewno ci ciężko.

- Tak, rozwód jest przykry.

- Nie wątpię. - Pokiwał głową.

- A ty? Niech zgadnę. Szczęśliwy w małżeństwie?

Poczuł znajomy skurcz w żołądku.

- Już nie.

- Też rozwodnik?

Beau spojrział na zegarek.

- Przepraszam, spóźnię się na squasha.

- Na razie! - Pomachała ręką.

Był już w połowie drogi do drzwi.

- Gdzie mamusia?

Jordan zamrugała. Chłopiec, leżący w łóżku w pokoju gościnnym, patrzył na nią wyczekująco swoimi brązowymi, zmartwionymi oczami. Chyba jakiś czas leżał nieruchomo, zastanawiając się, czy zadać to pytanie.

- Mamusia... - Jordan urwała.

Cholerna Phoebe! Jak mogła wyjechać tak nagle? Gdy tylko Jordan zgodziła się zaopiekować Spencerem, Phoebe powiedziała, że chce zdążyć na ostatni pociąg do Filadelfii i poprosiła o wezwanie taksówki. Jordan spełniła jej prośbę, nie spodziewając się, że kierowca podjedzie już po kilku minutach. Myślała, że potrwa to przynajmniej pół godziny. Miałyby czas porozmawiać z Phoebe, dowiedzieć się czegoś o... wszystkim. O jej życiu, małżeństwie i synu oraz o tym, co skłoniło ją do nagłego przyjazdu i tej dziwacznej prośby.

Ale nie było czasu. Taksówkarz czekał, zbliżała się godzina odjazdu pociągu. Phoebe musiała wyjechać.

Spencer zasnął na kanapie przed telewizorem, kiedy rozmawiały w kuchni. Zapłakana Phoebe pocałowała go delikatnie w czoło. Nawet się nie poruszył, kiedy jego matka szła do drzwi, a Jordan, krok za nią, zadawała mnóstwo pytań, oprócz jednego, na które Phoebe już raz odmówiła odpowiedzi: „Dlaczego go tu zostawiasz?”

Przyjaciółka zniknęła w deszczowej ciemności, pozostawiając osłupiałą Jordan i swojego syna. Jordan nie mogła powstrzymać łez. Płakała ze zmęczenia i frustracji. Krótkie spotkanie z Phoebe przypomniało jej, jak bardzo stęskniła się za przyjaciółką. Zakłuło ją w sercu na widok chłopca, śpiącego na kanapie. Poza tym nie miała pojęcia, jak opiekować się dzieckiem.

Przez ponad godzinę patrzyła na śpiącego Spencera, zanim postanowiła zanieść go na górę, do łóżka. Pomyślała, że jeśli chłopiec się obudzi i zapyta o mamę, powie mu, że Phoebe wyjechała, ale niedługo po niego wróci. Przecież wyzdrowiała. Ale Spencer się nie obudził. Nie wtedy.

Teraz już nie spał i czekał na odpowiedź. Ale w ten ponury, sobotni poranek, po bezsennej nocy i telefonie do Jeremy'ego, przygotowane zdanie gdzieś się rozwiąło. Jordan nie wiedziała, co powiedzieć. Odetchnęła głęboko i zaczęła jeszcze raz.

- Mamusia musiała wrócić do... hm, do domu.

Ale czy na pewno tak było? Czy Phoebe wróciła do Filadelfii? Za każdym razem, gdy Jordan dzwoniła, włączała się automatyczna sekretarka. Jordan miała mnóstwo pytań do Phoebe: jak wyjaśnić

chłopcu jej nieobecność, czy Spencer jest na coś uczulony, jakiej pasty do zębów używa...

- Do domu? - powtórzył Spencer. Jordan usłyszała, że łamie mu się głos. Po chwili po policzku popłynęła łza. - Beze mnie? Ale...

- Nie martw się, kochanie - powiedziała, siadając na łóżku i wyciągając do niego rękę.

Drgnął i natychmiast się cofnął. Nie miała mu tego za złe. Była jego matką chrzestną, ale wcale jej nie znał. Dopilnowała tego Phoebe - a raczej Reno. Jordan poklepała więc tylko małe, pulchne ramię, wystające znad bladoniebieskiej kołdry.

- Mamusia załatwi jakąś ważną sprawę w Filadelfii, a potem po ciebie przyjedzie. Do jej powrotu będę się tobą opiekować. Jeśli będziesz czegoś chciał, po prostu powiedz cioci Jordan. Dobrze?

Nie kiwnął głową. Nie zareagował. Leżał nieruchomo, a po policzkach płynęły mu łzy. O, Boże! Serce jej się krajało. Gdzie, do cholery, jest Phoebe? Dlaczego wyjechała? I czyje życie jest w niebezpieczeństwie? - zastanawiała się Jordan, przypominając sobie przerażającą, zagadkową wypowiedź przyjaciółki.

Coś grozi Phoebe czy Spencerowi?

Rozdział 3

Bębniąc po obrusie palcami prawej ręki, Beau znów zerknął na roleksa na przegubie.

- Proszę pana? Zamówi pan drinka?

Podniósł wzrok na kelnera, który znów pojawił się przy dwuosobowym stoliku. Siedział tu sam, przyciągając gniewne spojrzenia oczekujących gości, stłoczonych po drugiej stronie pomieszczenia, przy barze.

Odchrząknął i zastanowił się nad pytaniem. Czy ma ochotę na drinka?

Tak, na dobrego, mocnego burbona. Ale wiedział z doświadczenia, że po alkoholu nie potrafi oprzeć się kobietom. Poznał Lisę, gdy topił smutki w kieliszku w Dzielnicy Francuskiej. Zanim się zorientował, mieszkali razem.

Tak, ale już dawno wyplątał się ze związku z Lisa i z burbonem. Już nie potrzebował takiego pocieszenia jak wtedy. Kiedyś było mu ono niezbędne i nie chciał, żeby się to powtórzyło. Naprawdę nie chciał, ale...

Byłoby dobrze odbyć to wieczorne spotkanie towarzyskie na trzeźwo, w jak najczystszych zamiarach - zwłaszcza gdyby Jordan Curry była tak czarująca, jak twierdziła Andrea MacDuff.

- Jeszcze nie będę pił, dziękuję - powiedział kelnerowi. - Przynajmniej dopóki nie przyjdzie moja znajoma. Na pewno dotrze tu za kilka minut.

Ale Jordan nie pojawiła się. Ani po kilku minutach, ani po piętnastu i dwudziestu. Gdy minęło prawie pół godziny, Beau sięgnął do kieszeni granatowego blezera i wyjął telefon komórkowy, by sprawdzić, czy jest włączony. Może dzwoniła, a on tego nie usłyszał z powodu głośnej muzyki Johna Coltrane'a, dobiegającej z głośników w restauracji. Aparat był wyłączony. Cholera!

Beau jeszcze nie przywykł do noszenia komórki. Do kupna telefonu namówił go Ed. Powiedział, że tak będzie praktyczniej - zarówno on, jak i klienci będą się mogli łatwiej skontaktować z Beau.

Komórka na pewno nie przyniesie mi żadnych korzyści, ani w biznesie, ani w życiu prywatnym, jeśli nie będę jej włączał, skarcił się w myślach Beau, z obrzydzeniem wsuwając telefon z powrotem do kieszeni. Co teraz? Może Jordan do niego dzwoniła? Albo się minęli. Może pomylił datę bądź godzinę czy miejsce.

Wyciągnął z kieszeni elektroniczny notes - kolejne urządzenie, które zdaniem Eda było mu niezbędne. Otworzył go i wywołał datę, żeby sprawdzić, co pod nią zapisał. Nic. Zmarszczył brwi. Był pewien, że umówili się na ten dzień. Dobrze pamiętał, że Jordan pytała, czy chodzi o tę sobotę, czy o przyszłą.

Często mu się zdarzało, że nie zapisywał terminów w elektronicznym notesie. Dla niego było to urządzenie, które przynosi więcej kłopotów niż korzyści. Beau był staromodny, lubił papier i ołówek - zarówno do projektowania domów, jak i do zapisywania terminów.

Cholera! Szkoda, że wtedy nie zanotował, kiedy i gdzie ma się

spotkać z Jordan Curry. Z tego wszystkiego nie był już pewny, czy przypadkiem nie umówił się, że po nią wpadnie. Westchnął i wezwał stojącego w pobliżu czujnego kelnera.

- Niestety, moja znajoma nie przyjdzie - powiedział Beau, wskazując telefon komórkowy w kieszeni, jakby właśnie otrzymał tę wiadomość. Wstał, wyjął z portfela kilka dziesięciodolarowych banknotów i podał je kelnerowi. - Przykro mi, że zająłem stolik. Życzę miłego wieczoru.

- Nawzajem, proszę pana. Zapraszamy ponownie.

- Przyjdę.

Prawdopodobnie tak będzie, pomyślał, wychodząc z dużej sali restauracyjnej. Ściany z cegieł i duże wiatraki u sufitu, smakowite zapachy z kuchni i płynący z głośników jazz przypominały mu restauracje w jego rodzinnym mieście. Ale Beau wątpił, żeby pojawił się tu z Jordan Curry. Na pewno pomyślała, że wystawił ją do wiatru.

Odebrał swojego pięknego, czarnego suwa z garażu i wyjechał na ulicę. Stojąc na światłach, zastanawiał się, czy nie powinien zjechać na pobocze i zadzwonić do Jordan z telefonu komórkowego.

Mógłbym też do niej pojechać, pomyślał. Znał jej adres. Andrea powiedziała, że Jordan mieszka w eleganckim, nowym osiedlu. Było to jedno z niewielu miejsc, które Beau znał w tym mieście. Niedawno odwiedził potencjalnego klienta, który mieszkał tam tymczasowo, gdyż jego dom spłonął. Klient, który w końcu zlecił Beau projekt nowego domu, znał Jordan. Gdy Beau o nią zapytał, pokazał mu jej drzwi - była jego sąsiadką.

Świat jest mały.

Co powinien powiedzieć, jeśli do niej przyjdzie - spóźniony, przed czasem, albo w ogóle nie wtedy, kiedy trzeba? Być może to Jordan go wystawiła. Może dobrze zapamiętał wszystkie szczegóły i był w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie, a ona po prostu go zlekceważyła? Tak, ale równie dobrze może czekać teraz w domu, wystrojona, i nerwowo przechadzać się po salonie, myśląc, że o niej zapomni?

Sam Beau nie dbał o opinię obcych osób na swój temat. Nawet gdyby Jordan Curry uznała go za chama, nie zaprzepaściłoby to szans na płomienny romans. W końcu nie miał zamiaru się z nią

wiązać. Ale staromodny dżentelmen z Południa, którym przecież Beau był w każdym calu, nie mógł tak pozostawić sprawy - po prostu wrócić do domu i zapomnieć o Jordan. Pozwolić, żeby uznała go za źle wychowanego. Nie przejąłby się, gdyby to była jej wina. Gdyby to ona z jakiegoś powodu nie chciała się z nim spotkać. Ale musiał się dowiedzieć, jak było naprawdę.

Beau wymyślił plan. Jeśli się okaże, że ona już się przebrała i na niego czeka, a on spóźni się lub przyjdzie za wcześnie, to naprędce wymyśli jakieś wytłumaczenie i nawet nie wspomni o tym, że czekał w restauracji. Pójdą na kolację - do innej restauracji - i Beau wypełni zobowiązanie wobec Jordan Curry i Andrei MacDuff. Koniec. To był bardzo dobry plan.

Podjął decyzję. Pogwizdując, pojechał w stronę znajomych, ceglanych domów przy cichej, bocznej ulicy.

Jordan siedziała na taborecie obok Spencera, podpierając podbródek dłonią i patrząc, jak chłopiec przesuwając jedzenie po kobaltowoniebieskim talerzu.

- Co się stało? - zapytała. - Nie jesteś głodny?
- Jestem, ale...
- Ale co?

Nawet na nianie zerknął. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby spojrzeć jej w oczy choć raz, odkąd powiedziała mu o wyjeździe matki. Za wszelką cenę starał się unikać jej wzroku - mniej więcej tak jak Kevin, gdy przypadkowo spotkali się po ślubie, do którego nie doszło. Wpadli na siebie w supermarkecie, przed Świętem Dziękczynienia. Zamienili kilka słów o pogodzie, miejscowej drużynie futbolowej i niedawnych wyborach.

Jordan cały dzień prowadziła ze Spencerem takie rozmowy bez znaczenia - o motylkach, czekoladzie i kreskówkach. A raczej ona mówiła, a on słuchał albo nie. Trudno było to stwierdzić. Chciała się dowiedzieć, co się działo w tej biednej, dziecięcej główce, ale nie miała pojęcia, jak tam dotrzeć.

Mruknął coś, przeciągając widelcem po kupce ziemniaczanego puree.

- Co mówiłeś, Spencer? Nie słyszałam.

Pochyliła się ku niemu. Odsunął się.

- Powiedziałem, że to mi nie smakuje.

Spojrzała na jego talerz.

- Kiedy pytałam, powiedziałaś, że lubisz ziemniaki.

- Ale nie takie. Te mają w środku coś zielonego.

- To szalotka - wyjaśniła. - Dodaje smaku. Szalotka jest rodzajem cebuli...

- Cebuli też nie lubię.

- Och. - Znów popatrzyła na jego talerz. - A kurczak? Mówiłeś, że lubisz.

- Ale tylko kurczaka McNuggets.

- Och - powtórzyła. - Gdybyś spróbował tego...

- Paskudnie wygląda.

Paskudnie? Nie spodziewała się, że ktoś nazwie jej kurczaka *cordon bleu* „paskudnym”. Trzy lata doskonaliła ten przepis.

- A może zjesz trochę fasolki szparagowej?

Skrzywił się.

- Na pewno myślisz, że jej nie lubisz, ale to przecież nie szpinak. Podsmażałam... - Urwała, widząc jego minę. Na pewno by nie zrozumiał. Był tylko dzieckiem.

A ona nie była przyzwyczajona do maluchów. Nie znała żadnych. Sama kiedyś była dzieckiem, ale to nie znaczyło, że...

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek u drzwi. Jordan aż podskoczyła.

- Myślisz, że to mamusia? - zapytał Spencer, rozchmurzając się po raz pierwszy od rana.

Błagam, Boże, spraw, aby tak było, pomyślała Jordan, biegnąc do drzwi.

- Możliwe! - zawołała przez ramię, więc Spencer natychmiast podreptał za nią.

Ale za drzwiami wcale nie zobaczyła Phoebe. Stał tam szczupły, obcy mężczyzna o jasnych włosach, ubrany w swobodny strój biznesowy: spodnie khaki, bawełnianą koszulę, granatowy blezer i lśniące pantofle. Był tak elegancki - i przystojny - że Jordan natychmiast pomyślała o własnym wyglądzie.

Miała na sobie zwykły, biały T-shirt, który wcisnęła w stare

dżinsy. Była boso, a jej pedikiur miał już tydzień. Zrezygnowała z cosobotniej, porannej wizyty w salonie piękności na rzecz oglądania kreskówki ze Spencerem. Nie czesała się od wpół do szóstej rano, kiedy to ściągnęła włosy gumką przed myciem zębów. Na pewno miała podkrążone oczy. Piękność!

- Ty jesteś Jordan Curry?

Rozpoznała jego głos i od razu sobie skojarzyła... Poczuła się jak rażona piorunem.

- Mój Boże! - Zasłoniła usta dłonią. - Na śmierć zapomniałam!

Miał ubawioną minę.

- Zapomniałaś, kim jesteś? Cieszę się, że mogę pomóc. Zaskoczona spojrzała w zielone tęczówki nieznanego, które miały identyczny odcień jak jej własne. Jego oczy też były podkrążone, ale lepiej maskowała to opalenizna. W wyglądzie mężczyzny było coś, co kazało Jordan pomyśleć, że lepiej by się czuł, ścinając drzewa w lesie, niż tutaj, w Georgetown, elegancko ubrany.

- Jesteś Beau Somerville - powiedziała.

- Dziękuję, ale wiedziałem to cały czas. To raczej ty masz problem z określeniem własnej tożsamości.

Zaśmiała się mimo woli. Mężczyzna był uroczy. Na ułamek sekundy, patrząc w oczy koloru mchu, zapomniała o Spencerze. Ale Beau Somerville spojrzał na coś, co znajdowało się za nią. W drzwiach kuchni stał chłopiec. Na jego okrągłej buzi malowało się rozczarowanie.

- A ty, kolego? Wiesz, kim jesteś? - zapytał Beau. Spencer kiwnął głową.

- Na pewno? Jak masz na imię?

- Spencer - odpowiedział chłopiec niemal szeptem.

- Jak leci, kolego? - zapytał Beau, wyczuwając, że coś jest nie tak.

Spencer zwiesił głowę.

- Dobrze.

- Nieprawda. Widzę, że coś cię dręczy - powiedział Beau, mrugając do Jordan.

Rozbroił ją całkowicie, mimo że miała nowe zmartwienie: ktoś dowiedział się o Spencerze. I to ktoś zupełnie obcy.

- Niech zgadnę, co się stało. Hm... Wdepnąłeś w psią kupę?

Ku zaskoczeniu Jordan, natychmiast rozległ się cichy chichot. Metodą eliminacji stwierdziła, że śmiał się Spencer.

- Nie! - zaprzeczył, nieśmiało zerkając na Beau. - Nie wdepnąłem w psią kupę!

- Co więc mogło się stać? Och, już wiem! Przez przypadek zjadłeś gąsienicę? To się zdarza najlepszym.

Znów chichot i zdecydowane „nie!”

- Jak tego dokonałeś? - mruknęła do Beau. - Od rana nie zaśmiał się ani razu.

- Dzieci lubią rubaszny humor - odmruknął. - To zawsze działa.

Znów zwrócił się do Spencera:

- Jeśli to nie gąsienica ani psia kupa, to nie wiem, co cię tak przygnębiło.

- Zgadnij! - nakazał Spencer.

- Niech pomyślę... Wiem, co się stało. Mama kazała ci jeść zupełnie z oczu, tak?

Tym razem nie rozległ się śmiech. Spencer posmutniał. Jordan wiedziała, że pomyślał o Phoebe. Beau uznał, że Spencer był jej synem. Nie mógł wiedzieć, że dziecko tęskni za matką, która przywiozła je w nieznanne miejsce, wyjechała w środku nocy i od tej pory nie dała znaku życia.

- Słuchaj, Beau - powiedziała pośpiesznie, żeby zmienić temat. - Przepraszam, że nie przyszłam. Czekałeś na mnie w restauracji?

Przez chwilę milczał. Przeniósł wzrok ze Spencera na nią.

- Czekałem. Rozumiem, że zapomniałaś o spotkaniu?

- Bardzo cię przepraszam. Nie mieści mi się w głowie, że zrobiłam coś takiego. Nigdy o niczym nie zapominam. Na ogół jestem zorganizowana, ale... - Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Zdarza się najlepszym - pocieszył ją. - Może oboje włożycie buty i wyskoczymy razem, żeby coś przekąsić? Umieram z głodu, a w tej okolicy jest chyba dużo dobrych restauracji.

- Tak, ale ja właśnie zjadłam kolację - wyznała.

- A ty, kolego? Też jesteś najedzony?

- Nie - odpowiedział ponuro Spencer.

- Jak to możliwe? Czuję wspaniały zapach z tamtego

pomieszczenia. To na pewno kuchnia.

- Tak - potwierdził chłopiec. - Chcesz mojego kurczaka? Możesz go zjeść.

- Dlaczego? Nie lubisz kurczaków?

- Niebieskich nie lubię - powiedział Spencer.

Beau stłumił śmiech.

- Wątpię, żeby ktoś lubił niebieskie kurczaki.

- To *cordon bleu* - wtrąciła Jordan. - Tak się składa, że to moja specjalność.

- Kurczak *cordon bleu*? Tak się składa, że to moje ulubione danie.

- Jest jeszcze dużo - powiedziała Jordan. Nie mając pojęcia, ile jedzą małe dzieci, przygotowała podwójną porcję. - Masz ochotę?

Beau Somerville kiwnął głową.

- Z przyjemnością zjem.

- Wejdz dalej. - Jordan nie wierzyła, że właśnie zaprosiła obcego człowieka do swojej kuchni i zaproponowała mu posiłek. Ale czuła ogromną ulgę, że pierwszy raz tego dnia nie była sama ze Spencerem. Beau potrafił się z nim porozumieć o wiele lepiej niż ona.

Przypomniała sobie ostrzeżenie Phoebe. Miała nikomu nie mówić, że mieszka u niej Spencer. Ale przecież nigdy więcej nie zobaczy tego mężczyzny. Teraz, kiedy ją odwiedził, mogła mu wyjaśnić, że ostatnio nie chodzi na randki, ponieważ... Właśnie, dlaczego?

Prowadząc przystojnego Beau Somerville'a - ze Spencerem u boku - do kuchni, Jordan nie mogła sobie przypomnieć, z jakiego powodu nie umawia się na randki. Ani dlaczego tak bardzo się bała kolacji z tym mężczyzną.

- Usiądź - powiedziała, wskazując taboret przy bufecie i podchodząc do kuchenki, na której czekał gotowy kurczak.

Beau usiadł. Tuż obok niego usadowił się Spencer. Kiedy wcześniej poprosiła chłopca, żeby usiadł i zjadł kolację, zostawił wolny taboret między nią a sobą. Spencer czuł się o wiele lepiej w towarzystwie tego obcego mężczyzny niż z własną matką chrzestną.

Jordan próbowała się tym nie przejmować. W końcu Beau był

ujmujący. Wiedział, o czym i jakim tonem rozmawiać ze Spencerem. Wiedział też, jak rozmawiać z nią. W głowie rozdzwonił jej się dzwonek ostrzegawczy. Nie pozwól mu się oczarować, Jordan. Już kiedyś dałaś się uwieść takiemu uroczemu mężczyźnie i jak się to skończyło?

Teraz będzie się pilnować. Już nigdy nie zakocha się w przystojnym, mówiącym miłe słówka czarusiu. Koniec, kropka.

- Ładnie tu - powiedział Beau, rozglądając się po kuchni Jordan. Spojrzał na trzy przykryte folią półmiski. - Zawsze tyle gotujesz dla was dwojga?

- Właściwie to nigdy nie gotuję w domu - odpowiedziała, sięgając po talerz do białej szafki z oszklonymi drzwiczkami.

- Racja, masz firmę cateringową. Byłbym zapomniiał. To znaczy, że załapałem się na świetną kolację. - Pochylił się i spojrzał na talerz Spencera. - Co to, ziemniaczane puree ze szczypiorkiem?

- Z szalotką.

- I... czy to duszona fasolka szparagowa?

- Tak! - Obróciła się do niego, zadowolona z jego kulinarnej dedukcji.

- Uwielbiam fasolkę szparagową - wyznał. - Babcia przyrządzała ją w dużym, białym emaliowanym garnku. Dusila ją godzinami, z boczkiem, cebulą, octem, melasą i sekretnym składnikiem.

- Z sekretnym składnikiem?

- Nie chciała powiedzieć mojej mamie, czego jeszcze dodawała - wyjaśnił Beau, uśmiechając się na to wspomnienie. - Mówiła, że dopóki ma siłę stać przy kuchni i przyrządzać fasolkę, dopóty nikt nie pozna jej przepisu. Obiecała, że zdradzi go mamie, gdy nadejdzie taki dzień, że nie będzie już mogła gotować sama.

- A gdy nadszedł, nie chciała tego zrobić? - zapytała Jordan, wyjmując sztućce z szuflady.

- Zmarła nagle, tuż po sześćdziesiątce. Miała rozległy wylew. Nikt z nas się tego nie spodziewał. Myśleliśmy, że będzie gotować jeszcze wiele, wiele lat.

- To straszne. Bardzo mi przykro.

- Tragedie się zdarzają. - Miał smutne oczy. - To stało się dawno

temu. Żałuję, że nie zostawiła nam przepisu na swoją pyszną fasolkę.

- Coś ci powiem. Jej przepis bardzo przypomina mój. Wymieniłeś wszystkie składniki, jakich używam, z wyjątkiem jednego.

- Czyli?

- Piwa. Wlewam całą butelkę. Dzięki temu fasolka ma lepszy smak.

Z uśmiechem pokręcił głową.

- Niemożliwe. Mama nie pozwoliłaby trzymać w domu alkoholu. Była baptystką z Południa. To musiało być coś innego.

- Może ostra papryka? - zapytała. - Wiem, że w niektórych przepisach każą ją dodawać.

- Wątpię. Fasolka babci nie była pikantna. Miała bardzo charakterystyczny smak, którego nie spotkałem od tamtej pory, a wierz mi, jadłem dużo fasolki szparagowej. W sercu jestem chłopakiem z Południa.

Patrzył, jak Jordan nakłada mu na talerz duże ilości zrumienionego na złoto kurczaka, puree ziemniaczane i fasolkę. Gdy podawała mu danie, spojrzął na chłopca, siedzącego obok.

- No i co, Spence? - zapytał. - Już wiem, że nie lubisz niebieskiego kurczaka. Co z resztą?

- Zgadnij - zaproponował Spencer.

- Przypuszczam, że nie lubisz tych małych zielonych listków w kartoflach.

- Ona powiedziała, że to jest jak cebula - wyjaśnił Spencer, nieprzyjemnym tonem wymawiając słowo „ona”.

- Dzieci na ogół nie lubią cebuli - zgodził się Beau. - Zwłaszcza zielonej. W ogóle dzieci nie lubią zielonego jedzenia. A najbardziej zielonej fasolki. Tak?

- Tak! - Spencer kiwnął głową. Z jego miny można było wyczytać, że oficjalnie mianował Beau bohaterem.

- Kiedy byłam mała, lubiłam cebulę, zieleninę i fasolkę - powiedziała Jordan, stawiając talerz przed Beau.

- Tak, ale ty byłaś dziewczyną- odparł Beau, jakby to wszystko wyjaśniało. Zwrócił się do Spencera. - Na pewno wolałbyś kanapkę z masłem orzechowym i dżemem.

Spencer energicznie pokiwał głową. Jordan zastanawiała się chwilę.

- Mam masło orzechowe - powiedziała. - A w kredensie stoi chyba słoik marmolady...

- Marmolady? - powtórzyli chórem Beau i Spencer.

- Co to jest marmolada? - zapytał chłopiec, krzywiąc się.

- Nie masz zwykłego dżemu? - Beau przyglądał się Jordan, jakby rzeczywiście podała mu zupę z gałek ocznych.

Czyżby nie wszystkie matki miały pod ręką dżem? Nie wiedziała, że marmolada się nie liczy? Dżem był fioletowy i lepki, można go było kupić w plastikowych butelkach do wyciskania.

- A może miód? - zapytał Beau. - Masz?

- Tak! Mam w domu miód! - Zrobiła taką minę, jakby właśnie odpowiedziała na pytanie za trzydzieści dwa tysiące w Milionerach.

- Jadłeś kiedyś kanapkę z masłem orzechowym i miodem, Spence?

- Nie.

- Chcesz spróbować?

- Tak! - odpowiedział chłopiec, a Beau natychmiast wstał.

- Zrobię ci taką.

- Ja się tym zajmę - zaprotestowała Jordan. - Ty spokojnie jedz.

- Nie, kanapki z masłem orzechowym i miodem to moja specjalność. Masz precelki?

- Precelki?

- Tak myślałem. A coś o podobnym kształcie?

- Mam tylko pałeczki z chleba czosnkowego z sezamem - powiedziała, wyjmując z kredensu masło orzechowe i słoik miodu.

To nie jest plastikowy pojemnik w kształcie misia, pomyślał Beau, tylko elegancki, szklany słoik z nazwą znanego producenta. Może to i lepiej, że nie ma znajomego słoika-misia, pomyślał sobie. Jego widok wydobylby na powierzchnię wspomnienia, do których nie powinno się wracać. Tylko że one same cisnęły mu się do głowy.

- Pałeczki z chleba czosnkowego z sezamem? - zapytał, żeby nie myśleć o wydarzeniach z przeszłości. - Mogę je zobaczyć?

Podniosła paczkę. Zerknął na zawartość i wzruszył ramionami.

- Mogą być.

- Zrobisz kanapkę z pałeczek?

- Nie, z chleba - powiedział, wieszając blezer na klamce i podwijając rękawy koszuli. - Pałeczki przydadzą się do czegoś innego. Odsuń się.

Uniosła ręce w geście, mówiącym „jak chcesz” i usiadła obok Spencera.

- Gdzie chleb? - zapytał Beau.

- W górnej szufladzie po lewej stronie.

- Noże i łyżeczki?

- W prawej górnej szufladzie.

Wyjął chleb z metalowego pojemnika - oczywiście zdrowy, pełnoziarnisty. Trudno. Wziął też dwa noże do masła i łyżeczkę. Jednym z noży posmarował chleb masłem orzechowym, a potem łyżeczką nakapał miodu.

Starał się nie odbiegać myślami od tego, co robił. Pozostać tu i teraz - w kuchni w Georgetown, przy chłopcu, którego tyle lat dzieliło od innej kuchni, innego malca i innej kanapki z masłem orzechowym.

- Jak myślisz, Jordan, co będzie z pałeczkami? - usłyszał pytanie Spencera.

- Nie mam pojęcia. Zaraz się przekonamy - odparła.

Jordan? Beau zdziwił się, że chłopiec zwraca się do matki po imieniu. Ale przecież wiedział, że w niektórych rodzinach panują takie obyczaje. Może to było modne na północy, ale nieco staroświecki dżentelmen z Południa uznał to za oznakę braku szacunku.

Zastanawiał się, gdzie jest ojciec Spencera. Andrea nie powiedziała, czy Jordan jest rozwódką, czy wdową. Nie powiedziała nawet, że Jordan ma syna. Na pewno uznała, że Beau nie umówiłby się na randkę z kobietą o takim bagażu życiowym.

To prawda, gdyby wiedział o Spencerze, raczej nie umówiłby się na to spotkanie. Cierpiał, patrząc na małych chłopców na huśtawkach, gdy przejeżdżał obok parku; jedzących przekąski, gdy odbierał lunch; przechodzących z rodzicami przez ulicę, gdy stał na światłach. Ten widok sprawiał mu ból.

Wydawało się, że wszędzie, gdzie spojrzał, były dzieci. Wszyscy

mali chłopcy przypominali mu tego jednego, który pozostawił w jego sercu niezabliźnioną ranę.

Gdy zobaczył Spencera, stojącego w drzwiach za Jordan, przeżył szok. Ale coś przyciągało go do tego dziecka. Tak jakby chłopca otaczała aura rozpacz. Beau zaprzagnął mu pomóc. Zamiast więc odwrócić się na pięcie i uciec, wszedł do środka. To dlatego teraz był w kuchni. Zrobił kanapkę. Zaniósł ją na talerzu Spencerowi.

- Ojej! Żaglówka!

- Podoba ci się?

- Jest wspaniała!

- To prawda - powiedziała Jordan z uśmiechem, przyglądając się jego dziełu.

Przeciął kwadratową kromkę chleba po przekątnej, po czym podzielił jedną z połówek na dwa trójkąty różnej wielkości. Ułożył wszystko na talerzu. Pałeczka czosnkowa imitowała maszt. Resztę chleba, w kształcie łodzi, umieścił pod żaglami.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - zapytał Spencer, odgryzając spory kawałek masztu.

Wzruszył ramionami, nie mogąc wydobyć głosu.

- Beau jest architektem - powiedziała Jordan chłopcu. - Na pewno potrafi zaprojektować wszystko, co można sobie wyobrazić. A teraz pozwólmy mu zjeść kolację. Mam nadzieję, że za bardzo nie wystygła.

- Na pewno nie. - Usiadł. Emocje odebrały mu apetyt. Dobrze pamiętał rzeźby w chlebie z masłem orzechowym, dowcipy, szczęśliwe dni trzyosobowej rodziny.

- Mogę to podgrzać w mikrofalówce - zaproponowała Jordan.

- Nie trzeba. - Nabrał na widelec trochę fasolki, podniósł do ust i zaczął mechanicznie żuć.

Nagle szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

- Nie do wiary! Smakuje tak samo jak fasolka babci.

- Na pewno?

- Tak! Identyczny smak. Pycha! Od jej śmierci nie jadłem czegoś równie dobrego!

Jordan uśmiechnęła się szeroko.

- Więc chyba ukrywała coś przed twoją mamą baptystką.

Zastanowił się. To wcale nie było takie nieprawdopodobne, że babcia chowała gdzieś w domu trochę piwa. Przypominał sobie, że któregoś roku mama oskarżyła ją o doprawienie świątecznego koktajlu jajecznego burbonem.

Beau jadł ze smakiem. Od lat nie miał w ustach czegoś tak pysznego. Zresztą, kiedy ostatnio jadł domowy posiłek? Lisa nie gotowała. Mama - owszem, ale nie miała do tego serca.

Po śmierci babci gotowała mu tylko Jeanette. Przyrządziła wszystkie jego ulubione potrawy: smażonego suma, grzanki z sosem mięsnym, chleb kukurydziany. Śmiała się, że go utuczy. Był już na dobrej drodze.

I nagle odeszła. Nie było już domowych posiłków, zresztą nawet gdyby ktoś je gotował, Beau nie miałby apetytu. Stracił go chyba na zawsze. Przynajmniej jeśli chodzi o jedzenie. Alkohol pił chętnie, to kołło ból. Z powodu nadmiaru alkoholu i niedożywienia Beau, któremu kiedyś groziła otyłość, schudł tak, że nie pasowały na niego żadne ubrania. Stał się cieniem siebie sprzed miesiący.

To Lisa pomogła mu się z tego wyrwać. Sprawiała, że przestał pić, karmiła go sałatkami i kielkami, prowadziła do sali gimnastycznej. Lisa miała bzika na punkcie zdrowego trybu życia. Beau przejął od niej jeden zdrowy nawyk. Nie interesowały go kielki pszenicy ani lody z tofu, ale codziennie trenował w klubie.

- Mój tata ma łódź na rzece - powiedział nagle Spencer, żując kawałek kanapki-żaglówki. - Ale nie taką. Tata ma jacht.

Beau wrócił do terażniejszości. Spojrzał na chłopca, potem na Jordan.

- Tak?

Wzruszyła ramionami. Miała zamglone oczy, jakby napłynęły do nich łzy. Nie trzeba było być geniuszem, żeby zorientować się, dlaczego. Spencer mówił o ojcu w czasie terażniejszym, więc jego rodzice na pewno się rozwiedli. Może były małżonki Jordan był typem playboya z jachtem i kochanką w każdym porcie.

- Zabiera cię w rejsy? - zapytał Beau, odkładając widelec i odsuwając pustą talerz.

- Tak, ale mama nie jest zadowolona. Mówi, że najpierw powinienem nauczyć się pływać.

- Chyba ma rację. - Znów spojrzął na Jordan. - Ale tata na pewno wkłada ci kapok, kiedy wypływacie na wodę.

- Uhm.

- To dobrze.

- A ty masz łódź? - zapytał Spencer.

- Mam. - Właściwie to miał kilka łodzi, ale nie zamierzał o nich opowiadać. Andrea pochodziła z Luizjany i dobrze wiedziała, jak zamożni są Somerville'owie. Na pewno powiedziała Jordan, że Beau jest bogaty. Nie musiał więc opowiadać ze szczegółami o żaglowcach, motorówkach i jachcie ani o innych rzeczach, które już nic dla niego nie znaczyły. Bez wahania zamieniłby to wszystko na...

Nie, musiał przestać tak myśleć. Co się stało, to się nie odstanie. Nie można cofnąć czasu czy pertraktować z losem. Nie ma szansy, żeby przebudzić się z tego koszmaru.

- Gdzie twoja łódź? - pytał Spencer.

- W Luizjanie, gdzie kiedyś mieszkałem.

- Och. Jacht mojego taty jest w Filadelfii. Tam mieszkamy.

- Mieszkasz z tatą? - Był zaskoczony. Założył, że sąd przyznał opiekę Jordan.

Spencer kiwnął głową.

- I z mamą.

- Wspólna opieka nad dzieckiem? - zapytał Beau Jordan.

Zrobiła zakłopotaną minę. Być może zadał jej zbyt bezpośrednie pytanie.

- Co to znaczy? - zapytał Spencer.

Teraz Beau poczuł się zmieszany.

- Mama ci to wyjaśni - powiedział.

- Zapytam ją... kiedy się spotkamy.

Wtedy do niego dotarło. Nic dziwnego, że w szafkach nie było dżemu. Że nie wyczuł naturalnego ciepła między Jordan a chłopcem. To dlatego Spencer zwracał się do niej po imieniu. Nie byli matką i synem.

Spencer nie był jej dzieckiem. Beau nie wiedział, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie. Rozczarowanie? A niby dlaczego? - zapytał się oskarżycielsko w myślach. Znał odpowiedź, choć wcale mu się nie podobała. Był zawiedziony, bo - przez krótką chwilę - pozwolił sobie

fantazjować. O sobie, Jordan i Spencerze. Wyobraził sobie, że jest członkiem ich małej rodziny. Rodziny, w której brakowało męża, tatusia. W marzeniach znów grał tę rolę.

Ale to było niewłaściwe. Przecież nie chodziło o nich. Jordan była nieodpowiednią kobietą. Spencer - nieodpowiednim dzieckiem.

Wyrwując się z rozmyślań, Beau przeniósł wzrok z dziecka na kobietę, która nie była jego matką.

- Myślałem, że to twój syn - powiedział po prostu.

Jordan pokręciła głową. Nie wyjaśniła sytuacji. Spencer pałaszował kanapkę, nieświadomy spojrzeń, wymienionych przez dorosłych. Wtedy Beau zorientował się, że nie tylko on czuje napięcie. Tak, miał swój życiowy bagaż. Ale z Jordan też działo się coś złego. Nerwowo splatała dłonie i zerkąła na zegarek, jakby na coś czekała.

Może czeka, aż wyjdę, pomyślał Beau, widząc, że spojrzęła na jego blezer, wiszący na klamce.

- Na pewno masz dużo zajęć - powiedział, wstając.

- Ty pewnie też - odparła, również podnosząc się.

W oczach Spencera zalśniło rozczarowanie.

- Musisz już iść?

- Tak - odpowiedział Beau, czując, że zaciska mu się żołądek. - Więc... do zobaczenia.

- Zobaczymy się?

Beau zdziwił się, widząc nagle zainteresowanie na twarzy chłopca.

Wcale nie miał tego na myśli. Po prostu przy pożegnaniu mówi się „do zobaczenia”. Nie miał zamiaru widywać się z żadnym z nich.

- Jasne - odparł, zerkając na Jordan. Nie potrafił nic wyczytać z jej liny. - To znaczy, chyba tak.

- Kiedy? Bo ja niedługo wracam do domu - nalegał Spencer.

- A kiedy wrócisz do domu?

- Gdy przyjedzie po mnie mama. Jest w...

- Niedługo po niego przyjedzie - wtrąciła Jordan. - Ale może wpadniemy na siebie przed wyjazdem Spencera. Prawda, mały?

Beau wiedział, że wcale tego nie chciała. Znał ten ton. W ten sposób dorosły uspokaja dziecko, które prosi o coś niewykonalnego.

Zirytowała go postawa Jordan. Może i był nierozsądny - przecież nie chciał tej znajomości. Ale ona chyba założyła, że już nigdy więcej się nie zobaczą. A nawet jeśli, to tylko przez przypadek, wpadając na siebie. Z jakiegoś powodu bardzo go to zmartwiło.

- Może przed twoim wyjazdem, a po moim powrocie z urlopu, w przyszłym tygodniu, wybierzemy się razem do zoo - powiedział Beau do Spencera, dziwiąc się samemu sobie.

- Wszyscy razem? - w głosie chłopca słychać było rozczarowanie.

Beau spojrział na Jordan.

- Albo tylko my dwaj, jeśli Jordan będzie zajęta.

Pokręciła głową.

- To nie jest dobry pomysł. Chciałam powiedzieć... - urwała. - Wiesz co? Zadzwoń do mnie i zobaczymy.

Odebrał to jako wyraźną odmowę.

- Dobrze - powiedział, odnosząc talerz do zlewozmywaka.

- Och, nie trzeba! - wykrzyknęła pośpiesznie. - Zostaw, włożę go do zmywarki.

Odniosł wrażenie, że chciała się go jak najszybciej pozbyć. Dobrze, wyjdzie. Ale zdziwiło go, że nagle stała się taka zamknięta. Zachowywała się tak, jakby chciał jej porwać dziecko czy zrobić coś równie strasznego.

- Sam trafię do wyjścia. Do widzenia, kolego - pożegnał się Beau, poklepując Spencera po policzku, w drodze do drzwi. Do Jordan powiedział tylko: - Dziękuję za kolację.

Nie usłyszał tego, co wymamrotała w odpowiedzi, bo właśnie zamykał za sobą drzwi.

Rozdział 4

W niedzielę po południu Jordan pierwszy raz wyszła ze Spencerem z domu. Musiała, bo skończył im się chleb i jajka. Poza tym, pomyślała, kupię jakieś przysmaki dla dzieci. Soczki w pudełkach, dżem... Och, i jeszcze makaron z serem.

Pomyśleć, że poczuła ulgę, kiedy Spencer zażądał makaronu z

serem na lunch! Ucieszyła się, bo potrafiła przyrządzić to danie. Miała nawet pod ręką wszystkie składniki. Bardzo się myliła.

W jej przepisie były trójkolorowe muszelki, sery gruyere i mascarpone oraz pokruszone, prażone orzechy włoskie. Ale Spencerowi chodziło o niebiesko- pomarańczowe pudełko, zawierające makaron kolanka i jakiś pomarańczowy proszek.

- Dlaczego musimy jechać aż tak daleko do sklepu spożywczego? - zapytał Spencer z tylnego siedzenia, gdy wyjechała na przedmieścia Wirginii.

Bo nie chcę się natknąć na nikogo znajomego, kiedy jestem z tobą, pomyślała ponuro, wjeżdżając w obcą okolicę pełną sklepów i restauracji o znanych szyldach: Target, Wal-Mart, Applebee's, Burger King. W pobliżu musiał być supermarket.

Już po chwili zobaczyła wielki sklep, więc zaparkowała. Na parkingu stało dużo samochodów, ale wszystkie należały do obcych ludzi - w przeciwieństwie do okolic jej domu, gdzie rozpoznawała już sprzedawców i często wpadała na tych samych klientów i sąsiadów.

Wysiedli z samochodu. Było tak gorąco, że powietrze wydawało się drżeć. Jordan otarła strumyczek potu z czoła i żałowała, że nie może zabrać Spencera na basen.

„Nikt nie może się dowiedzieć, że tu jest”. Słowa Phoebe znów rozbrzmiały jej w głowie, wywołując coraz bardziej znajomą falę przerażenia. Co się stało? Dlaczego od piątku nie mogła się skontaktować z przyjaciółką? Poprzedniego wieczoru kilkakrotnie próbowała zadzwonić do Phoebe. Dziś także, ale za każdym razem włączała się automatyczna sekretarka.

Czyżby Phoebe nie chciała sprawdzić, jak się czuje syn? Nie chciała z nim porozmawiać, zapewnić go, że już niedługo wróci?

Co jeszcze wtedy powiedziała? Jordan powtórzyła sobie wszystko w myślach, szukając jakiejś wskazówki. „Przykro mi cię w to wciągać...” W co? Te słowa sugerowały, że działo się coś bardzo złego. Coś strasznego. Niebezpiecznego. Zagrożającego życiu.

Jordan rozejrzała się czujnie po parkingu, niemal spodziewając się, że obcy ludzie będą się jej podejrzliwie przypatrywać. Ale nie dostrzegła nic niepokojącego. W niedzielne słoneczne popołudnie, na

parkingu przed supermarketem, nikt nie zwracał uwagi na nią i Spencera. Przecież nie było w nich nic niezwykłego. Wyglądali jak matka i synek, którzy wybrali się po zakupy.

Wzięła go za rączkę, ale się wyrwał. Próbowwała się tym nie przejmować, ale mimowolnie przypomniała sobie, jak szybko Spencer zaprzyjaźnił się z Beau. Pilnowała się, żeby nie iść zbyt szybko, bo małe nóżki Spencera musiałyby biec, by za nią nadążyć. Zwykle chodziła energicznie, a zakupy robiła prawie wyłącznie na potrzeby firmy. Bardzo rzadko kupowała coś do domu. Dzisiejsza wyprawa, pomyślała, będzie więc ciekawym i pouczającym doświadczeniem.

- Jeśli coś ci się spodoba, powiedz mi - poleciła Spencerowi, przepychając wózek przez elektroniczną bramkę i ciesząc się, że w sklepie było chłodno.

- Chcę takie - powiedział po chwili, wskazując na półkę z balonikami czekoladowymi. Jordan właśnie brała z dużego kosza dwa opakowania kawy.

Uśmiechnęła się.

- Lubisz czekoladę? Kto nie lubi? Dobrze, kochanie, weź kilka.

Wziął tyle baloników, że wystarczyłyby dla całej grupy przebiezańców stukających do drzwi w Halloween, i ułożył je w stosik obok kawy. Jordan spojrzała z powątpiewaniem.

- Czy mama pozwala ci jeść batoniki?

- Jasne. Cały czas. Jem je na śniadanie - odparł, patrząc jej prosto w oczy.

Zwalczyła uśmiech. Bystre dziecko.

- Skoro tak mówisz... Chodźmy dalej.

Idąc ze Spencerem przez sklep, dowiedziała się, że dieta czterolatka składa się z bardzo przetworzonych, pełnych konserwantów, gotowych potraw. Jeśli oczywiście chłopiec mówił prawdę o swoich posiłkach.

Chyba nie, pomyślała, gdy próbował jej wmówić, że co wieczór przed snem jadł lody z drażetkami M&M's i popijał słodzone napojem z puszki. Ale kupiła i lody, i drażetki, i napój. Wzięła też zestawy dla dzieci, zawierające miniaturowe ciastka, sos pomidorowy, tarty ser i pepperoni, chociaż mogłaby przygotować

pyszna, domową pizzę ze świeżymi pomidorami i bazylią.

Kupiła fasolkę w puszcze, zerkając z żalem na woreczki z fasolą, którą mogłaby na całą noc zalać wodą, a potem dusić z melasą, musztardą i grubymi plasterami boczku. Dołożyła jeszcze gotowy makaron z serem, dżem winogronowy i soczki w pudełkach, choć odniosła wrażenie, że składają się tylko z cukru i wody.

Gdy stali w kolejce do kasy, pozwoliła Spencerowi wziąć kilka lizaków i paczuszek gumy do żucia ze sprytnie ustawionych półek. Powiedział, że mama zawsze mu na to pozwalała.

W dzieciństwie ona i Phoebe często rozmawiały o tym, jakimi będą matkami. Uznały, że pozwolą swoim dzieciom jeść słodczyce na obiad i pizzę na śniadanie, nosić szorty w marcu przy ładnej pogodzie i przesiadywać przed telewizorem do późnej nocy. Postanowiły nie powtarzać błędów własnych rodziców i znieść niepotrzebne ograniczenia.

Cóż, pomyślała Jordan, wykładając produkty na taśmę, albo Spencer kłamał, albo Phoebe skrupulatnie realizowała ich plan. Jordan podejrzewała, że to ostatnie przypuszczenie było zbyt naciągane. Ale miło było trochę rozpieścić dziecko. Spencer rozchmurzył się pierwszy raz od... wyjścia Beau Somerville'a poprzedniego wieczoru.

Poczuła, że się rumieni na samo wspomnienie tego mężczyzny. Kiedy wyszedł, była zła na siebie, że zaprosiła go na kolację. Ale gdy wreszcie się położyła, wyczerpana po poprzedniej bezsennej nocy, szybko przeniosła się w krainę snów - gdzie czekał Beau.

We śnie byli razem, sami, i kochali się. Nagle obudziła się, mając wrażenie, że czuje smak jego pocałunków i dotyk jego ciepłych dłoni na swojej nagiej skórze. Czar prysnął. Szybko wróciła do rzeczywistości.

W pokoju gościnnym po drugiej stronie korytarza krzyczał Spencer. Chyba miał zły sen, bo kiedy wbiegła do jego pokoju, już był spokojny. Długo siedziała w ciemności przy jego łóżku, nie wiedząc, czy serce bije jej mocniej z powodu krzyku dziecka, czy też własnego snu o Beau.

- Jordan, mogę wziąć komiks? - zapytał Spencer, wrywając ją z zamyślenia. - Proszę!

Zerknęła na chłopca, który wskazywał półkę z gazetami i magazynami, również sprytnie umieszczoną przy kasie.

- Czy mama... - zaczęła, ale on już energicznie potakiwał. Zresztą, jakie to miało znaczenie?

Nie liczyło się, co Phoebe pozwalała mu czytać, jeść czy robić, ponieważ jej tu nie było. Teraz rządziła Jordan. Musiała znaleźć Spencerowi zajęcie na resztę dnia, bo nie mogli przecież nigdzie wyjść ani z nikim się spotkać.

- Dobrze - powiedziała. - Weź kilka. Wrócimy do domu i poczytamy. Wybrała też gazety dla siebie: gruby „Washington Post” i jeszcze grubszy „New York Times”.

Kiedyś prenumerowała prasę, ale przestała, bo nie miała czasu na lekturę. Pracowała również w weekendy i gdy wieczorem wracała wykończona do domu, nie chciało jej się czytać magazynu grubszego niż książka telefoniczna w metrze. Cały tydzień powtarzała sobie, że przynajmniej przejrzy gazety, ale nigdy tego nie robiła. W sobotę wyrzucała je do śmietnika na papiery, właśnie wtedy, gdy dostarczano jej nowe wydania.

Dziś na pewno będzie miała na to czas. Przeczyta obie gazety słowo po słowie, ale najpierw przebrnie ze Spencerem przez stos komiksów, które właśnie wrzucił do pełnego wózka.

Zapłaciła za zakupy i wyszli ze sklepu.

- Jest bardzo gorąco - poskarżył się Spencer, osłaniając oczy przed słońcem.

- Wiem, kochanie. W samochodzie włączymy klimatyzację. W domu też.

- Wracamy do twojego domu? - zapytał, wyraźnie zawiedziony.

- A co byś chciał robić?

- Iść do zoo. Beau powiedział...

- Ale Beau dziś nie ma - zauważyła Jordan. - Zresztą wyjeżdża na urlop. Chyba coś takiego mówił.

- Obiecał, że zabierze mnie do zoo.

- A nie poszedłbyś ze mną? - zapytała Jordan.

- Dziś?

Zerknęła na wózek pełen zakupów, gazet i komiksów.

- Myślałam, że dziś wrócimy do domu i sobie poczytamy.

- Poczytamy? - powtórzył z obrzydzeniem, jakby kazała mu czyścić podłogę szczoteczką do zębów.

- Nie chcesz przejrzeć nowych komiksów?

- Nie. Chcę iść do zoo.

- Ale, Spencer...

- Z Beau!

- Spencer...- westchnęła.

Był tylko małym dzieckiem i nudził się jak mops. Musiała jakoś go zająć, żeby nie myślał o zoo, Beau i matce. Rano wiele razy o nią pytał. Chciał się dowiedzieć, kiedy po niego przyjedzie i dlaczego właściwie go zostawiła.

- A może pójdziemy do kina? - zapytała nagle Jordan.

- Do kina?

- Tak. Zawieziemy zakupy do domu, bo trzeba włożyć jedzenie do lodówki, a potem wybierzemy się na jakiś film.

- Jaki?

- Sprawdzimy, co grają.

- Tylko nie o piratach! - powiedział szybko.

- Dobrze. Ja też nie przepadam za takimi filmami. Sam wybierzesz coś odpowiedniego.

Zamilkł, żeby to przemyśleć. Ona też się zastanawiała. W kinie będzie ciemno, nikt ich nie rozpozna. Znowu trzeba się ukrywać! Dlaczego odnosiła wrażenie, że niebezpieczeństwo czyha na nich na każdym kroku?

Bo właśnie to dała mi do zrozumienia Phoebe, przypomniała sobie. Na pewno? Czy Jordan nie doszukiwała się w słowach przyjaciółki czegoś, czego tam nie było? A może Phoebe nie mówiła poważnie, że to sprawa życia i śmierci?

Przypominając sobie zalęknioną minę Phoebe i jej przerażone oczy, Jordan odpowiedziała na własne pytania: „nie” oraz „tak” - w tej kolejności.

W sobotę późnym popołudniem Beau usadowił się przed telewizorem na skórzanej kanapie w kolorze bordo, w swoim salonie. Klimatyzacja działała ustawiona na pełny regulator, ale wciąż było gorąco. Zastanawiał się, czy nie wezwać dozorcę.

Wynajmował dwupokojowe, umeblowane mieszkanie w czteropiętrowym budynku z cegły niedaleko DuPont Circle. Mieszkanie bardzo mu odpowiadało, ponieważ było czyste, przestronne i wygodne.

Wszystko tam miało prostokątny kształt: pokoje, okna, meble, a nawet zasłony, zawieszane z geometryczną precyzją, bez najmniejszej fałdki czy zgniecenia.

W tym nowocześnie urządzonym mieszkaniu królowało szkło, lustra i lakier. Beau mimowolnie porównywał ten wystrój z kolekcją antyków w rodzinnym domu - o pięknych, giętkich liniach i pełnych wdzięku wykończeniach. Wyściełane meble miały ciepłe kolory, o wiele ładniejsze niż brąz i granat, dominujące tutaj.

Nie, to mieszkanie zdecydowanie mu się nie podobało, ale przecież było tymczasowe. Beau wiedział, że prędzej czy później kupi sobie dom i przywiezie rzeczy z Luizjany. Na razie jednak nie miał czasu i energii, żeby zainteresować się rynkiem nieruchomości.

Oparł się o poduszki na kanapie. Po całym dniu przed komputerem bolały go mięśnie karku. Dopiero teraz mógł się odprężyć. W jednej dłoni trzymał pilot do telewizora, a w drugiej - kanapkę ze sklepu, do którego wpadł po gazetę w drodze powrotnej z biura.

Jedząc, zmieniał kanały pilotem: zawody wrestlingu, program dla majsterkowiczów, kilka filmów fabularnych, prawdopodobnie wyciskaczy łez. Przez kilka minut oglądał relację z zawodów golfowych. Pomyślał, że dawno nie grał i że może powinien wziąć kije na urlop. Wynajęty dom na plaży znajdował się niedaleko jednego z najlepszych pól golfowych na Wschodnim Wybrzeżu.

Przy następnym kęsie stwierdził, że należało kupić kanapkę z szynką, a nie z indykiem. Ta nie miała smaku. Ale przecież wszystko, co dziś jadł, wydawało się nijakie w porównaniu z przepyszną kolacją, którą uraczyła go Jordan. Andrea MacDuff miała rację co do jednego: Jordan była znakomitą kucharką.

Właśnie, Andrea. Obiecał, że zatelefonuje do niej w sobotę i powie, czy przed wyjazdem na urlop zdaży wysłać plany jej domu do urzędu, żeby uzyskać pozwolenie na budowę. Cały dzień pracował nad tym projektem i wyglądało na to, że plany będą gotowe we

wtorek rano. Dzięki Bogu! Andrea MacDuff źle znosiła wszelkie opóźnienia.

Skończył kanapkę i sięgnął po telefon bezprzewodowy, leżący na prostokątnym (jakżeby inaczej?) szklanym stoliku przy kanapie. Skoro miał dobrą wiadomość, nie chciał zwlekać z jej przekazaniem.

Wybrał numer Andrei, wąpiąc, czy zastanie ją w domu, ale ona odebrała od razu.

- Beau! Cudownie, że dzwonicz! - wykrzyknęła ze swoim miękkim akcentem. - Co słychać?

- Jest dobrze, a nawet świetnie - powiedział wesoło. - Przed wyjazdem wyślę twoje plany do urzędu.

- Wspaniale, Beau!

Przez kilka minut omawiali zmiany, które na jej prośbę wprowadził do projektu. Obiecał, że prześle jej papiery do podpisu najpóźniej w poniedziałek po południu. Chciał już kończyć rozmowę, ale Andrea zaskoczyła go, mówiąc:

- Dokąd jedziesz z Jordan na romantyczny urlop? A może nie chcesz mi powiedzieć?

- Jordan? - warknął. - Dlaczego myślisz, że wyjeżdżam właśnie z nią?

- Rano dzwoniłam do jej biura, żeby zamówić zupę szpinakowo-cytrynową i paszteciki z pomidorami na małe przyjęcie, które wydają w tym tygodniu. Jej współnik powiedział, że wyjechała. Dał mi do zrozumienia, że poznała jakiegoś mężczyznę.

- Być może, ale nie chodzi o mnie. Poza tym ona wcale nie wyjechała - dodał Beau.

Od razu pożałował tych słów. Oczywiście Andrea zareagowała natychmiast.

- Skąd wiesz, że nie wyjechała?

- Widziałem się z nią wczoraj wieczorem - odpowiedział. Nie chciał się wdawać w szczegóły i mówić, jak do niej trafił, ale Andrea czekała na dalsze wyjaśnienia, więc dodał: - Zjedliśmy razem kolację.

- To cudownie! Co o niej myślisz?

- Była bardzo miła, Andreo, i bardzo ci dziękuję, że nas ze sobą poznałaś, ale...

- Ale co? Nie mów, że nie jesteś zainteresowany. Jest piękna, inteligentna, czarująca...

- To prawda - zgodził się Beau.

Tak, Jordan miała te trzy zalety i wiele innych. Od poprzedniego wieczoru myślał o tym jaką jest ciekawą osobą. Ale też mnożył powody, dla których nigdy nie powinien się z nią wiązać.

- W czym więc problem? - drażyła Andrea.

- Teraz jest bardzo zajęta siostrzeńcem, więc...

- Siostrzeńcem?

- Spencerem. Chłopczykiem, który u niej mieszka. Przynajmniej odniosłem wrażenie, że jest jej siostrzeńcem. Może się myłę. - Beau zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, co Jordan mówiła o Spencerze, kiedy wreszcie się okazało, że nie jest jej synem. Spencer chyba nazywał ją „ciocią Jordan”.

Nie, to ona tak mówiła o sobie, zwracając się do niego. Spencer mówił do niej po imieniu.

- Czy siostrzeniec też z wami pojedzie? - zapytała Andrea.

- Nie! Dlaczego miałby jechać?

- Pomyślałam, że może wybieracie się w trójkę, chociaż ty pewnie wolałbyś wyjazd we dwoje. W końcu...

- Andreo, zrozum, że nie jadę na urlop ani z Jordan Curry, ani z jej siostrzeńcem. Będę sam na Outer Banks.

- Dobrze, Beau - powiedziała Andrea irytującym, kpiarskim tonem. Oczywiście nie uwierzyła mu.

Przypomniał sobie o współniku Jordan. Ten człowiek powiedział, że wyjechała z mężczyzną. Spencer nie był mężczyzną, poza tym Beau odniósł wrażenie, że nie zamierzają nigdzie wyjeżdżać. Czyżby wzięła urlop, żeby opiekować się dzieckiem? Okłamała swojego współnika? A jeśli tak, to dlaczego?

Beau zdołał wreszcie zakończyć rozmowę z Andrea. Przez jakiś czas siedział na kanapie, myśląc o Jordan Curry i jej siostrzeńcu, o ile Spencer naprawdę nim był. Nie dostrzegł między nimi żadnej więzi. Widział wyraźnie, że Jordan nie była przyzwyczajona do obcowania z dziećmi. Co więcej, wydawała się spięta. Nie cały czas - bo w takim przypadku uznałby, że jest nerwowa z natury. Przecież wcale jej nie znał i liczyło się pierwsze wrażenie.

Ale analizując w myślach ich spotkanie, uświadomił sobie, że była na zmianę swobodna i czujna. Tak, jakby chwilami się odprężała, zapominając o jakimś dręczącym ją problemie. Natomiast gdy rozmowa stawała się zbyt poufna, odpowiadała wymijająco na jego pytania i dążyła do zmiany tematu.

Co się z nią działo? Coś było nie tak w tym domu i na pewno miało to jakiś związek z chłopcem.

Może Spencer był przybranym dzieckiem Jordan. A może własnym, tylko ona nie przyznawała się, że jest samotną matką. Nie. Czegoś takiego nie da się ukryć. Poza tym powiedziała, że Spencer nie jest jej synem. A chłopiec opowiadał o rodzicach i swoim domu w Filadelfii.

Tak czy inaczej Beau był prawie pewien, że Jordan ukryła przed nim - i przed swoim współnikiem - coś, co wiązało się ze Spencerem. Ale to nie była jego sprawa. Nie zamierzał się więcej spotykać z Jordan Curry... K Pomimo obietnicy złożonej Spencerowi przed wyjściem.

Spencer... Nie, kobiecie można składać obietnice, których nie zamierza się dotrzymać, ale nigdy dziecku, skarcił się w myślach. Przyrzekłem, że pójdę z nim do zoo. Nie mogę teraz zniknąć jak kamfora.

Nie miał pojęcia, dlaczego zaprosił chłopca do zoo. Ale musiał dotrzymać słowa. Postanowił, że wpadnie do nich przed wyjazdem do Karoliny Północnej. Wymyśli jakąś wymówkę i wykręci się od wycieczki. Stłumił wyrzuty sumienia, pojawiające się w jego świadomości. Pomyślał, że kiedy wróci z urlopu, Spencer na pewno będzie już w domu, w Filadelfii, a on raz na zawsze zapomni o wdziękach Jordan Curry. Taką miał nadzieję.

Ku zaskoczeniu Jordan, film był wesoły. Oczywiście sama nigdy nie wybrałaby animowanej komedii o podróży gadającego fortepianu do innej galaktyki, ale śmiała się z dowcipów sytuacyjnych razem ze szczerze ubawionym Spencerem.

Obejrzeni film, siedząc w tylnym rzędzie zatłoczonego kina i pogryzając czekoladki oraz popcorn z dużego kubelka. Jordan postarała się, żeby weszli na salę w czasie reklam, kiedy zgaszono

już światła, i wyszli jako Jedni z pierwszych, gdy tylko na ekranie pojawiły się napisy końcowe. Spencer nie protestował. Tak bardzo chciało mu się siusiu, że aż się skręcał.

Dla Jordan był to kolejny problem. Czy powinna go puścić samego do męskiej toalety? Czy raczej wziąć ze sobą do damskiej? Zastanawiała się nad tym, prowadząc go szybko do łazienki, znajdującej się przy wyjściu. Nie wiedziała, jak postępuje w takiej sytuacji matka małego dziecka, ale przecież nie miała wyboru. Nie mogła spuścić chłopca z oczu.

Zaprowadziła go do toalety dla pań i czekała przy kabinie. Chciała jak najszybciej wyjść z kina. Wybrała Cineplex na przedmieściu, oddalonym o dwadzieścia minut jazdy od Georgetown. Chociaż wątpiła, żeby na poranek przyszli jacyś jej znajomi, wołała nie ryzykować.

Bardzo ją martwił brak wieści od Phoebe.

- Spencer? Wszystko w porządku?! - zawołała, stukając w drzwi. Przed trzema kabinami już ustawiała się kolejka.

- Uhm. Już wychodzę.

Usłyszała, jak szarpie zasuwkę. Drzwi się nie otworzyły.

- Oj! - jęknął Spencer. Zasułka znów zaklekotała.

- Spencer? Nie możesz otworzyć?

- Próbuję.

- Ile lat ma pani synek? - zapytała jedna z kobiet z kolejki.

Jordan chciała wyjaśnić, że Spencer nie jest jej dzieckiem, ale przecież w ten sposób zwróciłaby na siebie uwagę.

- Cztery - odpowiedziała krótko i przysunęła się do drzwi. - Spencer, przesun zasuwkę w bok, dobrze? - poprosiła.

- Próbuję, ale się nie da.

Jordan spojrzała w dół, próbując ocenić, czy zdoła się przecisnąć pod drzwiami kabiny. Już miała to zrobić, gdy usłyszała szcęk i drzwi się otworzyły.

- Dzięki Bogu! Już miałam cię ratować. - Pochyliła się, chcąc przytulić Spencera, ale on odskoczył.

Kobieta, która pytała o jego wiek, pocieszyła Jordan konfidencyjnym tonem:

- Mój synek też ma cztery latka i nie lubi, kiedy przytulam go

przy ludziach.

Jordan odpowiedziała grzecznym uśmiechem.

- Nie jestem jej synem - poinformował Spencer tę i pozostałe panie w pomieszczeniu.

Przeżona Jordan poprowadziła go prosto do drzwi, mijając umywalki, chociaż krzyczał, że mama zawsze każe mu myć ręce po wyjściu z ubikacji.

Idąc ze Spencerem do samochodu, Jordan skarciła się w myślach za swoje obsesyjne zachowanie. Przecież nie ukrywała więźnia, do cholery jasnej, tylko opiekowała się swoim chrześniakiem?

Ale w żaden sposób nie mogła stłumić niepokoju. Dlaczego Phoebe jeszcze nie zadzwoniła? A jeśli nigdy nie zadzwoni? Jeśli porzuciła Spencera i uciekła na zawsze? Co wtedy?

Rozdział 5

Gdy Andy Rooney zakończył program publicystyczny *Sixty Minutes* i z głośników popłynęła muzyka towarzysząca napisom, Beau wyłączył telewizor i przeciągnął się. Nie ruszył się z kanapy od popołudnia. Oglądanie telewizji dobrze mu zrobiło, ale czuł, że wystarczy już tego relaksu. Nie lubił leniuchować.

Wstał, poszedł do kuchni i zajrzał do wysokiej, czarnej lodówki. Wewnątrz zobaczył tylko: keczup, musztardę, majonez, masło, kilka butelek piwa i białe, kartonowe pudełko z chińszczyzną na wynos, tak stare, że nie pamiętał już, co było w środku.

Wyjął pudełko i, nie otwierając go, wyrzucił do śmieci. Oddałby wszystko za resztki z kolacji, którą poprzedniego wieczoru poczęstowała go Jordan Curry! Zgłodniał na myśl o jej kurczaku *cordon bleu*.

Niechętnie przyznał sam przed sobą, że się za nią stęsknił. Cały dzień o niej myślał i korciło go, żeby zadzwonić. Oczywiście do Spencera, sprycyzował. Tylko że słuchawkę podniesie Jordan. Będą musieli porozmawiać. Może dziś będzie miłsza niż wczoraj, gdy wychodził. Może coś między nimi zaiskrzy i...

Co ja sobie wyobrażam, do diabła?

Przecież nie chciał, żeby zaiskrzyło. Nie chciał się wikłać w kolejny związek. Dobrze pamiętał, jak było z Lisa. Zorientował się, że po prostu ją wykorzystał. To było nieuczciwe. Próbował jej to wyjaśnić, zrywając. Mówił, że zasłużyła na kogoś lepszego niż on. Że powinna się związać z mężczyzną, który zechce planować wspólną przyszłość, a nie z nim, wciąż pograżonym w przeszłości.

Zaciskając usta, Beau wrócił do salonu. Sięgnął po gazetę - starając się nie widzieć leżącej obok słuchawki telefonu bezprzewodowego- i usadowił się z powrotem na kanapie.

Postanowił, że nie zadzwoni do Jordan Curry. Przynajmniej nie teraz. Czuł się zbyt sfrustrowany. Po prostu posiedzi i poczyta gazetę, żeby nie myśleć o Jordan i Spencerze. Przez jakiś czas mu się to udawało.

Aż zobaczył zdjęcie i artykuł na ostatniej stronie działu wiadomości z kraju.

- Muszę się kąpać? - wymamrotał sennym głosem Spencer, gdy Jordan prowadziła go do łazienki. Do wanny już lała się woda.

Czy musiał się kąpać? Jordan nie miała pojęcia. Phoebe nie mówiła nic o codziennych kąpielach, a Spencer przecież nie tarzał się w błocie. Ale miał na buzi pomarańczowe ślady sosu do spaghetti i chyba pochlapał sobie włosy napojem, bo były sztywne i nastroszone jak szczotka.

- Tak, musisz się wykąpać - odrzekła stanowczo.

- Ale ja jestem zmęczony.

Rzeczywiście tak wyglądał. Już podczas kolacji główka opadała mu niebezpiecznie blisko talerza ze spaghetti.

Jordan odgrzała dla siebie resztki wczorajszego kurczaka i fasolki. Każdy kęs przypominał jej mężczyznę, o którym chciała zapomnieć. W dodatku Spencer przy każdej okazji mówił o Beau i obiecanej wycieczce do zoo.

- To będzie krótka kąpiel - obiecała. - Zaraz potem możesz iść spać.

- Nie chcę spać! - zaprotestował.

- Przecież jesteś zmęczony.

- Wcale nie! - powiedział, tłumiąc ziewnięcie, gdy zdejmowała

mu T-shirt, również poplamiony sosem. Jordan pomyślała, że za jednym zamachem upierze wszystkie brudne rzeczy Spencera. Phoebe zapakowała mu dość ubrań, żeby wystarczyło jeszcze na kilka dni. Czy można było z tego wnioskować, kiedy po niego wróci?

Ta sytuacja zaczynała już męczyć Jordan. Nie sam fakt przebywania ze Spencerem - to było zaskakująco przyjemne, odkąd przestał się krzywić za każdym razem, gdy na niego spojrziała. Co prawda jeszcze nie do końca się z nią oswoił, ale w drodze powrotnej z kina rozmawiali z ożywieniem.

Było bardzo wesoło, dopóki Spencer nie zapytał o Phoebe. Gdy Jordan nie powiedziała mu nic nowego, zamilkł i posmutniał. Dobrze go rozumiała. Jak długo jeszcze będzie musiała się opiekować tym dzieckiem, nie mając żadnych wieści od jego matki?

Sięgnęła, żeby rozpiąć mu szorty. Odsunął się.

- Umie sam! - powiedział.

- Na pewno?

Kiwnął głową, wyraźnie zakłopotany.

- Możesz wyjść?

- Ale...

- Wykąpię się sam.

Zawahała się.

- Umyjesz sobie włosy i spłuczesz cały szampon?

- Tak.

- Dobrze. Ale zawołaj mnie, gdybyś potrzebował pomocy - poprosiła, zauważając, że wanna jest prawie pełna. Zakręciła kurek.

Wtedy usłyszała dzwonek telefonu. Wskoczyła z łazienki i pobiegła do najbliższego aparatu, w swojej sypialni. Wiedziała, że automatyczna sekretarka włączy się po czwartym dzwonku, ale jeśli to była Phoebe, mogła nie zostawić wiadomości.

Jeszcze z przedpokoju usłyszała, jak włącza się automat. Po jednym dzwonku? Być może szum wody zagłuszył poprzednie. Chwyciła słuchawkę w chwili, gdy jej nagrany głos prosił dzwoniącego o pozostawienie wiadomości.

- Halo?! - krzyknęła. Usłyszała tylko pyknięcie i krótki sygnał. Ktokolwiek dzwonił, już się rozłączył.

- Cholera jasna! - Wściekła Jordan trzasnęła słuchawką o widelki.

Wracala już do łazienki, ale nagle przypomniała sobie o dwóch sprawach. Po pierwsze, Spencer nie chciał, żeby pomagała mu w kąpieli. Po drugie, niedawno zainstalowała w telefonie kuchennym urządzenie do identyfikacji połączeń.

Beau rzucił słuchawkę i przeszedł przez salon do okna z widokiem na pomnik Waszyngtona. Spojrzał na biały obelisk, teraz szczególnie wyraźnie odcinający się od różowoszarego, wieczornego nieba. Patrzył, ale właściwie go nie widział. Serce biło mu jak młot.

Sekundę przed tym, jak się rozłączył, usłyszał głos Jordan. Ale jego palec chyba sam wcisnął przycisk, kończąc połączenie.

Beau nie wiedział, jak by się zachował, gdyby odebrała - nie miał też pojęcia, czy i jaką wiadomość zostawić na sekretarce. Ale teraz miał pewność, że Jordan była w domu. Wspaniale. Co dalej?

Gorączkowo rozważał wszystkie możliwości, które udało mu się wymyślić wcześniej. Mógł zapytać ją o chłopca wprost... albo zawiadomić policję. Zdrowy rozsądek podpowiadał, żeby się w to nie mieszać i zostawić sprawę władzom. Ale przed kilkoma chwilami, gdy podniósł słuchawkę, żeby wybrać numer policji, coś go powstrzymało i kazało mu zadzwonić do Jordan.

Ten sam instynkt zabraniał mu i teraz zawiadomić policję, chociaż podczas wizyty u Jordan odniósł wrażenie, że chłopiec źle się czuł w jej domu. A z artykułu w gazecie wynikało, że Spencerowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

W głębi serca nie mógł uwierzyć, że Jordan w jakikolwiek sposób zagraża temu dziecku. Beau nie wiedział, jak Spencer znalazł się pod jej opieką. Jordan była mu całkowicie obca. I, z tego co zauważył, Spencerowi też. Mimo to chciał wierzyć w jej niewinność. Podpowiadał mu to czysty, nielogiczny instynkt. Zatem...

Jeśli nie zadzwoni na policję, będzie musiał porozmawiać z Jordan. Ale jeżeli zrobi to przez telefon - a instynkt go zawiedzie - to nie wiadomo, jak ona zareaguje. Może wywieźć dokądś Spencera... albo zrobić coś gorszego.

Nie. Beau pokręcił głową. Jordan nie skrzywdziłaby Spencera.

Nie wiedział, co zamierzała ani nawet kim była, ale co do tego jednego miał całkowitą pewność.

Babcia mówiła, że Beau zna się na ludziach. Często przypominała zdarzenie z jego wczesnego dzieciństwa, kiedy to bez powodu ugryzł nowego urzędnika bankowego, pana Cheevera, w palec. I to do krwi! Niedługo później mężczyzna został aresztowany za defraudację. Wieść o tym incydencie zdziwiła wszystkich, z wyjątkiem babci. Babcia mówiła każdemu, kto tylko chciał jej słuchać, że spodziewała się kłopotów z Cheeverem, ponieważ zwykle przyjazny Beau znienawidził go od pierwszego wejrzenia.

Opowiadała też, jak Beau uparcie odmawiał pozowania do zdjęć z panną młodą, a nawet złożenia jej życzeń, na ślubie wuja Cala. Małżeństwo trwało bardzo krótko. Nowa żona Cala zaciągnęła mnóstwo długów i uciekła z żonatym mężczyzną.

- Mój Beau - mawiała babcia - nigdy nie udaje. Gdy kogoś lubi, od razu to okazuje, jeśli nie - nigdy tego nie ukrywa. A jeżeli nie cierpi jakiejś osoby, to zawsze ma powód.

Cóż. Beau polubił Jordan Curry. Nie chciał się z nią wiązać i nie ufał jej do końca, ale nie mógł teraz złożyć na nią doniesienia na policję, niezależnie od tego, co napisano w gazetach. Musiał sprawdzić, o co chodzi. Osobiście.

Po długim, gorącym prysznicu Jordan, jeszcze z mokrymi włosami, usadowiła się w wygodnym fotelu w rogu salonu, z gazetami, które kupiła po południu. Spencer leżał już w łóżku. Zasnął od razu, zanim zdążyła opróżnić pojemnik na brudną bieliznę, stojący w pokoju gościnnym. Wrzuciła ubrania do pralki, a potem włączyła telewizor, chcąc się trochę odprężyć przy starym filmie Franka Capry.

Nie mogła się skupić. Uświadomiła sobie, że cały czas czeka na telefon. Na razie nie dzwonił. Dlaczego Beau nie zostawił wiadomości?

Gdy zbiegła na dół, żeby sprawdzić, kto dzwonił, spodziewała się zobaczyć na wyświetlaczu numer telefonu i nazwisko Phoebe, a nie Beau Somerville'a. Najwyraźniej nie chciał zostawiać wiadomości na automatycznej sekretarce. Dobrze. Na pewno jeszcze

zadzwoń, a wtedy ona wymyśli jakąś wymówkę i powie, że ona i Spencer nie mogą się z nim więcej spotkać.

Tylko że Jordan chciała się z nim zobaczyć. Sama myśl o tym, że zadzwonił, widok jego nazwiska na małym, cyfrowym wyświetlaczu sprawił, że Jordan przeszył dreszcz. Wyobrażała sobie, że on marzył o niej prawie tyle samo, ile ona o nim.

Prawda jednak była taka, że Beau wcale nie zadzwonił do niej. Dobrze wiedziała, że chodziło o Spencera. Beau na pewno chciał dotrzymać złożonej dziecku obietnicy.

Pokręciła głową i rozłożyła gazetę, próbując się skupić na wiadomościach. W domu było cicho, nie licząc mruczenia lodówki i tykania zegara nad kominkiem. Dwa razy przeczytała artykuł o planowanej podróży prezydenta na Bliski Wschód, ale nie rozumiała ani słowa. Właśnie próbowała zabrać się do niego po raz trzeci, gdy ciszę przeszył przerażający krzyk.

Spencer. Jordan poderwała się z fotela i pobiegła na schody. Spencer krzyczał, coś mu się stało. W głowie kłębiły jej się przerażające myśli. Co zrobić, jeśli ktoś wszedł do domu? Może to porywacz? A może ktoś go skrzywdził? Przysięgła Phoebe, że zadba o bezpieczeństwo chłopca. Wpadła do jego pokoju jak opętana, gotowa na wszystko.

Ale nie na to, co zobaczyła.

Spencer spał, leżąc na plecach. Zdziwiona podeszła do łóżka, zastanawiając się, czy krzyk mógł pochodzić z innego źródła. Ale telewizor był wyłączony, a wszystkie okna zamknięte. Poza tym rozpoznała jego głos. Słyszała go poprzedniej nocy, gdy Spencer miał zły sen. Na pewno i teraz przyśniło mu się coś okropnego.

Nagle chłopiec zaczął poruszać głowę. Mamrotał coś przez sen. Jordan pochyliła się nad nim. Powiedział coś o jakimś pilocie, a może o piracie? Następne słowo było o wiele wyraźniejsze, to było „nie”, wypowiedziane dziwnym, wysokim, błagalnym głosem.

- Spencer... - Poglaskała go po głowie. - Już dobrze.

Chłopiec drgnął i przesunął się w bok.

- Nie... proszę... nie!

- Obudź się, Spencer - szepnęła Jordan. - To tylko zły sen.

Powoli otworzył oczy. Malowało się w nich przerażenie.

- To tylko sen - powtórzyła łagodnie Jordan, kładąc dłoń na jego policzku. - Wszystko w porządku. To nie działo się naprawdę.

- Właśnie że tak! - Cały drżał.

- Co ci się śniło?

- Pirat - odpowiedział bez wahania.

- On nie był prawdziwy, kochanie. Piratów nie ma.

- Są. Ten jest prawdziwy, okropny i bardzo zły. I ma czarną opaskę na oku.

Czarna opaska na oku. Tak, klasyczne wyobrażenie pirata może budzić strach: czarna przepaska oraz kapelusz z trupa czaszką i puszczelami, drewniana noga albo hak zamiast dłoni. Jordan przypomniała sobie, jak Spencer prosił, żeby nie oglądali filmów o piratach. Pamiętała, jak w dzieciństwie oglądała kreskówkę Piotruś Pan, a potem musiała spać przy zapalonym świetle - ze strachu przed kapitanem Hakiem.

- Piraci są tylko w kinie i w telewizji, Spencer - zaczęła, ale on przerwał jej bardzo gwałtownie.

- Nie tylko! Są prawdziwi!

- Kiedyś rzeczywiście istnieli - zgodziła się. - Wiele lat temu zeglowali po morzach i zakopywali skarby w ziemi. Ale już ich nie ma. - To nie była do końca prawda, ale uznała, że Spencer mówił o osiemnastowiecznych awanturkach, a nie o współczesnych morskich rabusiach.

- Kiedyś z rodzicami widzieliśmy prawdziwego pirata. Jest zły. Bardzo zły!

- Spencer...

Wtulił twarz w poduszkę.

- On po mnie przyjdzie! Chcę do mamy! - Rozszlochał się na dobre.

- Och, Spencer. - Jordan przytuliła go do siebie. Zesztywniał, ale nie pozwoliła mu się odsunąć.

Wreszcie poczuła, że trochę się odprężył. Tuliła go, głaskała po głowie i mówiła do niego cichym, kojącym głosem, aż znów zaczęły mu się zamykać oczy. Gdy główka opadła mu na poduszkę, przykryła go kołdrą i na palcach ruszyła w stronę drzwi.

- Zostań - poprosił cicho. Obróciła się i zobaczyła, że patrzy na

nią zaspanymi oczami. - Proszę...

To ją wzruszyło. Uśmiechnęła się. Odniosła niewielkie, lecz ważne zwycięstwo. Chciał, żeby była przy nim. Choć raz jej nie odtrącił.

- Zostanę - szepnęła.

Siedziała na skraju jego łóżka długo po tym, jak zasnął - tym razem spokojnie.

Wchodząc na schody prowadzące do domu Jordan, Beau wmawiał sobie, że jest przygotowany na wszystko. Ale dobrze wiedział, że to nie prawda. To, że Jordan Curry jest przestępczynią, wydawało mu się po prostu nieprawdopodobne.

Beau zawahał się, stojąc przed drzwiami. Otarł kroplę potu z czoła. Wcześniej oglądał w telewizji prognozę pogody, w której zapowiedziano, że wilgotność powietrza będzie wynosić niemal sto procent. Meteorolodzy nie pomylili się. Marzył o tym, żeby znaleźć się już na plaży na Outer Banks, o chłodnej, słonej wodzie obmywającej mu stopy i świeżej, oceanicznej bryzie wiejącej prosto w twarz. Nie będzie musiał długo na to czekać. Za kilka dni wyjedzie na urlop i wszystko się zmieni. Zapomni o nieznośnej, wilgotnej pogodzie, przestanie rozmyślać o rozstaniu z Lisa, nie będzie pracować...

Zapomni o Jordan Curry, Spencerze i artykule, który dziś przeczytał w gazecie. Nic dziwnego, że poprzedniego wieczoru była taka spięta i że nie chciała mówić o chłopcu.

Beau odetchnął głęboko. Teraz albo nigdy, pomyślał. Ale „nigdy” nie wchodziło w grę. Nie mógł tak po prostu wyjechać na wakacje. Zbyt dużo już wiedział i koniecznie musiał coś zrobić.

Zerknął na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Światła na ganku były zgaszone, ale przez zasłony dostrzegł w środku światło lampy. Jordan na pewno jeszcze nie spała. Zapukał.

Czekał kilka sekund. Drzwi otworzyły się o wiele szybciej, niż się spodziewał. Albo przypadkiem stała w przedpokoju, albo przybiegła z sąsiedniego pomieszczenia.

W drzwiach stanęła Jordan. Radosne oczekiwanie malujące się na jej twarzy szybko ustąpiło miejsca zaskoczeniu - a potem

rozczarowaniu.

- Rozumiem, że czekałaś na kogoś innego - powiedział sucho Beau i pozornie swobodnym gestem włożył ręce do kieszeni, żeby Jordan nie zauważyła, jak drżą.

- Nie czekałam na nikogo, ale kiedy usłyszałam pukanie, pomyślałam, że to może... Nie sądziłam, że to ty - dokończyła niezręcznie.

- Przykro mi, ale to ja.

- Widzę. - Nie odsunęła się na bok ani nie zaprosiła go do środka, tylko patrzyła na niego czujnie swoimi wielkimi zielonymi oczami. Miała na sobie bawełniane spodenki i białą bawełnianą bluzkę bez rękawów, odsłaniającą więcej, niż widział wczoraj... I więcej, niż chciał widzieć teraz.

Do diabła! W tej chwili nie powinien myśleć o tym, że Jordan była podniecającą kobietą, a on samotnym mężczyzną. Kłopot w tym, że najbardziej na świecie pragnął zapomnieć, że mogła być zamieszana w niewyobrażalnie okrutną zbrodnię. Wolałby nie pamiętać o Spencerze i o artykule w gazecie oraz o tym, że przysiągł sobie na zawsze skończyć z kobietami, miłością i namiętnością.

Nie mógł o tym wszystkim zapomnieć. Nie mógł też wziąć jej w ramiona i pocałować. Zbyt długo tłumił w sobie uczucia, by nagle stać się mężczyzną, którym był kiedyś. Zrobił więc to, po co przyszedł.

- Mogę wejść? - zapytał, siląc się na nonszalancję.

Była wyraźnie zaniepokojona.

- Teraz? - Spojrzała na siebie, jakby dopiero co zauważyła, że w takim stroju nie powinna się pokazywać obcemu mężczyźnie.

- O tak późnej porze nie powinnaś otwierać drzwi, nie wiedząc, kto przyszedł - pouczył ją.

- Wiem. Ale przecież mówiłam, że na kogoś czekałam. Na kogoś innego - dodała dobitnie.

- Tego nie mówiłaś. Powiedziałaś...

- Wiem, co powiedziałam.

- Na kogo czekałaś?

- Na koleżankę. - Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy, jakby rzucała mu wyzwanie.

Wiedząc, że mógłby pytać w nieskończoność, a ona i tak by nie odpowiedziała, zrobił krok w przód. Nie odsunęła się, żeby go przepuścić. Była tak blisko, że czuł miodowy zapach jej włosów.

Ogarnęło go nieracjonalne pragnienie, żeby podejść jeszcze bliżej i jej dotknąć. Przytulił twarz do jej szyi, włosów, wdychać ten piękny zapach... Zorientował się, że zrobił kolejny krok. Jordan nawet nie drgnęła.

Stał już w drzwiach, ale nie śmiał przekroczyć progu. Jeszcze nie. Musiał zdobyć jej zaufanie.

- Chciałem tylko o czymś z tobą porozmawiać, Jordan. Mogę wejść? Proszę.

Zmrużyła oczy i splotła ramiona, jakby chciała się za nimi ukryć.

- Przygotowywałam się już do snu...

- Gdzie Spencer?

Zauważył błysk niepokoju w jej oczach, zanim odwróciła wzrok.

- Śpi.

- Naprawdę musimy porozmawiać. To potrwa tylko minutę. Proszę!

Pokręciła głową i położyła dłoń na klamce.

- Ja... sądzę, że to nie jest dobry pomysł.

Ona się boi, pomyślał. Zobaczył, że drży jej ręka. Jordan okazała słabość, boi się, że ją skrzywdzę. Zalała go fala emocji. Rozpoznał przytłaczający instynkt opiekuńczy, którego nie czuł od lat. Od... od czasu, gdy poznał Jeanette.

Zmusił się, by o tym nie myśleć. Jeanette należała do przeszłości, a on musiał się skupić na tym, co działo się tu i teraz. Na Jordan.

Tłumiąc instynkt, który kazał mu chronić tę kobietę i pozyskać jej zaufanie, Beau nabrał przekonania, że była niewinna. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Cokolwiek stało się w Filadelfii, cokolwiek robiło u niej to dziecko... Na pewno miało to logiczne wytłumaczenie.

- Jordan, chcę ci pomóc - powiedział cicho. - Nigdy bym cię nie skrzywdził. Możesz mi zaufać. Wpuść mnie do środka i porozmawiajmy.

Nadal stała nieruchomo, z ostrożnym wyrazem twarzy.

- Jak to, chcesz mi pomóc? - zapytała nerwowo. - W czym?
- We wszystkim, czego potrzebujesz - odpowiedział lakonicznie.
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Nacisnęła klamkę i lekko pociągnęła drzwi do siebie.

Położył na nich dłoń.

- Nie zamykaj - poprosił. - Błagam. Powiedz, co się dzieje. Może zdołam ci pomóc.

- O czym mówisz? - W jej głosie słyhać było zdziwienie, ale na twarzy malował się niepokój. Chyba podejrzewała, o co mogło chodzić. Wiedziała, że Beau mówił o Spencerze.

- Słuchaj, czytałem dziś gazetę. Zobaczyłem jego nazwisko, to stało się w Filadelfii, więc domyśliłem się...

Patrzyła na niego, powoli kręcąc głową, jakby doszukiwała się sensu w jego słowach.

- Ale nie tylko o to chodzi - naciskał Beau, przyglądając jej się uważnie. - Było tam zdjęcie... Nie Spencera, ale rozpoznałem, że to ich syn.

Wyglądała na szczerze zdumioną. Jeszcze raz pociągnęła drzwi ku sobie, a on znów je przytrzymał.

- Beau, nie wiem, o czym mówisz. To nie ma sensu.

Musiał powiedzieć to wprost. Czy było inne wyjście? Czuł, że Jordan zaraz zatrzśnie mu drzwi przed nosem.

Odetchnął głęboko.

- Jordan, ja wiem, że ten chłopiec to Spencer Averill i wiem, co stało się z jego rodzicami. Ale nie wiem, dlaczego tu jest i czy ty miałaś coś wspólnego z ich zabójstwem.

Jordan czuła się tak, jakby tonęła w morzu bez dna.

Świat wokół niej nagle się zamazał, powykrzywił, odsunął. Nie mogła oddychać, a gdy próbowała się poruszyć, ciało wykonywało jej polecenia w zwolnionym tempie. Cofnęła się o krok, żeby odsunąć się od Beau i strasznych słów, które przed chwilą wypowiedział. Poczowała, że uginają się pod nią nogi. Osuwając się, zobaczyła, że Beau wyciąga do niej ręce. Podtrzymał ją. Starła się odetchnąć, zrozumieć cokolwiek z tego, co usłyszała.

- Jordan, dobrze się czujesz?

Nie mogła wydobyć głosu.

- Nie wiedziałaś. Mój Boże! Ty nie wiedziałaś!

Trzymał ją za ramiona tak, że nie mogła się ruszyć. Z myśli, kłębiących się w jej głowie, wyłoniła się jedna, że powinna się obawiać tego obcego człowieka. A jednak nie czuła strachu.

- Nie - wykrztusiła. - Nie wiedziałam.

- To on, prawda? Nazywa się Spencer Averill?

Pokiwała głową.

- A jego rodzicami byli Reno i Phoebe Averillowie?

„Byli” - to słowo ugodziło ją tak jak „zabójstwo”.

- Co się stało? - zapytała cichym, zachrypniętym głosem.

- W gazecie przeczytałem, że zostali zabici na łodzi. Podobno wyglądało to na egzekucję. Ciało odkryto w pobliżu miejsca zbrodni, ale policja do tej pory nie znalazła ich syna. Zaginął.

„Zabici. Egzekucja. Ciało. Zaginął”.

Powtarzała w myślach jego słowa, ale nie widziała w nich żadnego sensu.

- Policja założyła, że Spencer zginął z nimi, tylko ciało nie wypłynęło jeszcze na powierzchnię. Musisz mi powiedzieć, jak się tu znalazł i co wiesz o tej sprawie.

- Ja... nic nie wiem - urwała. Poczowała, że znów ją podtrzymuje.

- Usiądźmy - zaproponował.

Beau zamknął drzwi na wszystkie zamki, zaprowadził ją do salonu i pomógł usiąść na fotelu. Cały czas czuła się tak, jakby obserwowała tę scenę z dużej odległości, jakby w niej nie uczestniczyła.

Jej najbliższa przyjaciółka zginęła. Phoebe nie żyje. Ktoś ją zabił!

To wydawało się niemożliwe, a jednak się zdarzyło. Jordan ukryła twarz w dłoniach, przypominając sobie przerażenie Phoebe tamtej nocy. Czy naprawdę od tego czasu minęło tylko czterdzieści osiem godzin?

- Powiedziała, że to sprawa życia i śmierci - wymamrotała Jordan przez zaciśnięte gardło. - Ale nie wiedziałam...

- Nie wiedziałaś, że ma kłopoty? - zapytał Beau. Podniosła wzrok i zobaczyła, że przykucnął naprzeciwko niej. Wciąż trzymał

dłonie na jej ramionach.

- Przeczuwałam, że działo się coś złego, ale nigdy... - Jordan pokręciła głową, zastanawiając się, czy mogła postąpić inaczej.

- Czy była twoją przyjaciółką? - zapytał Beau.

Przyjaciółką? Jordan prawie nie mogła mówić.

- Tak, wychowałyśmy się razem. Potem ona wyszła za męża, a ja się wyprowadziłam... - Odetchnęła głęboko, próbując opanować emocje.

- Kiedy ostatni raz ją widziałas?

- W piątek wieczorem. Ni z tego, ni z owego przyjechała ze Spencerem i powiedziała, że musi go tu zostawić.

- Na jak długo?

- Tego nie powiedziała. Nie chciała nic wyjaśnić. Powtarzała tylko, że nie mogę nikomu zdradzić miejsca jego pobytu. - Jordan spojrzała Beau w oczy. - Wtedy pojawiłeś się ty.

- Tylko ja wiem?

- Że on tu jest? Tak, tak mi się wydaje.

Jordan otarła łzy z oczu. W głowie kłębiły jej się wspomnienia związane z Phoebe. Wspólna zabawa na starej, metalowej huśtawce na podwórku. Pieczenie świątecznych ciasteczek na zbiórce skautek. Liściki, które podawały sobie podczas lekcji...

Odeszła. Jak mogła umrzeć?

To do Phoebe zwróciłaby się, gdyby w jej życiu zdarzyło się coś bardzo złego. Tymczasem tym smutnym wydarzeniem była właśnie śmierć Phoebe, a Jordan nie miała się komu zwierzyć. Nawet rodzice byli bardzo daleko, gdzieś na statku u wybrzeży Alaski. Była załamana i osamotniona.

- Dobrze się czujesz?

Łagodny głos Beau przeraził ją. Spojrzała na niego niewidzącymi, zapłakanymi oczami.

- Nie. - To słowo zabrzmiało jak jęk. Po chwili uświadomiła sobie, że płacze w jego ramionach.

Tulił ją i pocieszał tak, jak ona niedawno tuliła Spencera. Podobnie jak Spencer, opierała się przez chwilę, ale znalazła pocieszenie w ramionach drugiego człowieka. Nie знаła go. Nie chciała go znać. Ale teraz potrzebowała go bardziej niż kogokolwiek

kiedykolwiek w życiu. Miała tylko Jego.

Wreszcie przestała płakać. Kręciło jej się w głowie, była słaba i roztrzęsiona, jak w czasie ciężkiej choroby.

Beau wyjął z kieszeni czystą chusteczkę do nosa. Jordan to zdziwiło, ale przypomniała sobie, że Andrea MacDuff nazwała go staromodnym dżentelmenem z Południa. Chusteczka była wykrochmalona, najprawdopodobniej droga, i pachniała czystością, tak jak on. Jordan zanurzyła w niej twarz, czując lekki, piżmowy, męski zapach. Chciała się ukryć. Nie mogła pozwolić, by odczytał jej myśli, tak niewłaściwe w tym momencie. Jak mogła o nim myśleć w ten sposób w tak strasznej chwili?

- Musimy zawiadomić policję - powiedziała poprzez delikatny materiał, zmuszając się, by powrócić do rzeczywistości.

- To chyba nie jest dobry pomysł, Jordan.

Zdziwiona, podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Dlaczego?

- Phoebe nie zawiadomiła policji. Przyjechała do ciebie. Wiedziała, że życie jej rodziny jest w niebezpieczeństwie, ale zaufała tylko tobie. Nie władzom. Na pewno miała jakiś powód.

Jordan powoli pokiwała głową. Miał rację, ale...

- Policja szuka Spencera. Tak chyba mówiłeś?

- Sądzą, że mógł zostać zamordowany z rodzicami, tylko nie odnaleziono jeszcze ciała. Ale pomyśl, Jordan... Ten, kto zabił Phoebe i Reno, wie, że ich syna nie było na jachcie. Morderca wie, że Spencer żyje i gdzie się ukrywa.

- Myślisz, że będzie go szukać?

- Phoebe najwyraźniej tego się obawiała. Z jakiego innego powodu zostawiłaby go tutaj? Na pewno sądziła, że u ciebie nikt go nie znajdzie.

- To prawda - zgodziła się Jordan. - Od lat prawie się nie widywaaliśmy. Ale w sercu zawsze była mi bliska. Ona na pewno czuła to samo - dodała łamiącym się głosem. Beau uściśnął jej dłoń.

- Nawet po latach miała do ciebie pełne zaufanie - powiedział cicho.

- Wiedziała, że zrobiłabym dla niej wszystko. Przyrzekłam jej, że Spencerowi nic się nie stanie.

- Dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o sprawie, myślę, że dla bezpieczeństwa Spencera lepiej będzie wszystko ukrywać. Nikt nie może się dowiedzieć, że chłopiec tu jest.

- Ty wiesz - powiedziała po prostu, ale z wyrazu jego twarzy wynioskowała, że rozumiał, do czego zmierza.

- Możesz mi ufać, Jordan - zapewnił ją. - Nie znamy się od lat, tak jak ty i Phoebe, ale daję ci słowo honoru, że nikomu nie powiem o Spencerze.

Znów zapragnęła zwrócić się do kogoś bliskiego - do Phoebe albo swoich rodziców. To oni ją pocieszali w dniu, gdy Kevin tak bardzo ją upokorzył. Tym razem nie miała komu się wyzalić. Nie miała nikogo oprócz mężczyzny, który przed nią stał.

- Potrzebuję czegoś więcej niż słowa honoru, Beau - powiedziała mimowolnie. Mówiła bez zastanowienia, szczerze. - Potrzebuję twojej pomocy.

Godzinę później, odjeżdżając spod domu Jordan, Beau spojrział na zegar na desce rozdzielczej i zobaczył, że dochodziła północ. Miał wyrzuty sumienia, że zostawiał ją i Spencera samych, ale nie mógł zostać dłużej. Byli bezpieczni, przynajmniej dziś. Jutro wróci, przyrzekł jej to.

Prośba o pomoc całkowicie go zaskoczyła. Poruszony jej błaganiami i widoczną słabością, zgodził się oczywiście, nie wiedząc dokładnie, czego od niego potrzebowała. Nie miało to zresztą znaczenia.

- Przyjdiesz jutro? - zapytała go. - Proszę... Nie mogę wyjść z domu, a boję się siedzieć tu z nim sama.

Kiwnął głową, on też się o nią bał i to bardzo. Zaproponował, że prześpi się na kanapie, ale Jordan odmówiła. Poczul ulgę. Po tym, co się stało, musiał stamtąd wyjść. Chociażby po to, żeby zebrać myśli.

Sytuacja była bardzo poważna. Dziecko zostało osierocone, a w dodatku groziło mu niebezpieczeństwo. Opieka nad Spencerem w tym trudnym okresie była zbyt dużym obciążeniem dla samotnej, przerażonej kobiety.

- Wrócę jutro - przyrzekł Jordan.

- Dziękuję. Tylko ty wiesz i tylko z tobą mogę o tym rozmawiać.

Muszę zdecydować, co dalej robić. Będę potrzebowała twojej rady.

Rady? Nie miał pojęcia, co robić. Czuł tylko, że nie powinni zawiadamiać policji. Uzgodnili, że porozmawiają rano. Miał nadzieję, że do tego czasu odzyska jasność myślenia.

Dojeżdżając do domu, Beau ziewnął. Ale gdy wyczerpany położył się spać, nie mógł się odprężyć. Wciąż myślał o dziecku, które straciło rodziców i o dylemacie przed jakim stała Jordan Curry. W pewnej chwili usiadł nawet na łóżku w ciemnym pokoju, bo instynkt nakazywał mu wsiąść do samochodu i wrócić do Jordan. Powstrzymał się tylko dlatego, że pukanie do drzwi o tak późnej porze bardzo by ją przestraszyło, zwłaszcza po tym, co przeszła. Być może już spała. On też powinien zasnąć. Jutro będą mieli ciężki dzień.

Powoli upływały nocne godziny, a Beau przewracał się z boku na bok, próbując obmyślić plan działania. Rano musiał załatwić kilka spraw w biurze, między innymi dopilnować wysyłki planów Andrei MacDuff. Co do wtorku... Chyba trzeba będzie odłożyć upragniony wyjazd na urlop. Uznał, że nie powinien się ruszać z Waszyngtonu. Nie opuścił Jordan i Spencera, bo przecież mogli go potrzebować.

Tuż przed zaśnięciem Beau coś sobie uświadomił. Stał się opiekunem Jordan i Spencera dużo wcześniej niż tego wieczoru, kiedy stanął na progu ich domu.

Jordan drżącymi palcami wybrała numer. Zdobyła go zaskakująco łatwo. Po prostu zadzwoniła do informacji, podała nazwisko, nazwę miasta - i już.

Usłyszała w słuchawce kilka sygnałów. Spodziewała się tego, przecież było już po północy. Wreszcie odezwał się niewyraźny, zaspany głos.

- Halo?

Głos nie brzmiał znajomo. Przez chwilę myślała, że źle się połączyła. Ale przypomniała sobie, że od lat nie rozmawiała z tym mężczyzną.

Odchrząknęła.

- Czy to Curt?

- Tak?

Usłyszała piknięcie na linii.

Czyżby się rozłączył?

- Curt? - powtórzyła.

- Tak? - Był wyraźnie zniecierpliwiony.

- Mówi Jordan Curry.

Cisza.

- Przyjaciółka Phoebe - wyjaśniła w chwili, kiedy on wykrzyknął „Jordan!”

Zamilkła.

Znów usłyszała piknięcie. Na pewno Curt przypadkiem wcisnął jakiś guzik.

- Dowiedziałam się o Phoebe... - Słowa uwięzły jej w gardle.

- Wiem. To koszmar. - Miał chrapliwy, zmęczony głos, jakby odbył już kilka takich rozmów.

- Kto mógł to zrobić jej i Reno? - zapytała Jordan.

- Całej trójce - powiedział. - Byli tam we troje. Nie znaleziono jeszcze ciała Spencera, ale...

- Curt, właśnie dlatego...

Urwała, bo znów usłyszała piknięcie w słuchawce. Wtedy coś przyszło jej do głowy. W telefonie Curta mógł być podsłuch. Dlaczego, do cholery, zadzwoniła? Nie powinna była tego robić. Wcale nie miała zamiaru. Ale po wyjściu Beau dosłownie oszalała z niepokoju i zmartwienia. Nie myślała logicznie, wybierając numer Curta.

- Słyszałeś to piknięcie? - zapytała ostrożnie.

- To w moim telefonie. Dzieje się tak od rana. Upał spowodował wyładowania elektryczne, więc są kłopoty z telefonami. - Westchnął, wyraźnie zmęczony.

- Bardzo przepraszam, że cię obudziłam - powiedziała Jordan. - Ja... czuję się bardzo samotna, a nie miałam do kogo się zwrócić. Rodzice wyjechali na wycieczkę, brat stacjonuje za oceanem... z nikim nie mogę o tym porozmawiać.

Z nikim oprócz mężczyzny, którego prawie nie znam.

Ale teraz nie było przy niej nawet Beau. Zostawił ją samą, pogrążoną w żalu i strachu.

- Dobrze zrobiłaś - powiedział Curt. - I tak chciałem jutro do

ciebie zadzwonić. Jak się dowiedziałas?

- Z gazety.

- Waszyngtońskiej?

- W dziale informacji z kraju - powiedziała, słysząc kolejne piknięcie w słuchawce.

- Nie dziwię się. Reno był bardzo znany.

- Czy policja ma podejrzanych?

- Raczej nie. Chyba mógł to być ktoś powiązany ze sprawami Reno. Ostrzegałem go, żeby rozważniej dobierał klientów. Zawsze się bałem tych opryszków, z którymi miał powiązania. I co teraz? - zapytał z goryczą Curt.

- Czy wiadomo już coś o pogrzebie? - zapytała.

- Jeszcze nie. Najpierw trzeba znaleźć Spencera. - Odchrząknął, nie chcąc, żeby z emocji załamał mu się głos.

Bardzo chciała powiedzieć Gurtowi, że jego siostrzeniec żyje i jest z nią bezpieczny. Ale z jakiegoś powodu nie mogła. A jeśli te piknięcia wcale nie były wynikiem wyładowań atmosferycznych? Jeśli oznaczały, że na linii jest podsłuch? Kiedyś czytała, że jeśli w telefonie jest podsłuch, to rozmówca słyszy jakieś dźwięki.

Próbowała sobie wytłumaczyć, że to po prostu wyobraźnia płata jej figle. Ale nie ośmieliła się ryzykować. Przynajmniej nie teraz. Nie dziś, gdy z bólu i strachu wszystko mieszało jej się w głowie.

- Wracaj do łóżka - powiedziała.

- Dobrze. Zadzwonię do ciebie, gdy tylko zapadną jakieś decyzje co do pogrzebu. Wciąż mieszkasz w Georgetown? Czy twój numer jest w książce telefonicznej?

- Tak - potwierdziła, żałując, że nie zastrzegła numeru.

Tak łatwo zdobyła numer telefonu Curta. Prawdopodobnie mogłaby 8° też znaleźć w Internecie. Jeśli ktoś podsłuchiwał... Przedstawiła się, kiedy Curt podniósł słuchawkę. Znając nazwisko, można było bez trudu zdobyć jej adres i numer telefonu.

Wpadam w obłęd, pomyślała, rozłączając się. Oczywiście, że w telefonie Curta nie było podsłuchu. Żyje przecież w normalnym, zwyczajnym świecie, a nie jednym z seriali kryminalnych, które kiedyś tak bardzo lubił oglądać jej tata.

Szara rzeczywistość.

Jej najlepsza przyjaciółka zginęła.

Jordan wybuchnęła płaczem i z całej siły rzuciła słuchawką o ziemię.

Rozdział 6

Kawa kupiona w supermarkecie bardzo się przydała. Nie było jeszcze dziewiątej, a Jordan piła już trzecią filiżankę mocnego naparu.

Z powodu kofeiny, a może także szoku i smutku, nie czuła jeszcze efektów nieprzespanej nocy. Wiedziała, że dzień będzie ciężki, ale nie miała wyboru, musiała stawić czoło temu, co miało nastąpić.

Po rozmowie z Gurtem prawie do rana płakała i starała się znaleźć jakieś informacje o podwójnym morderstwie w Filadelfii. Czytała gazety, przeszukiwała Internet i oglądała wiadomości w telewizji.

W programach CNN i MSNBC nie było nic o Phoebe i Reno. Jordan dała sobie spokój z Internetem, który nie działał prawidłowo. Kiedy udało jej się uruchomić przeglądarkę, wyświetlała tylko linki do Reno w Nevadzie i serialu telewizyjnego Przyjaciele, w którym jedna z bohaterek nosiła imię Phoebe.

Znalazła jednak artykuł, o którym wspomniał Beau. Było przy nim niewyraźne zdjęcie Phoebe i Reno. Z podpisu wynikało, że zdjęcie zostało zrobione rok temu, podczas imprezy dobroczynnej. Rzeczywiście, na podstawie tej fotografii Beau mógł wywnioskować, że Spencer jest synem Averillów. Dziecko było doskonałą kombinacją cech jasnowłosej, ślicznej matki i ojca - przystojnego bruneta.

Jordan zawsze podejrzewała, że Phoebe zakochała się w Reno Averillu ze względu na jego wygląd. Poza tym nie miał chyba innych zalet, no, może z wyjątkiem pieniędzy - ale Phoebe na pewno nie związałaby się z nikim z powodów materialnych.

Reno był adwokatem, specjalizującym się w sprawach karnych i jedynym żyjącym spadkobiercą zamożnej rodziny. Gdy ożenił się z

Phoebe, jego rodzice już nie żyli, a był jedynakiem. Phoebe wyjaśniła Jordan, że właśnie dlatego woleli cichy ślub od wystawnego wesela. Matka Phoebe zmarła dawno, kiedy były nastolatkami, a pracującego fizycznie ojca nie byłoby stać na organizację uroczystości.

Jordan czuła się jednak urażona, że Phoebe nie powiedziała jej o swoich małżeńskich planach. Dowiedziała się po fakcie, gdy Phoebe wróciła z podróży poślubnej z Karaibów. Teraz Jordan uświadomiła sobie, że była to pierwsza oznaka zmian, jakie zaszły w ich wzajemnych stosunkach.

Wiedziała, że w równym stopniu ponosi winę za rozluźnienie stosunków. Zaprzętały ją własne sprawy, prywatne i służbowe, więc trudno jej było kontaktować się codziennie - czy nawet co tydzień - z przyjaciółką, z którą niewiele już ją łączyło. Phoebe miała duży dom na przedmieściach Filadelfii, pracę w organizacji dobroczynnej, dziecko...

I męża, który, jak podejrzewali Jordan i Curt, uwikłał się w jakieś nie do końca czyste sprawy, które doprowadziły do śmierci jego i żony. W gazetach taktownie nazywano Reno szanowanym, choć kontrowersyjnym adwokatem. Bronił wyjątkowo ohydnych zabójców. Doprowadził do zwolnienia niejednego kryminalisty z powodu błędów proceduralnych. Jordan nie wiedziała, jak mógł spać spokojnie, wiedząc, że za jego sprawą mordercy wyszli na wolność i jak Phoebe mogła z nim żyć.

Teraz zastanawiała się, czy Reno rzeczywiście komuś się naraził i czy ten ktoś z zemsty zabił ich oboje.

Czuła gniew z powodu śmierci Phoebe, ale też ogromny żal. Płakała także nad Spencerem. Co go czeka? Kiedy skończy się śledztwo i Jordan ujawni, że przez cały czas opiekowała się chłopcem, zapadną ważne decyzje co do jego przyszłości.

Jordan nie pamiętała, czy Reno i Phoebe sporządzili testamenty. Prawdopodobnie tak. W końcu Reno był adwokatem. Na pewno wyznaczyli opiekuna dla dziecka na wypadek ich śmierci. Nie miała wątpliwości, że ona nie jest tą osobą. Reno nawet z nią nie rozmawiał. Z pewnością nie zgodziłby się powierzyć jedyne go syna samotnej przyjaciółce żony, mimo że była matką chrzestną Spencerza.

Zresztą Reno o tym nie wiedział. Phoebe, która była katoliczką, ochrzciła dziecko w kościele w ich rodzinnym miasteczku, kiedy przyjechała bez Reno w odwiedziny do ojca. Wyjaśniła Jordan, że Reno jest ateistą i nie zgadza się na wybieranie wyznania nowo narodzonemu dziecku. Powiedział, że kiedy Spencer dorośnie, będzie mógł sam podjąć decyzję, czy się ochrzcić.

Phoebe jednak nie potrafiła wyrzec się religii, wpojonej przez matkę, „ora młodo umarła na raka i do końca znajdowała pocieszenie w wierze. Jordan była z Phoebe przy jej matce podczas ostatniego namaszczenia i widziała, jaką ulgę przyniosło umierającej kobiecie. Wspomnienie matki, przyjmującej ostatni sakrament, musiało na zawsze wryć się w pamięć Phoebe, bo nie chciała pozbawić swojego synka pierwszego sakramentu.

Chrzest został chyba zaaranżowany w ostatniej chwili. Jordan cieszyła się, że spędzi trochę czasu z przyjaciółką. Myślała, że jadana lunch, ale Phoebe zawiozła ją do księdza Ralpha w kościele Świętego Krzysztofa. Sympatyczny, starszy ksiądz, który znał Jordan i Phoebe z lekcji religii, chętnie ochrzcił Spencera, którego Jordan kołysała w ramionach. Była szczęśliwa, że Phoebe właśnie ją wybrała na matkę chrzestną swojego syna.

Nie miało znaczenia, że ceremonia odbyła się potajemnie, a dziecko miało na sobie niebieskie śpioszki, a nie sukienkę obszytą starą koronką. Była wzruszona, że wciąż liczyła się dla Phoebe. Reno stanął między nimi, ale Phoebe zależało na przyjaźni z Jordan. Dwukrotnie powierzyła jej swojego syna: wtedy w kościele i teraz.

Jordan wiedziała, że tak jak Reno nie zgodziłby się na chrzest, tak nie pozwoliliby, żeby ona opiekowała się Spencerem, gdyby jemu i Phoebe coś się stało. Prawdopodobnie więc wybrali na opiekunów jakąś szanowaną w towarzystwie rodzinę. Może nawet Curta. Przekroczył czterdziestkę, miał żonę i dorastające dzieci, był właścicielem dobrze prosperującej firmy w Pittsburgu. Zapewne to jego wybrali na opiekuna Spencera.

Jordan wciąż wracała myślami do brata Phoebe. Żałowała, że do niego zadzwoniła, a zarazem było jej przykro, że nie mogła powiedzieć mu nic więcej. Był zrozpaczony po śmierci siostry i szwagra. Sądził, podobnie jak władze, że ciało jego siostrzeńca leży

na dnie rzeki Delaware.

Powinnam do niego zadzwonić ponownie, pomyślała Jordan. Powiedzieć mu, że Spencer żyje.

Ale Phoebe zabroniła mówić komukolwiek o miejscu pobytu chłopca. To samo powiedział wczoraj Beau.

Mogę zaufać Gurtowi. W końcu zaufałam mężczyźnie, którego prawie nie znam. Który wcale nie znał Phoebe.

Nie miała jednak wyboru. Beau przez przypadek znalazł się w samym środku wydarzeń. Gdyby teraz zadzwoniła do Curta, postąpiłaby wbrew radzie Beau i złamałaby przyrzeczenie złożone Phoebe - a zamierzała dotrzymać słowa nawet po jej śmierci.

Jordan siedziała przy kuchennym stole, ocierając łzy z oczu i bez przekonania dolewając mleka do kolejnej filiżanki kawy, gdy usłyszała kroki na schodach. Spencer się obudził. Całą noc obawiała się tej chwili. Nie chciała mu jeszcze mówić o śmierci rodziców, ale bała się, że spojrzy na nią i po prostu będzie wiedział.

Chłopiec wszedł do kuchni ubrany w piżamę z nadrukiem, przedstawiającym grę w baseball. Przecierał zaspane oczy. Jordan czuła, że zaraz pęknie jej serce.

- Cześć, jak się spało? - powiedziała prawie normalnym głosem, co bardzo ją zaskoczyło.

- Dobrze.

- Zjesz płatki? Masz duży wybór - zachęciła go, przypominając sobie wczorajszą wyprawę do sklepu. - Trix, Count Chocula, Colonel Crunch...

- Raczej Cap'n Crunch - poprawił, ziewając. - Mogą być.

- Już się robi! - Podeszła do szafki, żeby wyjąć opakowanie. Ona w dzieciństwie nie jadła słodzonych płatków kukurydzianych. Matka mówiła, że od tego psują się zęby. Zresztą Jordan nigdy nie przepadała za obfitymi śniadaniem.

Teraz, napełniając miseczkę dla Spencera, machinalnie włożyła do ust kilka płatków. Niewiele myśląc, przygotowała sobie porcję i usiadła na taborecie obok chłopca.

- Dlaczego to jesz? - zapytał, zanurzając łyżkę w miseczce.

- Bo jestem głodna - skłamała.

Wcale nie była głodna. Od poprzedniego wieczoru miała

zaciśnięty żołądek. Ale chciała się czymś zająć, żeby nie myśleć o osieroconym, nieświadomym dziecku, siedzącym obok niej.

- Myślałem, że lubisz tylko to, co zdrowe - powiedział.

- Nie zawsze.

- Widziałem, jak jesz warzywa i mięso. I pijesz kawę.

- Wczoraj w kinie jadłam batoniki - przypomniała mu.

- No tak. - Spojrzał na nią z pewnym szacunkiem. Może jednak nie była aż tak beznadziejna.

W milczeniu żuli płatki. Jordan zmuszała się do jedzenia, choć znów miała chęć się rozplakać. Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Chciała iść na górę, położyć się do łóżka i opłakiwać zmarłą przyjaciółkę. Ale musiała tu siedzieć z chłopcem, który tęsknił za mamą i nie miał pojęcia, że już nigdy jej nie zobaczy.

- Czy Beau zabierze mnie dzisiaj do zoo? - zapytał Spencer bez nadziei w głosie.

- Przyjdzie tu - odpowiedziała ostrożnie Jordan. - Ale nie wiem nic o zoo.

Buzia Spencera się rozjaśniła.

- Przyjdzie? Naprawdę? Kiedy?

- Chyba niedługo.

Jordan bardzo ucieszyły iskielki entuzjazmu w brązowych oczach Spencera. Pragnęła, żeby Beau się pośpieszył. Perspektywa spotkania z nim w ciągu dnia sprawiła, że to, co przedtem wydawało się nie do zniesienia, teraz było wykonalne.

Zastanawiała się, jak przetrwała bez niego noc. Dziwiło ją, że człowiek, którego znała tak krótko, stał się jej tak bliski w chwili ogromnej tragedii. Jordan wmawiała sobie, że taki sam wpływ wywarłby na nią każdy, kto pojawiłby się w tym nieodpowiednim - albo odpowiednim - momencie. Chciała wierzyć, że Spencer polubiłby każdego mężczyznę, który przyszedłby do jej domu i wiedział, że dzieci wolą dżem od jarzyn. Nie, powiedziała sobie stanowczo w myślach, ani w Beau, ani w moim nagłym przywiązaniu do niego nie ma absolutnie nic wyjątkowego.

Spencer uśmiechał się, jedząc płatki. Jordan zastanawiała się, jak długo zdoła ukrywać przed nim prawdę. Choć chłopiec nie umiał jeszcze czytać, ukryła gazetę z artykułem w swoich papierach na

górze, żeby nie zobaczył zdjęcia rodziców i nie zaczął zadawać pytań.

Skoro zabójstwo adwokata z Filadelfii i jego żony komentowano w ogólnokrajowych dziennikach telewizyjnych, trudno było przewidzieć, co media zrobią w sprawie zaginionego dziecka. Jeśli rozdmuchają sprawę i postawią hipotezę, że Spencera nie było na jachcie z rodzicami, to nie tylko policja i zabójca - co uświadomiła sobie z przerażeniem Jordan - będzie szukać chłopca.

- Co się stało, Jordan?

- Hm? - Zorientowała się, że Spencer patrzy na nią z zatroskaną miną, zapewne podobną do jej własnej. - Nic, kochanie. Skończ płatki. Będiesz mógł jakiś czas pooglądać telewizję.

- Kanał Disneya? Może będzie Out of the Box

- Jasne - odpowiedziała z ociąganiem, uświadamiając sobie, że właściwie powinna go trzymać z dala od telewizji, podobnie jak od gazet. Oczywiście nie było szansy, żeby dowiedział się o śmierci rodziców z kanału Disneya, ale przecież mógł wziąć pilot i zmienić program w czasie reklamy. Jakie byłyby konsekwencje, gdyby poznał straszliwą prawdę z telewizji, przed rozmową z Jordan?

Wiedziała, że nie powinna spuszczać go z oczu. Zresztą od początku miała taki zamiar. Jeśli zabójca Phoebe i Reno szuka tu Spencera, dopadnie go tylko po jej trupie.

Beau przyjechał do mieszkania Jordan tuż przed południem. Został płaczącego Spencera.

Przez całą drogę myślał o sprawach związanych z pracą, których nie załatwił. Ale wszystkie te zmartwienia natychmiast stały się nieważne, gdy zobaczył zapłakaną buzię, wyglądającą z salonu. Ścisnęło mu się serce.

- Hej, kolego, co się stało? - zapytał, wchodząc do tonącego w półmroku, klimatyzowanego przedpokoju i rzucając zatroskane spojrzenie na Jordan. Czyżby powiedziała chłopcu o śmierci jego rodziców?

- Ona nie pozwala nam iść do zoo - zatkał Spencer.

Pomimo ogromnej ulgi Beau zrobił poważną minę.

- Tak? Na pewno jest ważny powód.

- To prawda - potwierdziła Jordan, zamykając drzwi frontowe na wszystkie zamki i łańcuch.

Zmarszczki i cienie pod oczami świadczyły o tym, że miała ciężką noc. Wyglądała na wyczerpaną. Ciemne włosy niedbale związała w koński ogon, który już się przekrzywił. Miała na sobie pognieciony T-shirt i dzinsy z nogawkami obciętymi powyżej kolan. Była boso.

Wygląda jak dziewczynka, pomyślał mimowolnie Beau, choć wiedział, że nie powinien. Bał się, że zaraz odruchowo wyciągnie rękę, żeby odgarnąć jej z twarzy opadające pasma włosów tak, jak robił kiedyś Jeanette.

- Co z tego, że na dworze jest za gorąco? - złościł się Spencer. - To nie jest dobry powód, tylko głupi! Ona jest głupia!

- Uspokój się, Spence - poprosił Beau, widząc smutną minę Jordan. - Jordan ma rację. Jest o wiele za gorąco, żeby iść do zoo. Słońce bardzo mocno świeci, a powietrze jest tak wilgotne, że nie da się oddychać. - Na potwierdzenie swoich słów otarł strumyczek potu z czoła.

- Obiecałeś, że pojedziemy do zoo! Nie chcę już siedzieć w tym głupim domu. Nudzę się!

- Wcale nie musisz siedzieć w domu - powiedział Beau i sam się zdziwił.

Czuł na sobie zirytowane, pytające spojrzenie Jordan.

- Możemy się przejechać - zaproponował, patrząc na nią.

- Dokąd? - zapytał Spencer, mrużąc oczy, jakby się zastanawiał, czy znów nie wpaść w szal.

Beau czuł, że Spencer nie jest kłótliwym dzieckiem. Ale teraz chłopiec będzie się bał i tęsknił za domem, uwięziony w obcym miejscu z obcymi ludźmi. Spencer chciał tylko wrócić do domu, do mamy. Jak można było mieć mu za złe wybuchy złości?

- Nigdzie nie pojedziemy - oświadczyła stanowczo Jordan, rzucając Beau spojrzenie, które pytało z wyrzutem: „Jak mogłeś?”

- Dlaczego? - jęknął Spencer.

- Bo... na dworze jest bardzo gorąco i... i... - urwała, potrząsając głową, błagalnie patrząc na Beau, żeby ją wybawił.

- Rzeczywiście jest gorąco, ale mam klimatyzację w

samochodzie - odpowiedział. - Nie musimy nawet wysiadać - dodał dobitnie.

- Nie wysiadziemy z samochodu? - zirytował się Spencer. - Ale...

- Nie można cały dzień siedzieć w czterech ścianach - powiedział Beau do obojga. - Przejedźmy się po mieście. Nie miałem jeszcze okazji pozwiedzać, a Jordan na pewno będzie świetnym przewodnikiem.

- Ja chcę wsiąść - upierał się chłopczyk.

- Zobaczmy - powiedział swobodnym tonem Beau, pochylając się, żeby potargać mu włosy. - Skocz po buty, kolego. Po drodze możemy się zatrzymać obok łodziami.

- Zaraz wracam! - Spencer już był na schodach, przeskakując po dwa Stopnie.

Jordan zwróciła się do Beau z błyskiem w oku.

- Jak mogłeś? Nie możemy z nim nigdzie jechać. Ktoś go zobaczy! - syknęła.

- Mam przyciemniane szyby - powiedział spokojnie. - Biedak wariuje z nudów. Nikomu nie przyniesie to korzyści, jeśli będziecie tu tkwić cały dzień. Przejedźmy się z nim. Niech choć przez jakiś czas będzie szczęśliwy, zanim się dowie... - Urwał.

Kiwnęła głową. Znów ogarnął ją smutek, jakby cały czas czaił się w pobliżu i czekał na dogodny moment. Drżały jej usta. Szybko otarła łzy z oczu, unikając jego wzroku. Beau rozumiał, w jak wielkiej rozpacz pogrążyła ją nagła śmierć przyjaciółki. Wiedział, że Jordan nieprędko dojdzie do siebie - jeśli w ogóle jej się to uda. Przypomniawszy sobie własną tragedię. Czy nadejdzie kiedyś taki dzień, że nie będzie myśleć o żonie i synu z rozpaczą?

- Wiem, że cierpisz - powiedział łagodnie. - Wiem też, jak się boisz. Wszystko będzie dobrze. Spencerowi nic się nie stanie. Tobie też nie.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytała, podnosząc wzrok.

Nie mógł odpowiedzieć jej szczerze.

Bezwiednie sięgnął do pasma włosów, opadającego jej na policzek. Było tak, jakby jego dłoń należała do kogoś innego, jakby nie panował nad własnymi ruchami. Dotykając jedwabistych kosmyków, musnął też jej skórę. Jordan cicho westchnęła, ale nie

drgnęła ani się nie cofnęła.

Ośmielił się przez chwilę trzymać dłoń na jej policzku, a potem przesunąć kciuk w stronę brody. Lekko unióśł jej twarz, żeby spojrzała mu w oczy. W jej wzroku dostrzegł coś, czego się nie spodziewał. Iskierkę pożądania.

Jordan pragnęła go tak, jak on jej. Może to był nieodpowiedni moment, ale Beau nie mógł się cofnąć. Zrozumiał, że ona potrzebuje nie tylko jego emocjonalnego wsparcia. Że jej pragnienie jest fizyczne i równie prawdziwe, jak jego nagłe, palące pożądanie.

Zamknął na chwilę oczy, wiedząc, że kiedy je otworzy, iskierki w oczach Jordan znikną, a namiętne spojrzenia okażą się wytworem jego wyobraźni. Ale kiedy znów na nią popatrzył, nie miał wątpliwości, że oboje czują to samo. Pragnąc jej coraz bardziej, pochylił się i pocałował ją w usta. Chciała zaprotestować, ale gdy ich wargi zetknęły się, jęknęła z rozkoszy.

To był krótki, oszołamiający pocałunek, z którego Beau wynioskował jedno. Jordan Curry była niebezpieczna.

- Hej! Dlaczego ją całujesz?!- wykrzyknął wysoki głosik gdzieś nad nimi.

Beau odskoczył od Jordan, która natychmiast zakryła usta dłonią, jakby się oparzyła. Oboje podnieśli wzrok i zobaczyli Spencera stojącego na szczycie schodów. Trzymał w ręczce parę czarnych, gumowych sportowych sandałów.

Pełen obrzydzenia wyraz twarzy chłopca, mówiący: „Fuj! Dziewucha!” w innych okolicznościach ubawiłby Beau, ale teraz spojrzenie Spencera przywróciło go do rzeczywistości. Nie było w niej nic zabawnego.

Na szczęście Spencer nie oczekiwał odpowiedzi. Zbiegł po schodach i, całkowicie ignorując Jordan, poprosił Beau o pomoc we włożeniu sandałów.

- Ja... Pójdę się przebrać - wymamrotała i uciekła na schody. Beau usłyszał trzask zamykanych drzwi.

Malec jest na nią zły, pomyślał Beau, przykucając, żeby pomóc chłopcu zapiąć rzepy sandałów. Gniewa się, bo nie jest jego matką, a także dlatego, że zwróciłem na nią uwagę.

Sytuacja przypomina stary film, w którym nagle coś poszło nie

tak, pomyślał, pomagając Spencerowi wstać. W filmie nieszczęśliwa sierotka wyżywa się na opiekunce, aż nagle do akcji wkracza mężczyzna. Sierotka i opiekunka natychmiast się w nim zakochują. I stają się rodziną.

Ale to nie film. Nie będzie żadnej rodziny, ponuro pomyślał Beau. W dodatku najgorsze jeszcze się nie stało. Spencer nie wiedział, że stracił oboje rodziców i już nigdy nie wróci do domu.

W sypialni Jordan szybko się rozebrała i rzuciła ubranie na podłogę przy nieposłanym łóżku.

To do mnie niepodobne, pomyślała, patrząc na bałagan w pokoju. Od trzech dni - kiedy to Phoebe przywiozła Spencera - nie zadała sobie trudu, żeby otworzyć okiennice. Teraz też nie miała zamiaru tego robić. Przed chwilą cały jej świat rozpadł się w drobny pył, bo pocałował ją Beau Somerville.

Zerknęła w lustro nad biurkiem i zobaczyła wiele mówiący rumieniec na policzkach, a także czerwone plamki, pojawiające się na dekolcie, między ramiączkami stanika. Pamiętała, jak jej były narzeczony, Kevin, śmiał się, że z podniecenia rumieni się na dekolcie. Wyglądało to jak poparzenie słoneczne.

Cóż, Beau bardzo ją podniecił. Dlaczego ją pocałował? I jak ona mogła odwzajemnić pocałunek? To nie był odpowiedni czas na romans. Pomyślała, że nigdy nie będzie odpowiedniego momentu na przygodę z Beau. Nawet przed przyjazdem Spencera i śmiercią Phoebe miała dość zmartwień. Teraz po prostu ją przytłaczały.

Zresztą wyczuła już, że Beau także ma emocjonalnie problemy. Wytwarzał dystans za każdym razem, kiedy się widzieli, a nawet rozmawiali przez telefon. Nie trzeba było czytać w myślach, żeby wiedzieć, że nie miał ochoty na związek, i że Andrea MacDuff zmusiła go do tej randki, tak samo jak zmusiła Jordan. A skoro tak, to Beau nie powinien był jej całować. Wykorzystał ją w takiej chwili!

Jordan zaczęła się już oburzać, że ją odwiedził, ale przypomniała sobie, że przyszedł na jej prośbę. I że jeśli Beau wyjedzie, będzie musiała sama radzić sobie ze Spencerem.

A dzisiejszy poranek z chłopcem nie był przyjemny. Złościło go

wszystko, co robiła i mówiła, oprócz chwili, kiedy pozwoliła mu zjeść na śniadanie płatki Cap'n Crunch. To z jej winy nie obejrzał swojej ulubionej kreskówki i uderzył się palcem stopy o stolik. Nie chciał umyć zębów ani włożyć rzeczy, które mu przygotowała.

W dodatku cały czas zamęczał ją pytaniami o to, kiedy przyjdzie Beau i czy będą mogli jechać do zoo. Zniecierpliwiona Jordan w końcu powiedziała coś, czego nie miała zamiaru mówić, że kiedy przyjdzie Beau, wcale nie pojedą do zoo. Jeśli on się w ogóle pojawi. Miała już co do tego wątpliwości, chociaż dwa razy zadzwonił z biura, żeby powiedzieć, że będzie u niej, gdy tylko zdoła się wyrwać.

Może jednak byłoby lepiej, gdyby musiał zostać w pracy, pomyślała, otwierając szufladę i wyciągając pierwsze z wierzchu szorty. Były czarne, ten kolor pasował do jej nastroju. Włożyła je i jeszcze raz spojrzała w lustro. Nie mogła zejść na dół z dekoltem w czerwone plamki. Nie chciała, żeby Beau Somerville zobaczył, jak podniecił ją jeden pocałunek.

Uświadomiła sobie, że zbyt długo już nie dotykał jej żaden mężczyzna. Za długo nikt nie patrzył na nią tak, jak Beau tuż przed pocałunkiem

Tak musi pozostać jeszcze przez jakiś czas, powiedziała sobie stanowczo, szukając w innej szufladzie odpowiedniej bluzki. Jeśli chodzi o pana Somerville'a, to może sobie nie robić nadziei. Nie zamierzała ulec przystojnemu czarusiowi z Południa. Nie chciała nowych kłopotów.

W dniu swojego planowanego ślubu przysięgła sobie, że już nigdy się nie zakocha, a już na pewno nie w mężczyźnie podobnym do Kevina. W mężczyźnie, który kusi obietnicami, przy którym zapomina się o całym świecie i myśli się tylko o byciu razem.

Ale od czasu do czasu, gdzieś w zakamarkach jej umysłu pojawiała się myśl, że może jeszcze się z kimś zwiąże. Że może kiedyś zmęczy ją samotność. Że znajdzie się ktoś, przy kim zapomni o goryczy bycia porzuconą.

Tak, to mogło się zdarzyć. Ale wiedziała, że mężczyzna, który zdobędzie jej serce - jeśli kiedykolwiek się to zdarzy - na pewno nie będzie przypominał tego, który je złamał. Jeśli już myślała o odległej przyszłości, to wyobrażała ją sobie u boku spokojnego, dającego

poczucie bezpieczeństwa pana, małomównego, spokojnego dżentelmena przypominającego jej ojca. A Beau Somerville nie był podobny do Clarka Curry'ego. Czy można porównać wytrawne martini z ciepłym mlekiem?

Jordan z westchnieniem włożyła zielony golf bez rękawów i rozpuściła włosy. Dzień był stanowczo za ciepły, żeby nosić dopasowaną, bawełnianą bluzkę bez dekoltu, ale Jordan nie przejmowała się upałem na dworze. Martwił ją ogień, który rozpałił w niej Beau jednym zmysłowym pocałunkiem.

Zapadał zmierzch, gdy Beau podjechał pod dom Jordan. Radio, nadające starą piosenkę Vana Morrisona i szum klimatyzacji nagle umilkły, gdy wyłączył silnik.

- Wciąż śpi? - zapytał, odwracając się i patrząc na Spencera.

- Chyba tak - odpowiedziała Jordan.

Przez chwilę przyglądali się chłopcu, przypiętemu pasami bezpieczeństwa do tylnego siedzenia. Miał zamknięte oczy, lekko rozchylone usta - spokojnie oddychał. Spał od kilku godzin. Przespał całą drogę powrotną z parku w Wirginii Zachodniej, gdzie zjedli kolację pod gołym niebem.

Dzień minął im bardzo przyjemnie, pomimo ukrytego napięcia między Beau i Jordan oraz między Jordan i Spencerem. Najpierw wpadli do samochodowej restauracji typu fast food, gdzie kupili lody, a potem jeździli po Waszyngtonie, oglądając Biały Dom, Pentagon, muzeum Smithsonian i zabytki, omijając jednak zoo.

Beau codziennie widywał te miejsca z okien swojego samochodu, ale udawał przed Spencerem zdziwionego każdym mijanym zabytkiem. Spencer oczywiście błagał, żeby się zatrzymali, wysiedli i obejrzeliby wszystko z bliska. A Jordan za każdym razem odmawiała.

Beau dobrze ją rozumiał. W mieście było pełno ludzi, mieszkańców i dojeżdżających z okolic pracowników, robotników budowlanych i dyplomatów oraz turystów: rodzin, grup starszków, a także jednakowo ubranych dzieci, wysypujących się z autokarów. Nie mogli ryzykować, że ktoś, kto widział w gazecie zdjęcie Averillów, zobaczy Spencera i go rozpozna albo chociaż nabierze

podejrzeń.

Jordan zaproponowała, żeby pojechali do pięknego parku nad rzeką Shenandoah, niedaleko przystani promu. Powiedziała Beau - po cichu, żeby nie usłyszał Spencer - że mogliby poszukać jakiegoś odosobnionego miejsca, wysiąść z samochodu i pozwolić chłopcu trochę pobiegać. Zatrzymali się pod sklepem przy parku, kupili kanapki i napoje, a później zjedli posiłek przy piknikowym stole w zagajniku. W pewnej odległości przechodziło kilku turystów, ale żaden nie zwrócił uwagi na Spencera. Zresztą buzia chłopca kryła się pod daszkiem zbyt dużej czapeczki kibica Texas Rangers, którą na wszelki wypadek włożył mu Beau.

Jordan, siedząca na ławce w cieniu, patrzyła, jak Spencer i Beau siłowali się na ziemi, a potem wdrapywali na niższe gałęzie starego drzewa. Wyglądali jak ojciec i syn. Zastanawiała się, jaki był związek Spencera z Reno. Chłopiec rzadko mówił o ojcu, chociaż dziś kilka razy wspomniął już o matce.

Za każdym razem, gdy Spencer mówił o Phoebe, Jordan zbierało się na płacz. Na szczęście miała okulary przeciwsłoneczne, więc Spencer nie widział jej oczu.

W drodze powrotnej, gdy chłopiec spał, Jordan i Beau zostali właściwie sami. Nie doszło jednak do żadnej niezręcznej rozmowy. Grało radio i szumiała klimatyzacja. Przejechali prawie całą drogę w milczeniu, nie licząc wygłaszanych od czasu do czasu spostrzeżeń na temat narastającego ruchu ulicznego i ewentualnych objazdów.

Teraz Jordan żałowała, że nie skorzystała z okazji, żeby porozmawiać z Beau o ich sytuacji. Nie o pocałunku, o którym starała się zapomnieć, ale o Spencerze. Choć otrząsnęła się z szoku, w jaki wprawiła ją wiadomość o morderstwie jego rodziców, wciąż nie miała pojęcia, co robić dalej. Rozsądek podpowiadał, żeby nie robić nic - tylko czekać, aż coś się zdarzy. Ale na co właściwie miałyby czekać? Aż w gazetach pojawi się informacja o zakończeniu śledztwa i ujęciu podejrzanego? Aż do jej drzwi zapuka policja? A może aż okrutny zabójca ustali miejsce pobytu Spencera, bo podsłuchiwał jej rozmowę z Curtem, i przyjdzie, żeby go zamordować?

- Jutro wyjeżdżasz z miasta? - zapytała Beau, wiedząc, że nadszedł czas, by wysiąść z samochodu i pożegnać się. To była

ostatnia szansa, żeby z nim pomówić, zanim zostanie sama z przytłaczającym ciężarem.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Nie muszę.

- Jak to? Nie zaplanowałaś urlopu? Pewnie zarezerwowałaś miejsce w samolocie...

- Nie lecę - odparł szybko, może zbyt szybko, z dziwną miną, której nie rozumiała. - Jadę samochodem do Outer Banks.

- To bardzo daleko.

Kiwnął głową.

- Nie szkodzi. Wynająłem na tydzień dom na plaży. Ale nie muszę...

- Powinieneś jechać - przerwała mu stanowczo, jakby nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Zmusiła się, żeby to powiedzieć.

- Jesteś pewna?

- Co byś tutaj robił? Tylko to, co dziś.

- Jestem do twojej dyspozycji.

Pokręciła głową.

- Nie musisz mi pomagać w opiece nad Spencerem. Zajmę się nim, czekając na rozwój wydarzeń. Będę czytać gazety, dowiem się, czy już aresztowali człowieka, który... to zrobił - powiedziała, przypominając sobie o dziecku na tylnym siedzeniu. Choć miała pewność, że śpi, nie chciała ryzykować, że usłyszy coś o śmierci rodziców.

Niedługo zbierze w sobie odwagę, żeby powiedzieć mu, co się stało. We właściwym czasie.

- Śledztwo może trwać bardzo długo - zauważył Beau. - Mogą go nawet nigdy nie aresztować.

- Zobaczę, co się będzie działo - powiedziała. - Zaczekam, a kiedy uznam, że bezpiecznie będzie zawiadomić policję, zrobię to.

- Ale nie teraz.

- Nie - zgodziła się. - Nie teraz.

- Dobrze.

Długo milczeli.

- Zaniosę Spencera do domu - powiedział wreszcie Beau, otwierając drzwiczki samochodu.

Jordan kiwnęła głową i wysiadła.

Nawet teraz, gdy zapadała ciemność, upał był nie do wytrzymania. Cykady śpiewały swoją znajomą pieśń, gdzieś z tyłu przejeżdżały samochody. Jordan otworzyła drzwi i czekała, aż Beau wniesie dziecko po schodach.

Rozejrzała się po spokojnej, okolonej drzewami i żywopłotem uliczce, dochodzącej do głównej drogi Georgetown. Pomyślała, że ktoś może ich obserwować z okna któregoś domu lub kryć się w cieniu drzew.

Zrobiło jej się zimno na myśl, że jakiś zły człowiek mógłby tu szukać Spencera. Pomimo czerwcowego upału splotła ramiona. Odsunęła się, żeby przepuścić Beau, niosącego cenny ładunek.

- Położmy go do łóżka - szepnęła, gdy oboje znaleźli się w domu.

- Jest bardzo zmęczony - odszepnął Beau. - Na pewno będzie spał do rana.

Jordan poprowadziła Beau do pokoju gościnnego na drugim piętrze.

Odsunęła kołdrę, a Beau delikatnie położył śpiące dziecko. Szybko i sprawnie przebrał chłopca w piżamę, nie budząc go. Patrząc na Beau, Jordan uświadomiła sobie nagle, że na pewno kiedyś już to robił. Ona zawsze szarpała się z guzikami ubranek i nie wiedziała, gdzie jest przód malutkich spodni od piżamy. Beau chyba wiedział to instynktownie.

To dlatego, że jest mężczyzną, pomyślała nielogicznie.

Ale coś jej mówiło, że wcale nie o to chodzi. On po prostu już to robił. Za dużo było pewności w tym, jak przykrył Spencera pod samą szyję i pochylił się, żeby pocałować go w czoło, zanim odszedł od łóżka.

Odwrócił się i zobaczył, że Jordan mu się przygląda. Był zdziwiony wyrazem jej twarzy.

- Co się stało? - zapytał ściszym głosem, gdy ona wyłączała lampkę przy łóżku.

Pokręciła tylko głową, nie chcąc mu mówić o swoich domysłach, i pochyliła się nad Spencerem. Jej pocałunek wylądował blisko brwi malca. Podrapał się przez sen, jakby ukąsił go komar.

Beau i Jordan na palcach wyszli z pokoju. W korytarzu zatrzymała się przy klimatyzatorze, by obniżyć temperaturę. Tutaj, z dala od panującego na zewnątrz upału, było jej przyjemnie i ciepło.

Zeszła po schodach za Beau. Na dole spojrzeli na siebie. Chciała się pożegnać. Ale słowa, które padły z jej ust, bardzo ją zaskoczyły.

- Napijesz się kawy?

- Tylko jeśli masz mrożoną. Jest za ciepło na gorący napój.

Za ciepło na gorące pocałunki, pomyślała nieracjonalnie, starając się nie patrzeć na jego pełne usta.

- Mam mrożoną herbatę - powiedziała głośno.

- W takim razie chętnie.

Weszli do kuchni.

Zobaczyła migające światelko automatycznej sekretarki.

- Sprawdzę wiadomości - powiedziała. - Może...

Urwała, przypominając sobie, że już nie czeka na telefon od Phoebe. Jej przyjaciółka nigdy nie zadzwoni. Przetykając z trudem, podeszła do aparatu i wcisnęła odpowiedni guzik. Kasetą przewinęła się do początku.

Była tylko jedna wiadomość. Zostawiła ją pani Villeroy, staruszka mieszkająca w tym samym domu. Wścibska, irytująca sąsiadka często dzwoniła do Jordan, żeby coś pożyczyć albo poprosić o przysługę. Jak zwykle nie powiedziała, o co chodzi.

- Witaj, Jordan, tu Velma Villeroy. Zadzwoni, kiedy tylko wrócisz.

Jordan westchnęła i skasowała wiadomość. Po wszystkim, co się stało, nie była w nastroju, żeby rozmawiać z panią Villeroy. Postanowiła zadzwonić do niej nazajutrz.

- Koleżanka? - zapytał Beau, gdy kasetą znów się przewijała. Podeszedł i stanął metr za Jordan.

- Sąsiadka.

Po zaledwie kilku chwilach na dworze, w wilgotnym wieczornym powietrzu, Jordan była spocona. Strużki potu ściekały jej za golf. Wysuwając podbródek, dmuchnęła sobie na czoło i schyliła się, żeby rozwiązać białe, płócienne tenisówki. Zsunęła je ze stóp, marząc, żeby zdjąć też golf i pogniecione, lniane szorty.

Czuła na sobie wzrok Beau, gdy obróciła się i przeszła obok

niego po chłodnej, wyłożonej terakotą podłodze kuchni. Nie śmiała na niego spojrzeć. Bała się tego, co mogła wyczytać w jego twarzy, teraz, kiedy zostali sami.

Podeszła do szafki i wyjęła dwie wysokie szklanki w kolorze kobaltowym, otworzyła lodówkę i sięgnęła po dzbanek. Obok, na półce, stał koszyk brzoskwiń, które kupiła wczoraj.

- Jesteś głodny?

- Nie - odparł lakonicznie.

Spojrzała na niego, nalewając napój, i uświadomiła sobie, że ona jest głodna. Marzyła o kolejnym, przeszywającym duszę pocałunku. Jej opór stopniowo się rozwiewał. Była zbyt wyczerpana, żeby walczyć z pożądaniem, jakie czuła do tego mężczyzny. Wszystko, co przeszła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin - wiadomość o śmierci Phoebe, wrogość Spencera, brak snu, pocałunek - nadszarpane jej przekonanie, że musi się bronić. Nie potrafiła stawić czoła magnetycznej sile, która przyciągała ją do Beau Somerville'a.

Nie był odpowiednim mężczyzną dla niej. Nie takiego człowieka szukała. Ale teraz potrzebowała właśnie jego. I może to by wystarczyło. Przynajmniej na razie.

Przełknęła i starała się nie chwiać, idąc przez pomieszczenie ze szklanką dla Beau. Wziął ją od niej i upił łyk. Ona też napiła się zimnego, cytrynowego płynu, chociaż pragnienie znikło, gdy uświadomiła sobie, że znów są tylko we dwoje. W jej głowie kłębiły się nieprzyzwoite myśli.

Patrzyła, jak Beau opuszcza szklankę i oblizuje wargi. Wiedziała, że gdyby zamknęła oczy, mogłaby sobie wyobrazić, jak dotyka wilgotnymi ustami czulego punktu za jej uchem, jak kreśli językiem linie na jej szyi... O, Boże. Jak mogła myśleć o tym w takim momencie?

Starała się skupić na ważniejszej, zaprzatającej ją sprawie, ale nie potrafiła opanować wirujących myśli. Jak mogła sobie wmówić, że nie pragnie Beau, skoro pragnęła go tak, jak nigdy przedtem żadnego mężczyzny? Chciała, żeby zaniósł ją po schodach na górę, tak czule, jak niósł Spencera. Chciała poczuć się bezpieczna w jego ramionach, przytulić policzek do jego silnej piersi. Chciała, żeby delikatnie położył ją na łóżku i rozebrał. A potem...

Pragnęła, żeby się z nią kochał. To udowodniłoby jej, że życie może toczyć się dalej. Wreszcie uwolniłaby się od ograniczeń, które sobie narzuciła. Nie mogła już tłumić swoich uczuć - żalu, tęsknoty, bólu, pożądania.

Zielone oczy Beau spojrzały prosto na nią. Dostrzegła w nich odzwierciedlenie własnego niepokoju. Wiedziała, że on też to czuł. Że on również potrzebował wyzwolenia.

Beau powoli postawił szklanekę mrożonej herbaty na blacie kuchennym. Jeszcze wolniej sięgnął ręką po jej szklanekę. Oddała mu ją, wiedząc, a zarazem nie wiedząc, co będzie dalej. Wstrzymała oddech, patrząc, jak Beau ostrożnie stawia jej szklanekę na granitowym blacie, tuż obok swojej.

Znów spojrzeli sobie w oczy. Ze wzroku Beau wyczytała, że nie zamierza kryć swoich zamiarów.

- Jordan, jeśli natychmiast nie każesz mi się wynieść - powiedział zapalczywie, z twarzą oddaloną zaledwie o kilka centymetrów od jej twarzy - to oboje będziemy tego żałować.

W jej głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. On miał rację. Oczywiście, że tak. Wystarczyłoby mu kazać, a natychmiast by wyszedł.

- Wyjedziesz jutro z miasta? - zapytała. Jej głos był chrapliwy, niższy niż zwykle.

Kiwnął głową.

- Jeśli... jeśli tylko mnie tu nie potrzebujesz.

Pokręciła głową.

Zawarli milczące porozumienie. Spędzą razem tę jedną noc, a potem on wyjedzie. Jordan wiedziała, że zostanie sama ze Spencerem - ale to nie było tak straszne, jak konsekwencje tego, co właśnie zamierzała zrobić z Beau.

Przez długą chwilę, kiedy wpatrywali się sobie w oczy, wstrzymywała oddech.

Nagle Beau wziął ją w ramiona i pocałował. Gdy jego ciepłe, wilgotne usta dotknęły jej warg, Jordan odniosła wrażenie, że przenosi się w inny świat. Tutaj nie było świadomych myśli, zmartwień, ograniczeń. Liczyły się tylko zmysły.

Beau wsunął język w jej usta, tocząc z nią erotyczny pojedynek.

Gdy cofnął głowę, aż krzyknęła. Całował jej szyję, rozpalając czułe punkty za uszami. O takiej pieśczoce marzyła. Tulił ją do siebie. Czując jego pragnienie, przysunęła się do niego jeszcze bliżej, a on jęknął i uniósł ją tak, że oplatała go nogami i ramionami.

- Dokąd? - szepnął jej w ucho, zanim znów pocałował.

- Na górę - odpowiedziała, nie mogąc złapać tchu.

Jakby czytając w jej myślach, Beau zaniósł ją po schodach, mijając zamknięty pokój gościnny.

W sypialni zamknął drzwi nogą i położył Jordan na nieposłanym łóżku. Nie zwracając uwagi na pogniecione prześcieradło i kołdrę, zaczął ją rozbierać. Zdjął jej bluzkę i przez chwilę szarpał się z zapięciem stanika z przodu. Uniosła się, żeby było mu wygodniej, opierając się na łokciach. Wreszcie zdjął jej stanik, uwalniając piersi. Spojrzał na nią niemal z czcią, a potem dotknął sutka językiem.

Jordan z westchnieniem opadła na puchowe poduszki i kołdrę, leżące dokładnie pod jej głową i ramionami, poddając się fali zmysłów. Zapomniała o całym świecie, czując dotyk wilgotnych ust na jednej piersi, Potem na drugiej i w końcu niżej, na brzuchu.

Na chwilę uniósł głowę, rozpiął jej szorty i zsunął wraz z majtkami. Niecierpliwym ruchem rzucił je na podłogę, a potem delikatnie rozchylił jej uda. Otworzyła usta, żeby zaprotestować, gdy dotknął wargami intymnego miejsca, ale wydała z siebie tylko pomruk rozkoszy.

Oszołomiona wsunęła palce w gęste włosy Beau, przyciskając go do siebie, jakby ze strachu, że się odsunie. Ale on nie podniósł głowy ani nie przerwał pieśczo. Zbyt szybko poczuła dreszcz, zwiastujący orgazm. Poruszyła się, żeby przedłużyć oczekiwanie. Ale jego silne dłonie mocno trzymały jej biodra, a język wciąż pieścił... aż jęknęła z rozkoszy, wykrzykując jego imię.

Słyszac to, uniósł wreszcie głowę i przytulił się, ubrany, do jej nagiego ciała.

- Proszę - jęknęła, bo orgazm rozbudził w niej palące pragnienie. Szarpnęła jego koszulę, wsunęła dłonie pod zroszony potem materiał i zaczęła gładzić ciepłe, umięśnione ciało, unosząc biodra, żeby przytulić się mocniej.

Jęknął, gdy się o niego ocierała. Na chwilę zamknął oczy, ale

zaraz na nią spojrzął, jakby zmuszał się do skupienia. Zaczęła całować jego słoń od potu szyję. Ich biodra poruszały się razem w intymnym rytmie, aż zapragnęła być z nim jeszcze bliżej, zdjęć mu ubranie, które go od niej oddzielało. Szarpnęła pasek jego spodni, ale on położył dłoń na jej ręce.

Zdziwiona spojrzała na niego.

- Jordan... nie mam... nic - rzekł chrapliwie. Od jego oddechu poruszały się jej włosy. Prezerwatywa. Nie miał prezerwatywy. Poczowała ogromne rozczarowanie.

- A ty... - urwał, widząc jej minę. - Tak myślałem - powiedział po prostu.

Zsunął się z niej i położył na plecach, oddychając ciężko. Leżała przy nim, patrząc na powoli obracający się wiatrak nad łóżkiem i stopniowo wracając do rzeczywistości. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że gdyby Beau nie pomyślał o zabezpieczeniu, jej nie wpadłoby to do głowy. Pragnęła go tak bardzo, że nie pomyślała o ciąży czy chorobach wenerycznych. Nawet teraz kusilo ją, by zaryzykować. Zrobiłaby to może, gdyby on nie usiadł, odsuwając się od niej. Erotyczny czar przysł.

- Powiniennem już iść - powiedział, nie patrząc na nią.

Instynktownie naciągnęła kołdrę na swoje nagie ciało. Nagle poczuła się zawstydzona. Wróciliśmy do niezręcznych podchodów, pomyślała smutno. A przecież była zdecydowana na tę jedną, wspólną noc.

Zmysłowa ucieczka od rzeczywistości potrwała krócej, niż zaplanowała Jordan.

- Poradzisz sobie, kiedy pójde? - zapytał dżentelmen z Południa, pochylając się, żeby zawiązać buty.

- Oczywiście - skłamała.

- Nie chodzi mi tylko o to - powiedział, prostując się i patrząc na nią. - Mówię też o Spencerze.

- Dam sobie radę.

- Co zrobisz?

Zauważyła, że powiedział do niej „ty”. Odniosła wrażenie, że są zespołem. To za jego sprawą tak się działo. Nieważne, co wmawiała sobie, czy powiedziałałaby jemu... Nie chciała, żeby wyjeżdżał tak

daleko i zostawił ją samą z żalobą i Spencerem, w obliczu niejasnego zagrożenia, o którym wspomniała Phoebe.

Spojrzał jej w twarz.

- Jeśli mnie potrzebujesz...

- Nie - odrzekła ostro. - Możesz jechać. Naprawdę. Zastanowię się, co zrobić.

- Na pewno?

Kiwnęła głową. Wstał.

- Zadzwoń po powrocie. Nie będzie mnie tylko tydzień.

Znów kiwnęła głową, nie mogąc wydobyć głosu.

- Dobrze więc. Niedługo się odezwę. - Patrzył na nią, idąc w stronę drzwi.

Nie poszła za nim.

- Nie odprowadzisz mnie na dół? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Powinnaś zamknąć za mną drzwi, Jordan. Na wszelki wypadek.

- Zrobię to - powiedziała, starając się nie okazać goryczy i strachu. Znów zostanie sama. Być może w niebezpieczeństwie. Ale nie mogła go poprosić, żeby został, a on nie powtórzył propozycji.

Stał przy drzwiach, czekając.

- Idź, Beau. Zaraz zejść na dół i zamknę drzwi. - Udało jej się odezwać.

- Dobrze.

Kiwnął jej ręką i zniknął. Leżała, słuchając odgłosu jego kroków na schodach. Usłyszała, jak otworzył drzwi i zdecydowanie je za sobą zaniknął.

Nie trzasnęła, pomyślała smutno, ale równie dobrze mógł to zrobić.

Rozdział 7

We wtorek rano przy łóżku zadzwonił budzik, nastawiony poprzedniej nocy. Beau natychmiast oprzytomniał. Obrócił się, żeby go wyłączyć. Zobaczył, że nie minęła jeszcze piąta. Postanowił wstać i wziąć prysznic, tym razem gorący, w przeciwieństwie do

tego, który zafundował sobie przed pójściem spać.

Po powrocie od Jordan całe ciało bolało go z frustracji i niezaspokojonego pragnienia. Dlatego wszedł pod strumień lodowatej wody, mając nadzieję, że uspokoi się na tyle, żeby zasnąć. Ale upłynęło kilka godzin, zanim pogrążył się w drzemce. We śnie wrócił do miejsc, o których tak intensywnie myślał. Z początku widział tylko Jordan i Spencera. Czuł, że grozi im niebezpieczeństwo, a on zostawia ich na pastwę losu.

Koszmar niespodziewanie ustąpił miejsca innemu. Jordan i Spencer stali się Jeanette i Tylerem. Wiedział, że są w niebezpieczeństwie, że musi ich ratować, ale nie mógł do nich dotrzeć. To był znajomy sen, który nawiedzał go od lat. Jednak podobieństwo zmarłej żony i syna do Jordan i Spencera sprawiło, że Beau poczuł się bardzo dziwnie.

Wyszedł spod prysznica i wytarł się. Włożył krem do golenia, golarkę i dezodorant do skórzanej kosmetyczki podróżnej. Zawierała już kilka rzeczy, których nigdy nie wyjmował: zapasowe ostrza do golariki, środek przeciwbólowy, sznurowadła i paczuszkę prezerwatyw.

Na ich widok pokręcił głową. Gdyby wczoraj miał je przy sobie, sprawy przybrałyby zupełnie inny obrót. Ale on nie należał do mężczyzn, którzy na wszelki wypadek noszą prezerwatywy w portfelu. W całym swoim życiu był poważnie związany tylko z dwiema kobietami - Jeanette i Lisa. To właśnie z powodu Lisy trzymał prezerwatywy w kosmetyczce.

Rok temu odstawiła pigułki antykoncepcyjne, mówiąc, że ma po nich mdłości. Ale mniej więcej w tym czasie zaczęła wciąż mówić o ślubie z Beau i urodzeniu mu dziecka. Podejrzewał, że przerwała stosowanie pigułek z myślą o ciąży. Dla niego był to początek końca ich związku. Wiedział, że już nigdy się nie ożeni i że krzywdzi Lisę, która zasłużyła na małżeństwo i dzieci - na to, co on miał, ale stracił.

Poszedł do kuchni. Przygotowując sobie miseczkę płatków kukurydzianych i szklankę świeżo wyciśniętego soku, zastanawiał się, jak zaplanować dzień. W nocy postanowił, że wpadnie na krótko do biura i załatwi ostatnie drobiazgi, którymi nie miał czasu zająć się wczoraj, a potem wyjedzie w długą podróż na Outer Banks.

Jordan nie powiedziała nic, co mogłoby go skłonić do zmiany planów.

Żałował, że tak bezmyślnie wylądowali razem w łóżku... Och, nie, do cholery. Żałował czegoś innego. Tego, że nie był przygotowany do pójścia z nią do łóżka. Nie miał wątpliwości, że gdyby ich wzajemny pociąg osiągnął naturalne zakończenie, on nigdzie by dziś nie wyjeżdżał. Leżałby w jej pościeli, w jej ramionach.

Jego ostrożność zniszczyła rodzący się, kruchy związek - emocjonalny, nie tylko seksualny. Odsuwając się od niej, postawił między nimi wielki, kamienny mur. A co powinien był zrobić? Nie dbać o zabezpieczenie? Już raz tak się stało. Z Jeanette.

Poznał ją w Europie, podczas wakacji po ukończeniu studiów na wydziale architektury uniwersytetu Rice. Jakież to było typowe! Był bogatym Amerykaninem, zrobił sobie rok wakacji i bawił się, bo miał pieniądze z niedawno odziedziczonego funduszu powierniczego. Jeanette była piękną, wolną jak ptak Kalifornijką, która przyjechała do Paryża na stypendium w szkole sztuk pięknych. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, w kawiarni, gdzie ona rysowała przechodniów, a on leczył kaca filiżanką mocnej kawy.

Przed zachodem słońca znaleźli się w łóżku w jego pokoju w Ritzu. Żadne z nich nie pomyślało o zabezpieczeniu. Od tej pory byli nierozłączni. Jeanette nawet nie zauważyła, że nie ma miesiączki.

Dopiero kiedy zaczęły się torsje po ich codziennych śniadaniach, złożonych z rogalików i kawy z mlekiem, pomyśleli, że efektem pierwszej, namiętnej nocy mogło być coś więcej niż tylko beztroski romans. I że ich przygoda przestała być tak niezobowiązująca, jak na początku zakładali.

Wszystko się jednak ułożyło. Oświadczył się, a ona zgodziła się go poślubić. Wrócili do Stanów, zamieszkali w dużym domu Somerville'ów i na świecie pojawił się Tyler.

Wszyscy mówili, że ich małżeństwo nie przetrwa. W końcu ogromnie się różnili. Beau był potomkiem bardzo zamożnej rodziny z Południa, a Jeanette - córką pary alkoholików, robotników z Zachodniego Wybrzeża, którzy rozwiedli się kilka miesięcy po jej urodzeniu.

Ludzie byli pewni, że kiedy już minie pierwsze zauroczenie, sobą nawzajem i nowo narodzonym dzieckiem, Jeanette i Beau się rozstaną. A oni śmiali się z tego, że ojciec Beau przygotowywał się do walki o alimenty i udział w rodzinnej fortunie, a matka martwiła się o przyszłość szafirowych kolczyków, które Beau odziedziczył po babce i podarował Jeanette w dniu ich ślubu.

Teraz matka znów ma te kolczyki, pomyślał ze smutkiem Beau, wyli kucając do śmieci nietknięte płatki kukurydziane. Szafiry spoczywały bezpiecznie w szkatułce mamy. Wcześniej wyłowiono je z dna zatoki... Razem z ciałami, żony i syna Beau.

Ktoś krzyczał.

Przeraźliwy wrzask wyrwał Jordan z głębokiego snu. Usiadła na łóżku. Uświadamiając sobie, że to Spencer - i że jest naga - po omacku sięgnęła po szlafrok, przewieszony przez poręcz łóżka. Włożyła go. Krzyki ucichły, gdy przebiegła korytarzem i położyła dłoń na kłamec. Zamarła na ułamek sekundy. W jej głowie kłębiły się straszliwe myśli. Otworzyła drzwi pokoju Spencera, mówiąc sobie, że chłopiec znów miał zły sen. Na pewno tak było.

A jeśli nie? A jeśli telefon Curta naprawdę był na podsłuchu i ktoś odnalazł ją i Spencera? Po prostu wszedł frontowymi drzwiami i... O, Boże!

Łóżko Spencera było puste.

Łamiącym się głosem zawołała chłopca i wybiegła do przedpokoju. Po chwili usłyszała szloch, dobiegał z dołu. Jordan zobaczyła Spencera ze szczytu schodów. Siedział na podłodze przedpokoju, zapłakany, trąc oczy. Poczowała ogromną ulgę.

- Co się stało, kochanie? - Zbiegła po schodach i przytuliła go do siebie.

Trząśł się jak galareta.

- Pirat - wyjąkał i znów się rozpłakał. - Złapał mnie.

- Och, Spencer, tu nie ma piratów - powiedziała kojącym głosem.

- Są. On tu był! Wyciągnął mnie z łóżka, zniósł na dół i chciał mnie gdzieś zabrać.

- Kochanie, to ci się tylko śniło. Na pewno przyszedłeś tu przez

sen.

- Boję się, Jordan. - Przytulił się do niej mocno. - Proszę, nie pozwól, żeby wrócił i mnie porwał.

- Nie pozwolę - obiecała, bo tak było łatwiej, niż znów protestować. - Jesteś przy mnie bezpieczny. Nie pozwolę, żeby stała ci się krzywda.

Teraz wierzyła we własne słowa. Oczywiście, że był tu bezpieczny. Nikt nie wiedział, gdzie jest, zresztą dlaczego zabójca Phoebe i Reno miałyby ścigać takie małe dziecko?

Ale...

Dlaczego ktoś, kto chciał się zemścić na Reno, zabił Phoebe? Może znalazła się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie, pomyślała Jordan. Fakt, że oni zginęli, nie oznaczał, że życiu Spencera wciąż zagraża niebezpieczeństwo.

- Czy jest środek nocy? - zapytał Spencer.

Spojrzała na zegar stojący na półce po drugiej stronie ciemnego pokoju.

- Już prawie świta - powiedziała uspokajającym tonem.

- Muszę iść spać? Proszę, nie każ mi. Bardzo się boję, że on wróci.

- Dobrze - zgodziła się Jordan, ziewając. - Możemy się już nie kłaść.

Wstała, przeciągnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

- Jordan? - zapytał, pozwalając się wziąć za rączkę.

- Hm?

- Myślisz, że dziś przyjedzie po mnie mamusia?

Jordan znieruchomiała. Znów poczuła straszliwy żal.

- Nie, Spencer - powiedziała cicho. - Chyba nie.

Przygotowywała się psychicznie na nieuniknione pytanie, ale Spencer, choć był wyraźnie rozczarowany, nie drażył tematu. Przynajmniej na razie. Prędzej czy później trzeba będzie powiedzieć mu prawdę.

Gdy szli do kuchni, zerknęła przez ramię na drzwi frontowe, sprawdzając, czy są dobrze zamknięte. Nie były. Wszystkie trzy zamki były otwarte.

Zatrzymała się.

- Co się stało? - zapytał Spencer.

- Nic - mruknęła, próbując sobie przypomnieć.

Była prawie pewna, że w nocy zeszła na dół, żeby zamknąć drzwi za Beau. Pamiętała, że przedtem leżała w łóżku, coraz bardziej śpiąca, i myślała, że jeśli zaraz ich nie zamknie, to zaśnie. Była pewna, że wstała z łóżka i zeszła po schodach. Ale im dłużej o tym myślała, tym większy zamęt panował w jej głowie.

Była bardzo zmęczona. Może tylko jej się wydawało, że zamknęła drzwi na zamki. Może jej się to śniło, tak jak Spencerowi przyśnił się pirat, porywający go z łóżka. Na pewno tak właśnie było, powiedziała sobie w myślach, ściskając rączkę Spencera.

Dochodziła jedenasta, gdy Beau wreszcie wrzucił ostatnią torbę do swojego samochodu i usiadł za kierownicą. Po powrocie z biura szybko przyjechał do mieszkania, żeby się spakować i przygotować do wyjazdu.

Wciąż dręczyła go myśl, że zostawia Jordan i Spencera, ale jak inaczej miał postąpić? Zostać, powiedział sobie w myślach, wyjeżdżając z podziemnego garażu.

Mógłby przynajmniej zadzwonić, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Tego ranka wciąż o tym myślał, ale był tak zajęty w biurze, że nie miał okazji tego zrobić.

Teraz jest już za późno, stwierdził... Ale przypomniał sobie, że ma w kieszeni telefon komórkowy. Chciał go zostawić w domu, chociaż Ed kazał mu zabrać telefon do Karoliny Północnej i nie wyłączać go podczas całej podróży.

Projektowali właśnie budynek w Arilngton, który miał stanąć w miejscu zniszczonego przez pożar, zabytkowego domu potężnego - i bardzo irytującego - prezesa wielkiej korporacji.

Albert Landry chciał - a raczej żądał - żeby dom został odbudowany natychmiast. Trzeba było stworzyć całkiem nowy projekt, uwzględniający stare elementy i uzupełniający je nowoczesnymi dobudówkami. Chociaż obaj wspólnicy pracowali nad projektem, to Landry upodobał sobie Beau. Postanowili nie mówić mu, że Beau wyjeżdża. Ukończenie prac miało zająć jeszcze kilka tygodni, a Beau nie zamierzał przekładać wyczekiwanych

wakacji tylko po to, żeby być na każde skinienie prezesa.

Beau naprawdę miał zamiar zostawić tę cholerną komórkę w mieszkaniu. Wszelkie sprawy związane z projektem dla Landry'ego mogły zaczekać, aż on dojedzie na miejsce i zadzwoni do Eda. Niemniej martwił się o Jordan. Co prawda zamierzał do niej zadzwonić z domu na plaży i podać numer telefonu - na wypadek, gdyby go potrzebowała. Ale teraz postanowił nie czekać tak długo. Skoro miał przy sobie telefon komórkowy, mógł zadzwonić od razu. Kiedy się upewni, że ona i Spencer dobrze się czują, na pewno trochę się uspokoi.

Zatrzymał się przed znakiem stopu, sprawdził, że nikt za nim nie jedzie, i wybrał jej numer.

Odebrała po pierwszym dzwonku.

- Halo? - Była chyba zasapana.

- Cześć. Tu Beau. Wszystko w porządku?

Usłyszał lekkie wahanie w jej głosie, gdy odpowiedziała:

- Jasne.

- Nieprawda. Co się stało?

- Nic. Tylko... - mówiła teraz ciszej. - Znow miał koszmarny sen.

I zapytał mnie o Phoebe. Nie wiem, jak długo zdołam ukrywać przed nim prawdę.

- Co teraz robi?

- Ogląda kreskówkę.

Rozległ się dźwięk klaksonu. Beau spojrział w lusterko wsteczne i zobaczył, że stoi za nim samochód. Kierowca gniewnie pokazywał mu, żeby przejechał przez puste skrzyżowanie.

Zrobił to, mówiąc do Jordan:

- Muszę kończyć. Prowadzę samochód.

- Jak ci mija podróż? - zapytała.

- Świetnie. - Nie powiedział jej, że jest zaledwie dwie ulice od jej domu. Niech myśli, że odjechał już daleko.

- Baw się dobrze, Beau - powiedziała, a jej głos brzmiał tak głucho, że Beau omal nie zawrócił i nie skierował z powrotem do Georgetown.

Zmusił się, żeby jechać dalej prosto.

- Dobrze. A ty na siebie uważaj. Zadzwonię, kiedy dojadę i

podam ci numer telefonu na wypadek, gdybyś chciała się ze mną skontaktować.

- Nie trzeba. Nie myśl o nas i wypoczywaj. Poradzę sobie.

- Jasne.

Nieprawda, pomyślał, kiedy się rozłączył. Wyłączył telefon i rzucił go na tylne siedzenie. Cholera. Jordan właśnie straciła najlepszą przyjaciółkę. Opiekowała się dzieckiem, którego życiu mogło grozić niebezpieczeństwo. A on wyjeżdżał sobie na urlop, zostawiając ją samą z tak wielkimi problemami.

Jak inaczej miałby postąpić? Zamierzał wykorzystać urlop, żeby rzucić z siebie od dawna ciężące mu brzemie. Byłoby głupotą angażować się w sprawy tej nieszczęśliwej kobiety i dziecka.

Jeśli stanie się im coś złego, nigdy sobie nie wybaczysz, że wyjechałeś, Beau. Nigdy!

Ale gdyby został, zaopiekował się nimi, próbował ich chronić... Gdyby zrobił to wszystko, a jednak ktoś wyrządziłby im krzywdę... Wiedział, że to byłby koniec. Nie mógłby dalej żyć z taką świadomością.

Gdyby był mądry, jechałby dalej i wydostałby się z miasta najszybciej, jak byłoby to możliwe.

Odkładając słuchawkę, Jordan przypomniała sobie o wczorajszym telefonie pani Villeroy. Uznała, że lepiej oddzwonić, bo w przeciwnym razie starsza sąsiadka mogłaby do niej przyjść.

Staruszka nieczęsto wychodziła za próg swego mieszkania. Cierpiała na reumatyzm, który tak bardzo jej doskwierał, że prawie nie mogła się poruszać. Była wdową i nie miała dzieci, które mogłyby ją odwiedzać. Dlatego właśnie Jordan wcale nie przeszkadzało spełnianie częstych próśb sąsiadki.

Naprawdę nie był to dla niej zaden kłopot od czasu do czasu w drodze powrotnej wpaść do apteki po lekarstwa dla pani Villeroy czy zanieść jej kier, mąkę lub inne produkty.

Wybierając numer starszej kobiety, Jordan poczuła wyrzuty sumienia, że nie jest lepszą sąsiadką. Korona by jej z głowy nie spadła, gdyby czasami zaniosiła jej trochę zupy z porów i kartofli albo bukiet cynii ze swojego ogródka na patio.

- Halo? - powiedziała chrapliwie staruszka, odbierając telefon po trzecim dzwonku.

- Pani Villeroy? Tu Jordan Curry. Przepraszam, że nie oddzwoniłam wczoraj, ale...

Ale przeżywałam chwile namiętności z człowiekiem, którego prawie nie znam.

Jordan podeszła do drzwi salonu i zajrzała do środka. Spencer, wyciągnięty na kanapie, oglądał telewizję.

- Nie szkodzi, moja droga - odpowiedziała pani Villeroy. - Pomyślałam, że byłaś zajęta. Zresztą w ogóle chyba nie powinnam była zawracać ci głowy tą sprawą, ale ten mężczyzna wyprowadził mnie z równowagi...

W połowie drogi do kuchni Jordan stanęła jak wryta.

- Jaki mężczyzna?

Czy pani Villeroy wyjrzała przez okno i zobaczyła ją z Beau? A może udało jej się zajrzeć przez okno Jordan właśnie wtedy, gdy się tulili?

- Ten, który był tu wczoraj - mówiła pani Villeroy. - Wyszłam na dwór i próbowałam podnieść listy, które wypadły ze skrzynki, a on podszedł, żeby mi pomóc. Pomyślałam, że to miłe z jego strony, ale potem zaczął wypytywać o ciebie.

- Ktoś się mną interesował? - zapytała powoli Jordan z bijącym sercem. - O co pytał?

- Chciał wiedzieć, czy tu mieszkasz i czy cię znam. Chyba myślał, że mieszka u ciebie siostrzeniec, ale mu powiedziałam, że nie wiem nic na ten temat.

Jordan opadła na fotel i przeczesała włosy dłonią. Czy on mógł być oficerem policji? Czy władze już wiedziały, że Spencer u niej był?

- Czy ten mężczyzna był detektywem, pani Villeroy? - zapytała, starając się nie okazać emocji w głosie.

- Detektywem? O, nie, nie wydaje mi się. Nie powiedział, że jest ani na takiego nie wyglądał.

- A jak wyglądał, pani Villeroy?

- No właśnie. Wiem, że nie powinno się oceniać ludzi po powierzchowności, ale on nie wzbudził mojego zaufania.

- Dlaczego?

- Był wysoki, miał potargane, ciemne włosy i czarną przepaskę na oku. Jak pirat!

Beau dojechał aż do granicy stanu Maryland, gdy wreszcie postanowił zawrócić. Może zgłupiałem, pomyślał, wjeżdżając na znajome, zatłoczone ulice Georgetown, ale mężczyźni głupieli z bardziej błahych powodów.

Przyczyną jego powrotu nie była rodząca się miłość do Jordan ani to, co prawie między nimi zaszło poprzedniej nocy. To nie odgrywało żadnej roli. Nie miał zamiaru wiązać się z Jordan i uznał, że ich krótka, romantyczna przygoda dobiegła końca.

Wracał, bo zauważył przerażenie na jej twarzy, gdy przypominał jej, żeby zamknęła drzwi na klucz. Była sama i bała się o Spencera - niezależnie od tego, czy zagrożenie było realne. Beau mógłby jej pomóc załatwiać różne sprawy. Mógł się bawić ze Spencerem i rozmawiać z obojgiem, gdyby tego chcieli.

Ulice Georgetown w ten ładny, słoneczny poranek były bardzo zatłoczone. Parkując w bocznej uliczce i wysiadając z samochodu, Beau poczuł, że znów jest gorąco i wilgotno. Zmusił się, żeby nie myśleć o roziskrzonej, błękitnej wodzie i chłodnej bryzie, które czekały na niego na Outer Banks. Przecież tyle lat mieszkał w Luizjanie. Nie powinien się bać miejskiego upału.

Idąc w stronę schodków, zastanawiał się, co jej powie. Jordan na pewno nie będzie zadowolona z jego widoku. Nie po tym, jak rozstali się w nocy.

A jeśli pomyśli, że pojechał do sklepu, a teraz wrócił, żeby zrobić to, czego nie zrobili wczoraj? Musiał jej dać jasno do zrozumienia, że ich wzajemny pociąg nie ma nic wspólnego z jego przyjściem.

Wciąż czuł pokusę, zwłaszcza teraz, gdy skosztował zakazanego owocu. Poza tym wcale nie planował życia w celibacie, rozstając się z Lisa i przeprowadzając do Waszyngtonu. Był mężczyzną z krwi i kości, wiedział, że pojawią się kobiety, które na jakiś czas sprawią, że zapomni o złożonym sobie przyrzeczeniu unikania związków.

Ale Jordan nie była kobietą, z którą idzie się do łóżka, a potem

znika. Było w niej coś, co sprawiało, że w głowie słyszał brzęczyk alarmu. Czuł, że musi od niej odejść, zanim za bardzo się zaangażuje.

Właśnie się angażuję, pomyślał ponuro, wchodząc po schodach. Jedno było pewne, tym razem nie miał zamiaru czekać, aż ona poprosi go o pomoc.

Sięgnął do dzwonka, ale zanim zdążył go nacisnąć, drzwi otworzyły się na oścież. Stała w nich Jordan. W jej oczach zobaczył coś, czego najmniej mógł się spodziewać. Lśniła w nich ulga.

- Słyszałam, jak podjechałeś - powiedziała cichym, ale stanowczym głosem. - Nie wierzę, że tu jesteś. Wejdz. Szybko...

Przeciagnęła go przez próg, nerwowo rozglądając się po ulicy.

- Co się dzieje, Jordan? - zapytał, kiedy zamykała za nim drzwi na wszystkie zamki.

- Nie do wiary, że tu jesteś! - powtórzyła. - Godzinę temu, kiedy dzwoniłeś, jechałeś do Karoliny Północnej, a teraz jesteś tutaj. To wydaje się niemożliwe.

- Dzwoniłem, będąc jeszcze w mieście - przyznał. - Dopiero wyruszałem. I wyjechałem, ale...

- Zawróciłeś? I przyjechałeś tu bez powodu? Jakbyś czytał mi w myślach. Co tu robisz?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale ona mówiła dalej, zerkając przez ramię, jakby chciała sprawdzić, czy Spencer nie podsłuchuje.

- Nie wiedziałam do kogo zadzwonić, co zrobić. Dzwoniłam do ciebie na komórkę...

- Wyłączyłem ją. Jak zwykle. Dlaczego? Co się stało? Gdzie Spencer? Czy coś...

- Jest na górze. Beau, potrzebujemy cię. - Ścisnęła go za ramię. Poczul, że drży i bardzo się zaniepokoił. Co tu się stało?

- Jordan...

- Beau, nie prosiłabym cię o to, gdybym miała inne wyjście, ale...

- O co chodzi?

- Musisz nas wywieźć z miasta. Natychmiast.

Rozdział 8

Wyjechali na wschód z Waszyngtonu drogą, którą zaplanował Beau. Zamiast podążać na południe autostradą międzystanową numer 95, przez duże miasta Wschodniego Wybrzeża, wybrał malowniczą trasę, prowadzącą nad zatoką Chesapeake w pobliżu Annapolis, a potem na południe, do Wirginii.

Późnym popołudniem jechali przez równiny, zwązający się półwysep drogą numer 13, jedyną trasą na Wschodnim Wybrzeżu, prowadzącą z północy na południe. Droga była tylko trochę szersza niż zwykła droga szybkiego ruchu. Po obu stronach widzieli farmy, płytkie zatoki, kilka domów z czasów wojny secesyjnej i - od czasu do czasu - miasteczka i centra handlowe.

Beau i Jordan niewiele rozmawiali. Nie mogli, bo podobnie jak wczoraj pamiętali o Spencerze na tylnym siedzeniu. Chłopiec był zbyt podekscytowany, żeby spać. Jordan powiedziała mu tylko, że ma dla niego niespodziankę i że jadą na wakacje na plażę z Beau. Pięć minut po tym, jak Beau stanął na progu, wrzucili pośpiesznie spakowane bagaże do samochodu i wyruszyli.

Jordan odprężyła się trochę dopiero wtedy, gdy wyjechali z miasta i upewniła się, że nikt ich nie śledzi. Nawet teraz czuła niepokój i nie mogła się powstrzymać od zerkania w boczne lusterko.

Wciąż dręczyła ją myśl, że ktoś chciał porwać Spencera i udałoby mu się to, gdyby nie obudziły jej krzyki chłopca. Dziwny nieznajomy, o kto” rym powiedziała pani Villeroy, zbyt dokładnie odpowiadał opisowi „pirata”. Choć z początku Jordan była przekonana, że tajemniczy „zły człowiek” z przepaską na oku był wytworem wyobraźni Spencera, to podejrzewała, że dzisiejsze zagrożenie było jak najbardziej realne.

Beau był wstrząśnięty jej teorią, że zabójca dowiedział się, gdzie jest Spencer, i próbował porwać śpiące dziecko. Jordan sądziła, że chłopiec obudził się, zobaczył, co się dzieje i zaczął krzyczeć. Intruz na pewno puścił go i uciekł, gdy usłyszał na schodach jej kroki.

- Mógł to być zły sen, tak jak poprzednio - powiedział Beau, najwyraźniej próbując ją uspokoić.

- Nawet jeśli... - Jordan wcale w to nie wierzyła - pamiętaj, że Spencer bardzo boi się piratów, a w okolicy węszył człowiek z przepaską na oku. To się jakoś wiąże, Beau. Musi.

Był skłonny się zgodzić, chociaż nie wyobrażał sobie, jak ktoś mógł znaleźć Spencera w domu Jordan. Ale przecież nie znał jej tajemnicy. Nie wiedział, że zadzwoniła do brata Phoebe, a ona nie miała odwagi mu tego wyznać.

Teraz była przekonana, że pikanie, które słyszała w telefonie Curta, oznaczało podsłuch, i że ktoś, kto słyszał ich rozmowę, bez trudu trafił do niej i Spencera. Zrobiło jej się słabo na myśl, że mogła narazić chłopca na niebezpieczeństwo.

Dzięki Beau uciekli. Spencer był bezpieczny - przynajmniej na razie.

- Daleko będziemy jechać?- zapytała, gdy minęli kolejny drogowskaz, informujący, że kilka kilometrów dalej znajduje się tunel na moście na zatoce Chesapeake.

- Aż dojedziemy? Będziemy na miejscu za kilka godzin - powiedział, ostrożnie przejeżdżając na lewy pas, żeby wyprzedzić powoli poruszający się pikap załadowany sianem. - Chcesz się zatrzymać na noc po drugiej stronie mostu?

- Nie! - powiedziała szybko.

- Na pewno? Może będzie lepiej...

- Nie, jedźmy dalej - nakazała.

Było bardzo wiele powodów, dla których nie chciała się zatrzymywać na noc przed dotarciem do miejsca przeznaczenia.

Wynajęty dom na Outer Banks stał na odludziu. Beau powiedział, że dom mieścił się za najbardziej wysuniętym na północ miasteczkiem Corolla, na skraju prawie niezamieszkanego wąskiej wyspy. Spencer ucieszył się, że po plaży biegają mustangi.

Gdy dotrą na miejsce - a Beau mówił, że dom jest duży, trzypiętrowy, ma pięć sypialni i okna wychodzące na ocean - będą wreszcie bezpieczni.

- Ale czy możesz tak długo prowadzić? - zapytała Jordan z niepokojem. - Jeśli jesteś zmęczony, zmienię cię.

- Nie, dam sobie radę - odpowiedział. - Martwię się tylko o Spencera. Może byłoby mu łatwiej znieść podróż, gdybyśmy

zatrzymali się na noc.

- Na pewno wytrzyma - upierała się, być może egoistycznie, ale nie mogła nic na to poradzić.

Wiedziała, że nie będzie spokojna, jeśli się zatrzymają. A kiedy zostanie sama ze Spencerem w pokoju motelowym, ogarnie ją strach.

Bałaby się chyba jeszcze bardziej, gdyby we trójkę zajęli jeden pokój. Oczywiście w obecności Spencera nie działałoby się nic takiego, jak zeszłej nocy. Ale Jordan zamierzała unikać sytuacji, mających cokolwiek wspólnego z Beau i łóżkiem, niezależnie od tego, czy mieliby przyzwoitkę. I tak będzie trudno mieszkać z nim pod jednym dachem.

Wiedziała, że nie mogą się wiecznie ukrywać. Zanim przyjechał do nich Beau, chciała już zadzwonić na policję. Gdy nie mogła się dodzwonić na jego komórkę, uznała, że jeśli Spencerowi coś grozi, to władze ochronią go lepiej niż ona. Ale wtedy pojawił się Beau i wybawienie. Przecież najbardziej zależało jej na tym, żeby wywieźć Spencera z miasta, jak najdalej od „pirata”. Na miejscu zastanowią się, co zrobić.

- Chcesz posłuchać innej płyty? - zapytał Beau, gdy skończył się album Rolling Stonesów, którego słuchali.

- Nie, ta jest dobra.

- Na pewno? Słuchaliśmy jej dwa razy.

- Naprawdę? - Nawet nie zauważyła. - A może włączymy radio?

- Nie. W czasie długich podróży najlepiej słucha się kompaktów - powiedział wesoło Beau, jakby jechali na zwykłe wakacje. Pochylił się, wcisnął przycisk „eject” i podał Jordan płytę. - Wybierz coś innego.

Nie była w nastroju do słuchania muzyki. Woląaby rozmyślać w milczeniu. Ale przejrzała płyty ustawione we wbudowanym schowku między siedzeniami.

Zauważyła, że Beau ma bardzo eklektyczny gust. Lynrd Skynrd obok Patsy Cline i składanki przebojów z lat osiemdziesiątych.

- Popatrz, kolego! - powiedział Beau do Spencera, gdy Jordan wkładała do odtwarzacza płytę Eltona Johna. - To jest most, o którym ci opowiadałem!

Jordan podniosła wzrok. Rzeczywiście, balustrady mostu lśniły

w gasnącym świetle dnia.

To był kolejny ważny punkt w podróży. Spencera dzieliło już jakieś trzydzieści kilometrów od Georgetown i „pirata”. Nieprawda, to nie jest przeszkoda, pomyślała Jordan, gdy z głośników popłynęły pierwsze tony piosenki *Your Song* Eltona Johna. Każdy może przejechać przez most. Ale dla niej miała znaczenie symboliczne. Z każdym przebytym kilometrem i pokonanym mostem trochę poprawiał jej się nastrój.

- Założę się, że nigdy przedtem nie jechałeś nad oceanem - powiedział Beau, podjeżdżając pod górkę.

- Nie jechałem - potwierdził Spencer.

Miał smutny głos. Jordan odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Wyglądał przez okno na różowawe niebo i roziskrzone morze. Musiał poczuć na sobie jej wzrok, bo powiedział cicho, nie odwracając głowy:

- Mamie ten most bardzo by się spodobał. Lubi podróżować. Ale tata nigdy nam nie pozwalała.

Jordan omal się nie rozszłochała.

- Czy mama znajdzie nas tak daleko od twojego domu, Jordan? - zapytał. Teraz się odwrócił i spojrzał jej w oczy. Żałowała, że to zrobił. Nie chciała widzieć tęsknoty malującej się na jego buzi, nie chciała też, żeby dostrzegł jej trudny do ukrycia żal.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Spójrz! - wykrzyknęła. - Chyba widzę delfina!

Spencer natychmiast przybliżył twarz do okna.

- Gdzie? Nie widzę - poskarżył się po chwili.

- Może to tylko promienie słońca - wyjaśniła.

Jasne. Zwał wszystko na zachód słońca.

Przełknęła i spojrzała na Beau. Patrzył prosto przed siebie, skupiony na drodze, która cały czas prowadziła po zboczu w dół. Jedynym zabezpieczeniem szosy były niskie balustrady, za którymi widać było urwisko i wodę.

Zastanawiała się, o czym myśli Beau.

Po zeszłej nocy nie spodziewała się, że jeszcze kiedyś go zobaczy - a już na pewno nie tak prędko. Napięcie tamtych chwil ustąpiło, bo myślała teraz tylko o bezpieczeństwie Spencera, ale

wiedziała, że lada moment powróci ze zdwojoną siłą.

Poza tym prędzej czy później, jeśli będą ze sobą sami, pojawi się też pożądanie. Tym razem muszę być lepiej przygotowana, żeby mu się oprzeć, pomyślała Jordan. Ostatniej nocy nie spodziewała się wybuchu zmysłów. Ale to się nie powtórzy. Wykorzysta każdą sekundę podróży, aby uodpornić się psychicznie na tę pokusę.

- Co jest? - mruknął Beau, ze zmarszczonym czołem patrząc w lusterko wsteczne.

Jordan zerknęła w boczne lusterko i zobaczyła samochód szybko podjeżdżający do ich zderzaka. Auto było czarne, sportowe i pojawiło się nie wiadomo skąd.

Z bijącym sercem patrzyła, jak podjeżdżało coraz bliżej. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć nad siedzeniem.

Na przedniej szybie samochodu igrały promienie słońca, więc nie było widać kierowcy.

- Beau...? - zaczęła pytająco. Wpatrywał się w lusterko wsteczne.

- W porządku - powiedział. Przyśpieszył trochę, ale przed sobą miał minivana. Nie mogli wyprzedzić go z lewej strony, bo jechał tam ciągnik, a po prawej była tylko niska balustrada i ocean.

Czarne auto było jak przyklejone do ich zderzaka. Jordan starała się nie okazywać przerażenia.

Gdyby Beau nagle zahamował, samochód uderzyłby w nich z tyłu. A może taki właśnie był zamiar kierowcy? Może chciał ich zepchnąć z drogi?

Nie mieliby dokąd zjechać. Pod mostem szalała woda.

Beau zaklął cicho, widząc drogowskaz informujący, że dojeżdżają do pierwszego z dwóch tuneli na moście i że droga zwęża się do jednego pasa.

Furgonetka na lewym pasie zaczęła przyśpieszać.

Jordan patrzyła do tyłu, nie spuszczając z oczu czarnego samochodu. Bała się myśleć o kierowcy. Czy to był „pirat”? Czy jakimś cudem wpadł na ich trop?

- Wszystko w porządku, Jordan? - zapytał Spencer, widząc jej minę.

Próbowała się uśmiechnąć.

- Oczywiście, kochanie.

- To na co patrzysz?

- Na most za nami. - Głos jej się załamał, ale udało jej się dodać:

- Patrzę, jak daleko już odjechaliśmy.

Spencer próbował wykręcić głowę do tyłu, ale i tak nie mógł nic zobaczyć, bo siedzenie było za wysokie. Sięgnął do klamry pasa bezpieczeństwa.

- Nie! - krzyknęła Jordan. - Nie odpinaj pasa!

- Dlaczego? Chcę tylko...

- Nie! - powtórzyła stanowczo. - To niebezpieczne.

- Nie odpinaj pasa! - warknął Beau, kurczowo ściskając kierownicę dłońmi.

Dojeżdżali do tunelu. Jordan zobaczyła, że lewy pas zwięza się coraz bardziej. Furgonetka ich wyprzedziła, szybko wjeżdżając za minivana. Zajechała im drogę. Beau znów zaklął.

W chwili, gdy asfalt zaczął opadać do tunelu pod zatoką, czarny samochód, który za nimi jechał, przeskoczył na wąziutki lewy pas.

Z przeciwnej strony nadjeżdżało jakieś auto. Kierowca zatrałił i gwałtownie zahamował.

Jordan krzyknęła. Beau zaklął - wulgarnie i głośno.

- Powiedziałeś brzydkie słowo! - wrzasnęła Spencer z tylnego siedzenia.

Gdy czarny samochód przejeżdżał obok okna Beau, rozdygotana Jordan zobaczyła, kto nim jechał.

Dwie nastolatki. Beztroskie dziewczyny, które wybrały się na przejażdżkę. Blondynka za kierownicą pokazała wulgarny gest Beau, a potem zajechała mu drogę, wciskając się swoim sportowym samochodem między nich a furgonetkę, która przed chwilą zrobiła to samo.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego ludzie wściekają się za kierownicą- mruknął Beau, hamując. - Właśnie tego doświadczyłem. Gdybyście ze mną nie jechali... - Pokręcił głową. - Mało brakowało.

Jordan potaknęła i oparła głowę na podglówku. Zamknęła oczy. Nie mogła wydobyć głosu.

Dom był jeszcze ładniejszy niż na zdjęciu w katalogu i o wiele za duży dla trzech osób. Beau wybrał go, bo cena nie miała

znaczenia, a Lisa „parła się, że chce spędzić wakacje w przestronnej rezydencji z basenem i jacuzzi oraz wspaniałym widokiem na ocean.

To miejsce spełniało wszystkie jej wymagania, było nawet lepsze.

Dom stał na plaży. Kawałek przed nim kończyła się brukowana droga, a zaczynała piaszczysta, taka, po której mógł przejechać tylko samochód z napędem na cztery koła. Był najbardziej odizolowanym budynkiem na plaży, jaki można sobie wyobrazić. Beau uznał, że najbliżsi sąsiedzi mieszkają wystarczająco daleko, i że on, Jordan i Spencer będą tu mieli prywatność, jakiej potrzebowali.

Zostawił ją w samochodzie ze śpiącym Spencerem, a sam otworzył drzwi i wszedł do domu.

Na parterze znajdowała się bawialnia ze stołem bilardowym i barem, sypialnia z podwójnym łóżkiem i łazienką. Pierwsze piętro zajmowały trzy dalsze sypialnie, wszystkie z łazienkami i wyjściami na tarasy i werandy, na drugim znajdował się apartament i duży salon, jadalnia i kuchnia z barem oraz jeszcze dwa balkony i weranda.

Dywany, terakota i ściany były białe i kremowe, w różnych odcieniach. Wyściełane meble miały kolorowe obicia z nadrukami, które pasowały do obrazów wiszących na ścianach.

Jordan się tu spodoba, pomyślał Beau, rozglądając się. W domu było jasno i przestronnie, a wszystkie jego elementy doskonale do siebie pasowały. Spencer też się ucieszy, kiedy obudzi się jutro i wyjrzy przez okno na ocean.

Beau wyszedł na werandę na drugim piętrze, pod którą rozciągały się wydmy. Na czarnym niebie nie było gwiazd, nie widział też wody, ale czuł sól w powietrzu i słyszał szum fal, rozbijających się o brzeg gdzieś bardzo niedaleko.

Odetchnął głęboko, z ulgą. Był zadowolony, że wreszcie się tu znalazł i że byli z nim Jordan i Spencer. Czuł, że to było właściwe.

Przeszedł przez dom, zaglądając do sypialni, zapalając światła i regulując klimatyzację. W przedpokoju na drugim piętrze znalazł duże, bawełniane torby z bielizną pościelową i ręcznikami. Szybko posłał pojedyncze łóżko w jednym z pokoiów na piętrze i odchylił kołdrę, żeby od razu położyć Spencera, nie budząc go.

Schodząc po schodach, Beau zastanawiał się, który pokój wybierze Jordan. Przypuszczał, że któryś na pierwszym piętrze, żeby być blisko Spencera. Czyli on będzie miał dla siebie wielkie łóżko w głównej sypialni. Wcale się z tego nie ucieszył. Wolałby zamieszkać z nimi na pierwszym piętrze. Ale czy nie przekroczyłby granic prywatności Jordan? Czy zgodziłaby się, żeby mieszkał z nią przez ścianę?

On dobrze wiedział, gdzie chciałby ją widzieć. W swoim łóżku.

W głowie zawirowały mu wspomnienia przerwanej miłosnej nocy. Nie mógł ich odpędzić, nawet gdy wyszedł przed dom i zobaczył Jordan przy samochodzie. Opierała się o otwarte drzwiczki, patrząc na śpiącego Spencera. Wyglądała jak groźna niedźwiedzica strzegąca młodego.

Słyszac kroki, odwróciła się ku niemu. Światło, które zapalił w domu, oświetliło ją swoim blaskiem. Wyglądała na wyczerpaną, ale zarazem spokojną.

- Jak ci się podoba dom? - zapytała cicho.

- Jest piękny. Posłałem łóżko Spencerowi. Dlatego tak długo mnie nie było. Zaniósę go na górę.

Kiwnęła głową.

Otwierając tylne drzwiczki i biorąc w ramiona śpiące dziecko, Beau przypomniał sobie poprzednią noc oraz wszystkie inne, niezliczone noce z przeszłości. Ale kiedyś to był inny samochód, inne dziecko, inna kobieta. Inne życie.

- Trzymasz go? - zapytała Jordan szeptem, zamykając drzwiczki.

Beau kiwnął głową i ruszył w stronę nieznanego domu, pogrążając się we wspomnieniach.

On i Jeanette podróżowali w weekendy. Latali jego prywatnym samolotem lub pływali którąś z łodzi. Zawsze przedłużali niedzielne wieczory i jak najdłużej zwlekali z powrotem do rzeczywistości. Zatrzymywali się na późną kolację i wracali do domu nocą. Tyler spał na tylnym siedzeniu.

Beau zanosił synka do domu i ostrożnie kładł do łóżka. Potem on i Jeanette przechodzili na palcach do swojej sypialni po drugiej stronie korytarza, zamykali drzwi, kochali się i usypiali w swoich ramionach.

Jak bardzo cieszyły go te niedzielne noce, gdy był zmęczony, ale i odprężony po weekendowych przygodach. Jeanette zawsze zasypiała pierwsza, a on leżał w ciemności, tuląc ją i słuchając jej spokojnego oddechu. Czuł wtedy, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Beau wiedział, że ma szczęście. Niektórzy ludzie nie doceniają tego, co mają, zanim wszystkiego nie stracą, ale on do nich nie należał. On zawsze doceniał szczęście, które przypadło mu w udziale. Rozpieszczał żonę i syna. Od czasu do czasu zastanawiał się, co by bez nich zrobił. Nie przypuszczał jednak, że kiedyś będzie musiał się o tym przekonać.

Teraz wiedział.

Choć ich już nie było, on żył dalej. Ale tylko dlatego, że musiał. Nie miał innego wyjścia. Było to życie bez radości. Bez nadziei. Bez miłości. Wiedział, że tylko w ten sposób może żyć dalej. Kiedyś miał wszystko i stracił to, teraz nie miał nic...

I nic do stracenia.

Następnego ranka Jordan obudziły promienie słońca, wpadające przez okno, oraz dźwięk dzwonka telefonu.

Przez chwilę myślała, że jest w swoim domu. Wreszcie wszystko jej się przypomniało. Spencer, Beau, „pirat”, podróż, dom na plaży. Uśmiech, który pojawił się na jej ustach, szybko znikł. Jordan usiadła i przetarła oczy. Rozejrzała się po sypialni. Omiotła wzrokiem jasne, drewniane meble, kolorową kołdrę i zasłony oraz wielkie okna z przymkniętymi żaluzjami, przez które przeświecało słońce.

Jej pośpiesznie spakowana torba leżała na podłodze przy komodzie. W nocy Jordan była zbyt zmęczona, by wypakować z niej ubrania. Wystarczyło jej siły tylko na to, żeby znaleźć pizamę i szczoteczkę do zębów. Bardzo szybko zasnęła.

Teraz wstała i przeciągnęła się, próbując zgadnąć, która jest godzina. Przy łóżku nie było budzika. To jej nie zdziwiło. Przecież znajdowała się w domu wynajmowanym na wakacje. Ludzie chcieli tu odpocząć od wszystkiego, między innymi od zegarów.

Niektórzy uciekali tu przed czymś o wiele bardziej przerażającym.

Jordan znów ogarnęło przygnębienie. Przeszła przez pokój. We wnętrzu naprzeciwko łóżka znajdowało się troje drzwi. Otwierając je, przekonała się, że jedno prowadzi do szafy, drugie do łazienki, a trzecie na korytarz. Wyglądając przez te ostatnie, zobaczyła zamknięte drzwi pokoju Spencera.

Słyszała też głos Beau na górze. Z kim on rozmawia? Przypomniała sobie dzwonek telefonu. Beau najwyraźniej wstał już dawno i zdążył podać komuś numer.

Jordan zmarszczyła brwi, idąc do łazienki. Beau chyba nie zawiadomiłby policji o miejscu pobytu Spencera, nie konsultując tego z nią? Ustalili, że dopiero tutaj postanowią, kiedy i jak skontaktować się z władzami. Ale Jordan nie była jeszcze gotowa do zmierzenia się z tym problemem. Potrzebowała czasu, żeby pozbierać myśli i przygotować siebie oraz Spencera na to, co ich czekało.

Wzięła krótki prysznic, włożyła białe szorty i granatowy podkoszulek, po czym szybko przerzuciła zawartość swojej torby do pustych szuflad komody. Wzięła ze sobą niewiele rzeczy. Nie miała czasu się zastanowić, poza tym musiała jeszcze spakować torbę Spencera.

Przynajmniej miała dość bluzek, szortów i bielizny na kilka dni. Beau przypomniał jej, żeby zapakowała kostium kąpielowy. Nie miała ochoty na pluskanie się w morzu, ale przypuszczała, że Spencer będzie wyrывał się na plażę.

Wyszła na korytarz. W domu panowała cisza, a drzwi pokoju Spencera wciąż były zamknięte. Jordan uchyliła je lekko i zajrzała do środka. Zobaczyła, że dziecko śpi spokojnie w dużym łóżku. Przynajmniej w nocy nie śnił mu się „pirat”, pomyślała, idąc boso na drugie piętro, skąd dobiegał zapach świeżo zaparzonej kawy.

Zastała Beau siedzącego przy bufecie, z parującym kubkiem i stosem papierów. Miał na sobie niebieskie szorty i wypłowiałą, szarą koszulkę. Podchodząc do niego, poczuła ładny, cytrusowy zapach żelu do golenia.

- Kawa? - zapytała, zaglądając mu do kubka. - Skąd ją masz?

- Rano pojechałem do Food Lion w Corolli po zakupy - wyjaśnił, wskazując na włączony ekspres do kawy stojący na blacie.

- Czy teraz nie jest rano? - zapytała, próbując zobaczyć, którą godzinę pokazuje zegarek na jego przegubie. Nie dostrzegła wskazówek, ale rozpoznała producenta. Wiedziała, że ten zegarek kosztował małą fortunę. Ach, tak, Andrea MacDuff mówiła, że Beau pochodzi z bogatej rodziny z Południa. Teraz Jordan zastanawiała się, jak bardzo jest zamożny. I dlaczego taki milioner stanu wolnego jeszcze nie pojął za żonę odpowiedniej kandydatki albo nie wpadł w sidła jakiejś cwanej baby, polującej na jego majątek.

- Wstałem za kwadrans szósta - powiedział. - W nocy musiałem jeszcze zadzwonić do swojego wspólnika i zostawić mu na pocztę głosowej tutejszy numer telefonu. Zadzwonił, gdy tylko odebrał wiadomość.

- Słyszałam dzwonek.

Beau kiwnął głową.

- W biurze są drobne kłopoty. Jeden z klientów zaczyna rozrabiać. Jest przyzwyczajony, że jego polecenia są wykonywane natychmiast.

- Znam ten typ - powiedziała, wyjmując kubek i nalewając sobie kawy. - Odkąd w moim życiu pojawił się Spencer, udaje mi się nie myśleć o pracy. Wierzę, że mój wspólnik poradzi sobie beze mnie, ale na pewno ma mnóstwo kłopotów.

- Nie tęsknisz za pracą?

Zastanowiła się nad pytaniem.

- Właściwie tęsknię, ale potrzebowałam urlopu. Pracowałam non stop, odkąd otworzyliśmy firmę. Mój wspólnik mówi, że jestem pracoholiczką.

- Mój mówi to samo o mnie. Ale ja naprawdę uwielbiam to, co robię.

Coś w wyrazie jego twarzy powiedziało Jordan, że mógł być jeszcze inny powód. Może, zastanawiała się, on, podobnie jak ja, ucieka w pracę.

Ta myśl bardzo ją zaskoczyła. Nigdy przedtem nie uważała swojej pracy za formę ucieczki. Ale teraz, po tragicznej śmierci Phoebe, kiedy spadła na nią odpowiedzialność za Spencera, zatęskniła za bezpiecznym Chronieniem... Tak jak wtedy, gdy Kevin zostawił ją przy ołtarzu.

Wtedy zaczęła gorączkowo układać sobie plany na przyszłość. Przeniosła się do Waszyngtonu, wspólnie z Jeremym opracowała biznesplan i doprowadziła do otwarcia firmy J&J Catering. Przez następne lata praca po prostu ją pochłaniała. Dzięki temu pozostawało niewiele czasu na siedzenie w domu i rozmyślanie o życiu prywatnym, którego nie miała. Ale teraz przybrało ono niespodziewany obrót. Nie miała gdzie się ukryć. Nie było ucieczki - chyba że w ramiona Beau.

Beau zaczął składać papiery.

- Jeśli Ed nie zdoła ugłaskać klienta, może będę musiał wrócić na spotkanie - powiedział ponuro.

- Do Waszyngtonu? - przeraziła się Jordan. Chciał zostawić ją tu samą ze Spencerem?

- Wierz mi, wcale nie mam na to ochoty. Ale nie mogę ryzykować, że Landry zrezygnuje z naszych usług. Musi być zadowolony, bo w przeciwnym razie będzie z nami źle. - Włożył papiery do teczki i spojrzał na Jordan. - Nie martw się. Nawet bym nie myślał o wyjeździe, gdybym nie miał pewności, że jesteś tu bezpieczna. Zresztą wróciłbym tu po niecałej dobie.

- Nie mógłbyś polecieć samolotem i wrócić tego samego dnia?

Znów zobaczyła cień w jego oczach.

- Nie - odpowiedział krótko.

- Ale...

- Nie latam samolotami, Jordan. - Wstał i poszedł w stronę sypialni. - Przebiorę się w spodenki kąpielowe i pójdę popływać.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Nie była pewna dlaczego, ale nastrój Beau momentalnie się zmienił. Nie zdążyła zapytać, bo on już zniknął w swoim pokoju, zdecydowanym ruchem zamykając za sobą drzwi.

Beau oparł się o drzwi i odetchnął nerwowo, zamykając oczy. Tchórz, skarcił się w myślach. Był przeklętym tchórzem, bał się latać i lękał się wyznać to kobiecie, która liczyła, że będzie jej bohaterem.

Cóż, pomyślał z goryczą, Jordan jest idiotką, jeśli myśli, że mógłbym uratować ją i Spencera. Ja nie potrafię ocalić życia drugiemu człowiekowi. Czyż nie dowiedział się tego w

najokrutniejszy z możliwych sposobów?

Co więc tu robisz? Dlaczego przywiozłeś Jordan i Spencera w to odludne miejsce? Żeby mogli uciec? Tak, jak ty uciekasz od lat?

Ale czy miał wybór? Błagała go, żeby wywiózł ją i Spencera z Georgetown. Jak najdalej od domu i obcego człowieka, który kręcił się w pobliżu i wypytywał o nią. Beau zrobił to, co jego zdaniem było słuszne. Wiedział, że miał rację. Przecież nie mieli jak sprawdzić, kim był „pirat” ani czego chciał.

Teraz, gdy Spencer był bezpieczny, mogli się spokojnie zastanowić nad kolejnym posunięciem.

To miało sens. Naprawdę. Nie mógł jednak podjąć decyzji, która wydawała się najrozsądniejsza.

Wzdychając ciężko, Beau podszedł do komody i wyjął granatowe spodnie kąpielowe. Przebijając się w nie, mówił sobie w myślach, że wszystko się ułoży. Że chwila pływania pomoże mu zebrać myśli. Musiał spalić energię, napięcie, które narastało w nim od świtu, odkąd rozmawiał z Edem i dowiedział się, że może będzie musiał wrócić do Waszyngtonu.

Landry żądał spotkania. Nie był zadowolony z postępów. Prezes wracał dziś samolotem ze służbowej podróży do Zurychu i spodziewał się, że jutro o dogodnej dla siebie porze porozmawia z Beau i Edem.

Ed był zdania, że grozi im utrata klienta. Straciliby nie tylko projekt domu, ale i obietnicę dużego zlecenia - zaprojektowania nowego biurowca dla Landry'ego, i to w niedalekiej przyszłości. Od zadowolenia tego człowieka zależał los całej firmy.

Beau powinien to wyjaśnić Jordan. Uświadomił sobie też, że chciałby opowiedzieć jej o wielu innych sprawach. Zasłużyła na to, by wiedzieć o nim coś więcej.

Odetchnął głęboko. Tak, powinien z nią porozmawiać. Wrócić do kuchni i powiedzieć, co się stało. Tylko w ten sposób zapewniłby sobie emocjonalny dystans, którego potrzebował.

Wziął ręcznik i wyszedł do salonu, przygotowując się w myślach do trudnej rozmowy. Ale miejsce, gdzie siedziała Jordan, teraz było puste. Podobnie jak cały apartament.

Powoli poszedł po schodach na pierwsze piętro. Stojąc na

podeście, zobaczył zamknięte drzwi jej sypialni. Słyszał szmer wody, płynącej w łazience. Dobrze, zostawię ją samą, postanowił, schodząc niżej. Opowiem Jej wszystko później. Będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy.

Wyszedł na dwór w oślepiające słońce i wilgotne, gorące powietrze. Szybko dotarł do starego, drewnianego pomostu prowadzącego do wody. Rozgrzane słońcem deski parzyły w stopy. Po obu stronach było widać białe, piaszczyste wydmy najeżone wysokimi, bladozielonymi trawami z kępami kwitnących kwiatów. Pomost prowadził aż na szeroką plażę. Nad głową Beau przeleciała mewa. Za niewyobrażalnie wręcz czystym Piaskiem rozciągały się błękitne wody oceanu.

Westchnął. Bardzo tęsknił za wodą. Wychował się niedaleko zatoki i na plaży leczył wszystkie swoje smutki. Gdy działo się coś złego, znajdował pocieszenie, chodząc po brzegu. Ciepłe, słone fale zmywały wszystkie jego troski.

Potem nastąpiła katastrofa, a on pogrążył się w morzu rozpacz. Minęły lata, zanim pozwolił sobie spędzić dzień na plaży. Zgodził się na to tylko z powodu nalegań Lisy. Ale później, po rozstaniu, uświadomił sobie, że wyczekuje samotnego urlopu.

Teraz nie był sam - ani na urlopie - ale czuł, że mimo wszystko to miejsce działa na niego uzdrawiająco.

Rzucił ręcznik i poszedł po gorącym, usianym muszelkami piasku na wilgotny brzeg. Pierwsza fala dotknęła jego stóp. Spojrzał na spienioną wodę, cofającą się do morza, pozostawiającą na piasku przy jego nogach tysiące czarnych kropeczek.

Pochylając się, Beau zobaczył, że były to małe mięczaki. Na jego oczach zakopywały się szybko w piasku, jakby chciały się ukryć przed następną falą. Ale gdy tylko znikły bez śladu, woda znów napłynęła i je odsłoniła.

Beau wyprostował się, głęboko odetchnął wilgotnym powietrzem, i rozejrzał się wokoło.

To był prywatny odcinek plaży, przeznaczony wyłącznie dla stałych mieszkańców oraz gości, wynajmujących pobliskie domy. Kawalek dalej siedziała matka, obserwująca małe dziecko, które nabierało wody do wiaderka. Jakiś mężczyzna drzemał na leżaku pod

parasolem. Dwaj rowerzyści jechali po mokrym piasku tuż przy brzegu.

W zasięgu wzroku nie było innych ludzi.

Beau wszedł do wody, wbijając palce nóg w piasek. Ocean był chłodny, zwłaszcza w porównaniu ze znajomymi wodami zatoki. Ale kiedy wszedł głębiej, jego ciało szybko przyzwyczało się do temperatury. Zaczął odczuwać ciepło.

Gdy minął załamujące się fale, a woda sięgała mu już do ramion, zanurkował. Popłynął do mulistego dna, zanurzając się w ponurych obrazach wspomnień. Wstrzymał oddech i zmusił się, żeby pozostać pod wodą. Chciał, aby dręczyły go obrazy. Wreszcie, gdy zaczęły go boleć płuca i głowa, tak jakby zaraz miały pęknąć, instynkt samozachowawczy wziął górę nad chęcią ukarania się.

Wynurzył się. Parskając, zaczął płynąć w stronę horyzontu. Jego ramiona cięły wodę równymi pociągnięciami, stopy mocno się odpychały, a głowa zanurzała się i wynurzała w rytm miarowego oddechu, którego nauczył się jako dziecko.

Płynął, jakby wyznaczył sobie jakiś cel, jakby ktoś go ścigał. Jak gdyby odwracając głowę i zerkając za siebie, miał zobaczyć podążające za nim demony... albo duchy.

Płynął dalej, zwalniając trochę tylko wtedy, gdy bardzo słabł. Zatrzymał się i spojrzął, jak daleko odpłynął. Pomyślał, że mógłby płynąć dalej w stronę horyzontu, aż osłabłby całkowicie i zalałyby go fale. Czy poczułby to, co czuli oni? Nie, ponieważ nie walczyłyby o życie, on cieszyłby się, pogrążając w otchłani.

Beau obrócił twarz ku słońcu, leżąc na plecach na wodzie. Mógł płynąć dalej w stronę horyzontu, ku pewnej śmierci, albo wrócić na brzeg, do niepewności. Tam, gdzie czekali Jordan i Spencer. Unosił się na wodzie jeszcze kilka chwil. Wreszcie podjął decyzję. Obrócił się i zaczął płynąć w stronę odległej plaży.

Rozdział 9

Co zrobimy sobie na kolację? - zapytał Beau, gdy Jordan zeszła po schodach. Przed chwilą wzięła prysznic.

- A co byś chciał? - odpowiedziała pytaniem, pamiętając o

obecności Spencera. Chłopiec leżał na podłodze przy kanapie, na której Beau przeglądał książkę o wrakach statków odnalezionych przy Outer Banks.

- Ja chcę Happy Meal - oznajmił Spencer, podnosząc wzrok znad małych metalowych samochodzików, które Beau kupił mu rano w supermarkecie. Spencer zbudował dla nich rampę z kłapek Beau i książki telefonicznej.

- Happy Meal? - powtórzyła Jordan, nie mając pojęcia, o co chodzi.

- Myślę, że w pobliżu nie ma McDonalda, kolego - powiedział Beau, pochylając się, żeby potargać Spencerowi włosy.

Zrozumiała, że Happy Meal to jakaś potrawa dla dzieci, sprzedawana w barze szybkiej obsługi i że Spencer będzie musiał się bez niej obejść.

Spencer kopnął szklany stół.

- Uważaj! - wykrzyknęła Jordan, przytrzymując rzeźbę mewy, stojącą pośrodku.

- Nie bój się - uspokoił ją Beau. - To mocna, ciężka rzeźba, waży chyba z tonę. Nie spadnie.

- Kiedy wrócimy na plażę? - dopytywał się Spencer.

- Jutro, jeśli będzie ładna pogoda - obiecała Jordan.

- Będę mógł się bawić na mojej skale?

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

„Skala Spencera” była wystającym głazem naprzeciwko wydm. Nie pasowała do pagórków z sypkiego piasku. Zobaczył ją od razu po przyjeździe na plażę i był nią wyraźnie zafascynowany. Bez trudu wdrapał się na samą górę, usiadł i z zamyśloną miną zapatrzył się w morze. Jordan zastanawiała się, czy wspominał matkę. Z odrętwienia wyrwał ich Beau, wołając, żeby Spencer zszedł ze skały i zagrał z nim we frisbee.

Jordan podała Beau buteleczkę aloesowego lotionu po opalaniu, który jej pożyczył.

- Dziękuję bardzo - powiedziała. - Pomogło.

- Posmarowałaś wszystkie poparzone miejsca? - zapytał z troską w głosie.

- Chyba tak.
- A plecy? Nie wyglądały najlepiej, kiedy schodziliśmy z plaży.
- Nie mogłam dosięgnąć - przyznała. Widząc jego minę, żałowała, że wypowiedziała te słowa.
- Posmaruję cię. Chodź tu.
- Nie trzeba. To nic takiego...
- Chodź - powtórzył, przesuwając się, i poklepał poduszkę obok siebie.

Usiadła plecami do niego. Miała skórę obolałą od piasku i gorącego słońca. Przed wyjściem na plażę posmarowała się kremem z filtrem ochronnym, ale zabezpieczenie przed szkodliwymi promieniami okazało się niewystarczające. Mogła użyć silniejszego kremu dla dzieci, tego, którym posmarowała Spencera.

Teraz płaciła za własną głupotę. Policzki chłopca były zaledwie zaróżowione, podczas gdy każdy centymetr jej skóry, na który padały gorące promienie południowego słońca, był czerwony i bardzo bolał.

- Podnieś podkoszulek z tyłu - powiedział Beau oficjalnym tonem.

Chciała zaprotestować, ale nie zrobiła tego ze względu na Spencera. Chłopiec bawił się samochodzikami, mamrocząc pod nosem, że chciałby Happy Meal, nieświadomy napięcia narastającego między Jordan a Beau. Nie zauważył tego również na plaży.

Oczywiście sytuacja nie była równie niezręczna przez cały czas. Zdarzyło się kilka wesołych chwil, gdy w trójkę pluskali się w wodzie albo budowali zamek. Spencer wpadł na pomysł zakopania Beau. Przedszkolaki to uwielbiają. Ale uparł się, żeby Jordan mu pomógł. Wtedy zaczęły się kłopoty.

Musiała zwrócić uwagę na piękne ciało Beau, kiedy pochylała się nad nim i sypała gorący piasek na mocne, opalone mięśnie. Od razu przypomniało jej się, jak miło było dotykać jego nagiej skóry. Wyobrażała sobie, do czego mogłoby dojść w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Teraz też jest taka chwila, pomyślała Jordan, czując dłoń Beau na swoim nagim ramieniu. Pochyliła się, przytrzymując T-shirt przy

łopatkach.

Gdy jej dotknął, omal nie zeskoczyła z kanapy.

- Przepraszam. Myślałem, że ogrzałem lotion w rękach. Zimny?

- Nie jest tak źle - wykrztusiła.

Płyn po opalaniu był ciepły... a jej myśli wprost gorące.

- Postaram się zrobić to jak najdelikatniej - obiecał Beau.

- Mhm.

Wcierał palcami wilgotny lotion w jej gorącą, wysuszoną skórę, co natychmiast przynosiło jej ulgę, ale jednocześnie rodziło nowy, większy problem.

Jak mogła w takiej chwili marzyć, że się z nim kocha? Zbyt często pozwalała sobie na podobne fantazje. Ponieważ byli daleko od domu, wydawało jej się, że jest bezpieczna. Z łatwością mogła zapomnieć, dlaczego tu przyjechali i nie myśleć o Spencerze, biednej Phoebe ani „piracie”.

Wyobraziła sobie, że jest na beztróskich wakacjach i że wieczorem, kiedy zajdzie słońce, a Spencer zaśnie, ona i Beau będą mogli kontynuować pieszczoty od momentu, w którym je przerwali...

Uświadomiła sobie, że Beau zamilkł. Ruchy jego palców stały się powolniejsze, bardziej czułe niż przedtem. Chciała zaprotestować, kiedy zdjął z niej dłoń, ale usłyszała, że wyciska lotion z butelki. Na szczęście masaż się jeszcze nie skończył! Zamknęła oczy i pochyliła się niżej, żeby mógł sięgnąć między łopatki, nad zapięcie stanika.

Zrobił to, przytrzymując jedną ręką jej ramię. Drugą dłonią wcierał pachnący lotion, zataczając koła palcami. Jordan przypomniała sobie bardziej intymne spotkanie z jego językiem.

Zdołała stłumić jęk rozkoszy.

- Dziękuję - wykrztusiła. - Wspaniale, bardzo dziękuję.

- Na pewno? Posmarowałem wszystko?

Nie. Nie wszystko.

Starła się nie myśleć o narastającym w niej erotycznym napięciu. Postanowiła zmienić temat rozmowy na bezpieczniejszy.

- Zjadłabym coś - powiedziała. Wciąż oszołomiona, obciągnęła T-shirt i wstała z kanapy. - A wy?

- Chcę Happy Meal - oświadczył Spencer, jakby przekazywał im

najlżejszą nowinę. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

- Dobrze - powiedziała Jordan. - Zrobię ci Happy Meal.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

- Zrobisz mi Happy Meal? - powtórzył Spencer i spojrzał na Beau, który wpatrywał się w Jordan.

- Właśnie - podchwycił Beau, stawiając butelkę z lotionem na stoliku. - Zrobisz mu Happy Meal?

- Skoro góra nie może przyjść do McDonalda, McDonald przyjdzie do góry. A raczej na plażę. Wszystko jedno - odparła nonszalancko Jordan, jakby to oni nie mieli pojęcia, o czym jest mowa. - Patrzyłam już, co jest w lodówce i w szafkach - ciągnęła szybko. - Beau świetnie się spisał na zakupach. Przyrządzą nam wszystkim porządne Happy Meal.

Beau i Spencer spojrzeli na siebie z powątpiewaniem.

- Cóż, kolego... Zobaczmy, co potrafi - powiedział wreszcie Beau, wzruszając ramionami. - Dajmy jej szansę.

- Dobrze - mruknął niechętnie Spencer.

Jordan ruszyła w stronę kuchni pewnym krokiem, chociaż wcale nie czuła się pewnie. W połowie drogi zatrzymała się i odwróciła.

- Beau! - zawołała. - Chodź na chwilę.

Podszedł do niej z dobroduszną miną. Gdy był dość blisko, pochyliła się ku niemu.

- Co to jest Happy Meal, do jasnej cholery? - zapytała szeptem.

- Spencer, możesz już otworzyć oczy! - powiedział Beau, wprowadziwszy chłopca do jadalni.

Spencer posłusznie wykonał polecenie i aż krzyknął.

- Ojej! Co to?

- Happy Meal - wyjaśnił Beau, gdy chłopiec wziął w rękę białą, śliską torebkę. Beau zrobił ją z papieru, którym owinięte były bułki, kupione rano. Znalazł w szufladzie flamastry, więc narysował na torebce wzorki, tak że naprawdę przypominała opakowanie zestawu dla dzieci z restauracji fast food.

- Dzięki, Beau! - powiedział Spencer, otwierając torebkę i zaglądając do środka.

- Podziękuj raczej Jordan - poradził Beau, zwracając się w jej

stronę. Stała kilka kroków od nich, wyraźnie zakłopotana, choć posiłek był jej dziełem.

- Dzięki, Jordan - wymamrotał chłopczyk, nie patrząc na nią.

Zanim się odwróciła, Beau zobaczył w jej oczach rozczarowanie. Serce mu się krajało. Robiła wszystko, co w jej mocy, żeby pozyskać zaufanie i sympatię Spencera, ale dziecko wciąż utrzymywało dystans i wyraźnie czuło do niej urazę. Natomiast przy nim Spencer był wesoły i skory do zabawy. Musiało to sprawiać wielką przykrość Jordan.

Gdy przyniosła do stołu posiłek dla siebie i Beau, Spencer usiadł i zaczął wyjmować z torebki to, co do niej włożyła.

Oprócz pudełka z sokiem, serwetek i torebeczek z keczupem z McDonalda - wyciągniętych ze skrytki w samochodzie Beau - był tam hamburger owinięty w woskowany papier z narysowanymi wzorkami oraz frytki domowej roboty w mniejszej torebce z takiego samego papieru.

- Świetnie to wygląda - powiedział Beau, podnosząc swojego hamburgera z talerza, który postawiła przed nim Jordan. - Bardzo ci dziękuję-

- To ty kupiłeś burgery, bułki i ziemniaki - powiedziała. - Ja tylko odpowiednio je przyrządziłam.

- Przez godzinę kroiliś kartofle na frytki - przypomniał głośno, żeby usłyszał to Spencer. - Napracowałam się!

Chłopiec nie zwrócił uwagi na jego słowa, bo właśnie odkrył owiniętą w celofan „nagrodę”, którą Beau umieścił na dnie torebki. Był to mały, składany latawiec z supermarketu. Beau kupił kilka zabawek, spodziewając się, że Spencer może się nudzić bez telewizji.

- Dzięki, Beau - cieszył się Spencer. Odłożył latawiec i sięgnął po torebkę z keczupem. - Puścimy go zaraz na plaży?

- Może jutro - powiedział Beau. - Jest już ciemno.

Jordan bez przekonania zżała kawałek hamburgera. Spojrzeli sobie w oczy. Znow dostrzegł w jej wzroku niepokój i wiedział, co było jego przyczyną.

Gdy gotowała, zadzwonił telefon. Ed próbował sam ugłaskać Landry'ego, ale wyglądało na to, że Beau powinien przyjechać do

Waszyngtonu. Ed miał jeszcze zadzwonić i potwierdzić tę informację.

- Przecież wiesz - szepnął Beau - że to tylko sześć godzin jazdy.

Wyraz jej twarzy się zmienił. Zerknęła na Spencera, który wyciskał na frytki keczup z kolejnej czerwono-białej paczuszki.

- Wczoraj jechaliśmy dłużej - powiedziała Jordan.

- Był duży ruch, poza tym nie jechaliśmy autostradą międzystanową. Jutro nią pojedę. Wyruszę o świcie, w południe dotrę do Waszyngtonu i wrócę od razu po spotkaniu. Będę tu przed zmrokiem. No, może późnym wieczorem. Albo w środku nocy. Ale wrócę.

- To za długa droga na jeden dzień.

- Nie dla mnie.

- To niebezpieczne. Będziesz zmęczony.

- Napiję się kawy - odparł po prostu. - Zresztą może wcale nie będę musiał...

Jak na złość, właśnie zadzwonił telefon.

Unikając spojrzenia Jordan, Beau odłożył hamburgera, podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę. Dzwonił oczywiście Ed. Nikt inny nie znał tego numeru.

- Bardzo mi przykro, Beau - poinformował na wstępie - próbowałem go namówić, żeby zmienił termin, ale się nie zgodził. Jutro po południu chce widzieć nas obu.

Beau zastanawiał się, czy powiedzieć Edowi, że nie przyjedzie. Że Albert Landry może się wypchać. Miliarder mógłby przecież znaleźć innego architekta, inną pracownię... Rozdarty, spojrzał na Jordan. Patrzyła mu w oczy.

- Jedź! - szepnęła prawie niedosłyszalnie. Bardzo się zdziwił.

Mówiła szczerze. Widział to w jej twarzy.

- Chwileczkę - powiedział Beau do słuchawki, opuścił ją i przycisnął do ramienia.

- Damy sobie radę - zapewniła go cichym głosem Jordan. - Naprawdę.

- Ale czy...

- Jestem pewna. Jedź.

Spojrzał na nią z wdzięcznością, ale znów obudził się w nim

niepokój. Miał zostawić ją i Spencera na odludziu? Co prawda nikt nie wiedział, że tu przyjechali, więc podczas jego nieobecności nic nie będzie im groziło, ale...

Nie. Nie wpadnę w obłęd, pomyślał. Oni są bezpieczni, a Ed mnie potrzebuje. Jeśli nie spotkam się z Landrym, bardzo zaszkodzę naszej firmie.

Beau podniósł słuchawkę.

- Dobrze, przyjadę - powiedział lakonicznie.

Kiedy Spencer leżał już w łóżku, Jordan ponownie poszła się wykapać. Brała już prysznic po powrocie z plaży, ale powtórzyła to, bo chłodne krople przynosiły ulgę jej spieczonej skórze. Potem pomyślała, że powinna jeszcze raz posmarować się łagodzącym lotionem, aby zapobiec łuszczeniu się naskórka. Żałowała, że nie przywiozła sobie odpowiedniego środka z Waszyngtonu albo nie zatrzymała butelki, którą pożyczył jej Beau.

Może zostawił ją na stoliku, pomyślała, szybko rozczesując wilgotne włosy i ściągając je w koński ogon.

Na górze panowała cisza. Beau pewnie już się położył, żeby dobrze wypocząć przed podróżą.

Zamiast krótkiej, bawełnianej koszuli nocnej rozłożonej na łóżku, Jordan włożyła szlafrok frotte i mocno zawiązała go w talii. Pomyślała, że zasłania on więcej niż koszula, a przecież na dole mogła spotkać Beau - chociaż bardzo w to wątpiła.

Wychodząc z pokoju na poszukiwanie aloesowego lotionu, zastanawiała się, jak będzie się tu czuła jutro, gdy zostanie sama ze Spencerem.

Wiedziała, że dom jest bezpieczny. Miała pewność, że w drodze nikt ich nie śledził. Zeszłej nocy tylko światła ich samochodu świeciły na długiej drodze dojazdowej do Outer Banks. Nie było powodu, żeby Beau opuszczał ważne spotkanie służbowe. Przecież jej i Spencerowi naprawdę nic nie groziło. Ale myśl o samotnym dniu wytrącała ją z równowagi.

Dziś, bawiąc się ze Spencerem na plaży, czuła się jak na wakacjach, pomimo pewnego skrępowania obecnością Beau i wciąż panującego w jej myślach strachu i smutku po stracie Phoebe.

Nie rozmawiała z Beau o sytuacji, nie ułożyli żadnego planu działania, bo przy Spencerze było to niemożliwe. A przecież nie powinni ani na chwilę zostawiać go samego. Nie mogli pójść gdzieś we dwoje, żeby zastanowić się, co dalej. Właśnie dlatego chwilami zapominała, z jakiego powodu tu przyjechali. Wydawało jej się, że wszystko jest w porządku.

Aż nagle przypominała sobie, że ona, Beau i Spencer nie byli rodziną. Mężczyzna i dziecko byli obcymi ludźmi - zarówno dla niej, jak i wobec siebie. Los połączył ich na jakiś czas, ale niedługo będą musieli się rozstać.

Co się stanie ze Spencerem? Bardzo ją to martwiło. Co go czeka, gdy ona i Beau wreszcie zaprowadzą go na policję? Czy zamieszka z jakimiś znajomymi rodziny, o których istnieniu Jordan nawet nie wiedziała? A może z wujkiem, którego prawie nie znał?

Sądziła jednak, że każda z tych możliwości jest sensowniejsza niż to, by chłopiec zamieszkał z nią. Jeżeli nawet potrafiłaby się opiekować osieroconym czterolatkiem, na pewno nie dano by jej tej szansy. Phoebe i Reno niewątpliwie zostawili testamenty, w których nie wskazali jej jako ewentualnej opiekunki Spencera. Przecież była samotną, prowadzącą własną firmę bizneswoman, mieszkającą w innym mieście.

Nawet gdyby chciała walczyć przed sądem o prawo do opieki nad Spencerem, nie miałaby czym umotywić swojej prośby. W tych okolicznościach żaden sędzia nie powierzyłby jej dziecka. Zresztą gdyby Spencer miał wybór, na pewno nie chciałby mieszkać u niej.

Kogo by wybrał? Beau. Na pewno wybrałby Beau.

Cóż za śmieszna myśl! Beau był Spencerowi jeszcze bardziej obcy niż jej. Owszem, miał dobry kontakt z chłopcem, ale to nie oznaczało, że mógłby się nim opiekować na stałe. Kiedy to wszystko się skończy, Beau zniknie z ich życia.

Jak wtedy będzie się czuł Spencer? Jordan nie chciała o tym myśleć - ani o tym, jak chłopiec zareaguje na wiadomość o śmierci rodziców. Będzie musiała mu powiedzieć albo zdać się na policję, która zapewne powierza takie zadania pracownikom opieki społecznej. Oni mają doświadczenie i wiedzę, jak postępować z

osieroconymi dziećmi.

Ale to też obcy ludzie, pomyślała ponuro Jordan. Spencera otaczali sami nieznajomi.

Oprócz ciągłych pytań o matkę i kilku uwag na temat ojca, Spencer nie wspominał o nikim innym ze swojego dawnego życia. Zastanawiała się, w towarzystwie jakich ludzi przebywał.

Nagle przypomniała sobie, że będąc w niebezpieczeństwie, Phoebe zwróciła się do niej, a nie do kogoś z bliższego otoczenia. Phoebe wybrała właśnie ją, chociaż nie widziały się całe lata. W deszczowy dzień przyjechała aż do Waszyngtonu, żeby osobiście powierzyć jej synka. Czy nie mogła zaufać nikomu innemu? Czyżby nie było innej osoby, która zapewniłaby bezpieczeństwo Spencerowi?

Jordan przysięgła sobie w myślach, że zrobi wszystko, by dotrzymać ostatniej obietnicy, złożonej przyjaciółce. Podeszła do drzwi pokoju Spencera, otworzyła je cicho i na palcach weszła do środka. Pochyliła się nad śpiącym chłopcem. Wydawał się taki niewinny i bezbronny.

Pocałowała go w policzek. Spodziewała się, że podrapie się przez sen - tak jak kiedyś, ale nie zrobił tego. Gdy odwróciła się, żeby wyjść, usłyszała ciche westchnienie. Ten zduszony dźwięk poruszył ją. Spencer bardzo jej potrzebował. Teraz miał tylko ją. Przrzekła sobie, że go nie zawiedzie.

Beau siedział na leżaku z drewna lękowego na tarasie przy salonie. Patrzył na ocean i słuchał szumu fal rozbijających się o brzeg. Nocne niebo przypominało dziś mglisty baldachim. Nie było widać ani jednej gwiazdy. Ciepłym, wilgotnym powietrzem prawie nie dało się oddychać. Jutro będzie deszcz, pomyślał Beau. To dobrze. W czasie mojej nieobecności Jordan i Spencer będą siedzieć w domu.

Nie obawiał się, że ktokolwiek mógłby rozpoznać dziecko na prywatnej, pustej plaży. Dziś nikt nie podszedł do nich na odległość mniejszą niż sto metrów. Nie było możliwości, żeby ktoś uważnie przyjrzał się Spencerowi. Zresztą Beau kupił mu rano słomkowy kapelusik. Opadające rondo zasłaniało większą część twarzy dziecka.

Mimo to Beau wciąż się zastanawiał, czy nie zadzwonić do Eda i nie powiedzieć mu, że nie może przyjechać do Waszyngtonu, nawet na spotkanie z Landrym. Tylko że Ed poprosiłby o wyjaśnienie. Myślał, że Beau samotnie spędzał urlop. Nie uwierzyłby, że jego wspólnik mógłby narazić firmę na straty tylko dlatego, iż nie miał ochoty przerwać wakacji. Zaproponował, że wynajmie mu samolot i zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego Beau odmówił.

- Wiesz, że już nie latam, Ed - powiedział mu spokojnie Beau.

- Wiem, ale sam utrudniasz sobie życie. Gdybyś...

Beau przerwał mu przekleństwem. Dodał, że Ed nie powinien się wtrącać w jego życie osobiste. Od razu pożałował, że wypowiedział te słowa, ale przecież nie mógł ich cofnąć.

Ed miał żonę i dzieci. Nigdy nie był w sytuacji Beau. Nikt nigdy nie był w takiej sytuacji.

Beau zacisnął zęby i potarł zmęczone oczy, marząc o szklaneczce bur- bona. Gdyby w domu była butelka tego trunku, natychmiast by się napił. Tęsknił za zapomnieniem, jakie przynosił alkohol.

Było mu gorąco, więc zdjął koszulkę i powiesił na balustradzie tarasu. Pomogło. Poczul się lepiej, ale wciąż marzył, żeby znalazło się coś, co ukołoby jego żal. Kiedyś, gdy dręczyła go chęć napicia się alkoholu, wsiadał do samochodu, jechał do najbliższego sklepu i po prostu kupował sobie butelkę.

Ale wtedy rany były jeszcze niezabliźnione, a żałoba - wszechobecna. Teraz, po latach, Beau cierpiał mniej, choć wciąż czuł niewyraźny, pulsujący ból. Poczucie winy nie osłabło ani trochę. Nie opuszczało go nigdy, a dziś było silniejsze niż zwykle.

Bo w jego życiu pojawiła się inna kobieta i dziecko. Potrzebowali go, a on nie mógł...

Nagle zalało go światło.

Zdziwiony, odwrócił się w stronę salonu. Zamknął oszklone drzwi, ze względu na klimatyzację, ale widział przez nie, że do pomieszczenia weszła Jordan.

Miała mokre włosy. Wiedział, że ładnie pachniały szamponem. Wziął głęboki wdech i odniósł wrażenie, że czuje jej zapach, mieszający się ze słonym zapachem morskiej bryzy. Była ubrana w

biały szlafrok frotte do kolan, który trochę się rozsunął, gdy pochyliła się nad stolikiem. Beau ostrzegł, że nie miała nic pod spodem. Zobaczył zaczerwienioną skórę jej szyi i ramion oraz białe piersi.

Chęć napicia się burbona przerodziła się w inne, silniejsze pragnienie. Beau wstał z leżaka. Zatrzymał się tuż przed oszklonymi drzwiami, uświadamiając sobie, że powinien bardziej nad sobą panować. Nie mógł po prostu wejść do salonu i wziąć Jordan w ramiona. Musiał to przemyśleć. Rozważyć wszystkie następstwa. Jakie mogły być konsekwencje? Teraz, gdy rozsądek przyćmiewało pożądanie, nic nie przychodziło mu do głowy. Myślał tylko o przyjemności.

Otworzył drzwi. Jordan krzyknęła.

Napotkał jej wzrok.

- To tylko ja - powiedział, wchodząc do chłodnego pomieszczenia.

- Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że już śpisz.

Zobaczył, że Jordan trzyma w rękach butelkę z lotionem.

- Wyjdź ze mną na taras - zaproponował, starając się patrzeć na jej twarz, a nie w rozcięcie szlafroka.

Spostrzegła dwa drewniane leżaki, które zdawały się zapraszać, by ktoś na nich usiadł.

- Jest piękna noc - skłamał Beau.

Wcale nie była piękna. Gwiazdy skryły się za chmurami, a wilgoć w powietrzu trudno było znieść.

Co on wyprawiał? Po prostu wywabiał ją na dwór. W ciemności, przy szumie fal, Jordan nie zobaczy żądz w jego oczach. Jego słowa nie będą brzmiały tak pusto.

- Dobrze - zgodziła się, spuszczać wzrok i natychmiast ściślej otulając się szlafrokiem. - Posiedzę kilka minut. Musimy porozmawiać o Spencerze.

- Tak. Powinniśmy - zgodził się Beau, otwierając przed nią drzwi. Gdy go mijała, poczuł zapach szamponu, o którym przed chwilą myślał. Zapragnął wtulić twarz w jej włosy.

- Zaraz wrócę - powiedział.

- Dokąd...

Szedł już do swojego apartamentu. W łazience sięgnął po skórzaną kosmetyczkę. Wsuwając foliowy pakiecik do kieszeni spodni, zauważył swoje odbicie w lustrze.

Co ja robię? Co ja sobie myślę? Nic, naprawdę nic. Zmęczyło go to, że zawsze tylko myślał. Choć raz zapragnął kierować się wyłącznie instynktem.

Odwrócił się od lustra, żeby nie widzieć swojego surowego spojrzenia, i szybko wrócił na taras. Usadowił się na leżaku. Siedzieli obok siebie, z wyciągniętymi nogami, patrząc na tonące w cieniach nocy wydmy-

- Chyba będzie padało - zauważyła Jordan, patrząc na niebo. Poprawiła oparcie leżaka.

- Możliwe.

- Czy kiedy robiłeś zakupy, słyszałeś w radiu prognozę pogody? A może kupiłeś gazetę?

- Nie. Jeśli będzie padać, trudno - odparł, wzruszając ramionami.

- Chyba masz rację. - Milczała chwilę. - Powinniśmy czytać gazety. Może będą jakieś wieści...

O Phoebe i Reno. Beau wiedział, o co jej chodzi. Dlaczego rano nie pomyślał, żeby kupić gazetę? Czy dlatego, że nie spodziewał się takich wiadomości w lokalnej prasie? A może podświadomie pragnął przedłużyć czas, który spędzali razem? Czy obawiał się, że kiedy sprawa zabójstw zostanie rozwiązana, a sprawca znajdzie się w areszcie, Jordan nie będzie miała powodu tu z nim siedzieć?

Gdyby tak było, mógłby jutro zabrać ją i Spencera do Waszyngtonu. On poszedłby na spotkanie, a Jordan - na policję. I koniec. Wróciłby tutaj sam, tak jak wcześniej planował.

Ale teraz perspektywa samotnego tygodnia na Outer Banks wydawała się bardzo przygnębiająca.

- Co my zrobimy? - zapytała Jordan.

Tak zaskoczyło go słowo „my”, że nie zrozumiał pytania. Powiedziała „my”. Połączyła ich. Nie był już sam. To niesłychane jak silne wrażenie może wyrzucić jeden krótki zaimek.

- Beau?

Odwrócił się do niej.

- W Waszyngtonie dowiem się, jak wygląda sytuacja -

powiedział. - Jeśli są jakieś postępy w śledztwie, będzie nam łatwiej zdecydować, czy powinniśmy iść na policję.

Westchnęła, wyglądając za balustradę i bawiąc się nakrętką butelki z lotionem.

- Zaczynam myśleć, że powinnam była zrobić to od razu.

„Ja”, znów zaczęła mówić Ja”. Rozdzieliła ich.

- Nie - zaprzeczył, starając się myśleć tylko o Spencerze. - Nie mogłaś zawiadomić policji. Phoebe tego nie zrobiła. Musiała mieć jakiś powód. Przyjechała do ciebie. Ufała tylko tobie. Dlatego ty nie możesz wierzyć nikomu, nawet policji.

- Przecież zaufałam tobie - powiedziała Jordan, patrząc na niego.

Spojrzał jej w oczy.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim nie miałam wyboru. Wciąż przy nas byłeś. Ale... dostrzegłam coś w tobie. Łatwo znalazłeś wspólny język ze Spencerem... wiedziałeś, co robić. Zawsze umiesz się odpowiednio zachować w jego obecności...- urwała.

Czekał.

- Skąd wiesz, co robić, Beau? - zapytała łagodnie. - Dlatego, że sam kiedyś byłeś mały? Czy może...

Nie chciał tego mówić, ale słowa wypłynęły z niego same.

- Bo kiedyś miałem synka, Jordan.

Widział z jej miny, że spodziewała się innej odpowiedzi.

- Miałeś synka? - powtórzyła.

Kiwnął głową, nie mogąc wydobyć głosu. W tej chwili wyraz jej twarzy się zmienił. Wiedziała. Zrozumiał, że znała straszliwą prawdę, której on nie potrafił teraz wyrazić słowami.

- Och, Beau. - Wyciągnęła rękę w jego stronę.

Myślał, że ujmie jego dłoń albo uściśnie mu ramię. Nie zrobiła tego. Dotknęła jego policzka zewnętrzną stroną palców, jak zatroskana matka, sprawdzająca, czy dziecko ma gorączkę. Wzruszył się, wiedząc, że nie kierowała nią litość ani grzeczność, lecz szczerą troską. Jordan rozumiała jego cierpienie i chciała mu ulżyć.

- Oboje zginęli, Jordan.

Już. Wyznał jej tragiczną prawdę. Te słowa zabrzmiały jak szloch. Starał się zapanować nad sobą, ale tama pękła. Z udręczonej

duszy popłynęły kolejne słowa:

- Tyler i Jeanette... byli całym moim światem. I zginęli. Nie zdołałem ich uratować. Chociaż próbowałem.

- Och, Beau... - Jordan przysiadła na krawędzi leżaka, obok jego wyciągniętych nóg. Przytuliła do siebie jego głowę i głaskała go po włosach. - Mój Boże. Jak to się stało?

- Wracaliśmy samolotem z weekendu w Keys. Ja pilotowałem.

Nagle wszystko stanęło mu przed oczami. Do późnego popołudnia pluskali się w ciepłej, lazurowej wodzie, a potem, o zachodzie słońca, powędrowali do Key West na placuszki i ciasto cytrynowe. Była niedziela. Wyruszyli do domu bardzo późnym wieczorem. Był zbyt beztroski - a raczej zbyt lekkomyślny - żeby przejmować się dobiegającą końca, tropikalną burzą u wybrzeży Luizjany.

- Ty pilotowałeś? - Ciche pytanie Jordan wyrwało go ze wspomnień.

Kiwnął głową.

- Ukończyłem kurs pilotażu i otrzymałem licencję pilota tuż po ślubie z Jeanette. Chcieliśmy mieć możliwość podróżowania bez żadnych ograniczeń. Uwielbialiśmy być razem w chmurach. My dwoje i Tyler...

Znów wyrwał mu się szloch. Beau zakrył usta dłonią.

- Już dobrze - powiedziała łagodnie Jordan. - Powiedz mi wszystko. Nie duś tego w sobie, Beau.

- Tyler miał tylko... - Z trudem łapał powietrze. Znów zaszlochał. - Miał tylko trzy latka. On i Jeanette siedzieli przypięci z tyłu. Podchodziłem do lądowania. Wiał silny, porywisty wiatr...

Przypomniał sobie straszliwą chwilę, kiedy stracił panowanie nad sterami... Samolot runął w dół, w stronę wody... Ocknął się, myśląc, że upłynęło dużo czasu. Później dowiedział się, że wszystko trwało co najwyżej minutę. Szarpał się, żeby wyjść z leżącego na dnie wraku. Wynurzył się, sam w niesamowitej ciemności, sam w dziwnie nieruchomej, choć pełnej morskich węży i aligatorów wodzie zatoki...

Chwila, gdy sobie uświadomił, że oni wciąż są uwięzieni w pogiętych szczątkach samolotu, była najgorszą chwilą jego życia.

Wspomnienia te nawiedzały go w niezliczonych sennych koszmarach i w rzeczywistości.

- Samolot się rozbił, a ty próbowałeś ich uratować. - To nie było pytanie, lecz stwierdzenie. Jordan miała taką minę, jakby widziała straszliwe obrazy w jego umyśle.

- Zbyt słabo się starałem. Byłem zdezorientowany. Kilka razy zanurkowałem, ale... nie mogłem nawet znaleźć samolotu - jęczał. - Później widziałem zdjęcia. Wrak nie był cały pod wodą, Jordan. Wystarczyło się rozejrzeć, a...

- W ciemności nie wiedziałeś, co się dzieje. Na pewno sam byłeś ranny, Beau.

Miał wstrząśnienie mózgu, otarcia, połamane żebra. Czyli nic, w porównaniu z tym, co stało się im.

- Utonęli, Jordan - zaszlochał. - Żyli, kiedy samolot uderzył w wodę, i potem też. Szarpali się, czekali na mnie... a ja im nie pomogłem. Bezradnie unosiłem się na wodzie, kiedy oni tonęli kilka metrów ode mnie.

- Nie dręcz się, Beau. - Jordan położyła mu dłonie na ramionach i przysunęła twarz do jego twarzy. Jej oczy przyciągały go jak magnes. - Nikt nie mógł ich ocalić.

- Ja mogłem.

- Gdybyś mógł, zrobiłbyś to.

Jej słowa przebiły mur, którym sam się otoczył za karę. Gdyby mógł, uratowałby ich na pewno. Z perspektywy czasu wiedział, że nie zrobił nic. Zawiódł. Ale wtedy, tam... Czy na pewno wykorzystał każdą szansę?

Znowu zaszlochał. Czuł się tak, jakby w murze potężnej fortecy, którą się otoczył, powstała pierwsza szczelina. Proste słowa Jordan dały mu chwilę wewnętrznego spokoju. Nie tymczasowe odretwienie, jakie przynosił burbon, ani iluzję normalności, którą tworzył sobie w pracy. Rozumiał, że to nowe uczucie jest prawdziwe. Była dla niego nadzieja - na uleczenie, na przyszłość.

Jordan delikatnie otarła mu łzy rękawem swojego szlafroka. Gdy się poruszyła, owionął go jej zapach. Beau oddychał głęboko, uspokajając się trochę. Ale w jego myśli wkradło się coś jeszcze. Oczywiście wiedział, co. To samo pragnienie, które kazało mu

wywabić Jordan na taras.

Jego następny ruch zdziwił nie tylko jego samego, ale ich oboje. Posadził ją sobie na kolanach. To po prostu się stało. Kierował nim instynkt, tak jak wtedy, w jej domu, gdy pierwszy raz się pocałowali.

Jordan się nie opierała. Gdy przyciągnął ją do siebie, wyczekująco przekrzywiła głowę. Ten gest zachwycił Beau. Wiedziała, że ją pocałuje i chciała tego. Ich wargi się musnęły, ale już po chwili ostrożność ustąpiła miejsca namiętności. Wsunął język w jej usta i całował ją żarliwie, aż oboje zaczęli jęczeć i pieścić się nawzajem.

Beau zaskoczył jej dotyk, lekki jak puch, gdy gładziła go po nagiej piersi. Całe jego ciało przeszyły dreszcze. Pocałował ją jeszcze mocniej. Ucieszył się, że jej dłonie powędrowały na jego ramiona, jakby chciała go do siebie przyciągnąć jeszcze bliżej.

Jej niepohamowane pragnienie dorównywało jego pożądaniu. Chętnie przyjmowała jego pieścioty, drażniła go i doprowadzała do szaleństwa.

Wyplątał dłonie z jej wilgotnych włosów i szybkim ruchem zsunął szlafrok z jej ramion. Gdy zaczął całować ją w szyję, drgnęła. Przez chwilę myślał, że sprawia jej przyjemność, ale ona lekko się cofnęła. Patrząc na jej nagie ciało, na biel piersi kontrastującą z kolorem dekoltu i ramion, przypomniał sobie o oparzeniu słonecznym.

- Przepraszam - szepnął, starając się uspokoić oddech. - Zapomniałem. Boli cię. Nie musimy...

- Musimy - powiedziała i przytuliła jego głowę do swojej piersi. - Tutaj nie boli.

Pocałował jeden sterczący sutek, delikatnie gładząc go językiem.

- Ani tutaj - dodała, prężąc się, a on przeniósł usta na drugi sutek. Jej mruczenie pobudzało jego podniecenie, ale starał się nie śpieszyć, delikatnie całując jedwabiste pagórki jej piersi.

Poruszyła się na jego kolanach, coraz bardziej go podniecając. Przez chwilę nie zdawał sobie sprawy, że zrobiła to celowo. Gdy zrobiła to ponownie, wreszcie zrozumiał. Zapragnął wziąć ją w ramiona, położyć na drewnianym tarasie i natychmiast się z nią kochać.

Wstrzymał oddech, gdy ocierała się o niego, a potem zaczęła go gładzić. Tkanina spodenek nie stanowiła prawie żadnej bariery. Odczuł niemal gniew, kiedy przerwała, żeby szarpnąć pasek. Ale uniósł biodra i pozwolił jej zsunąć sobie spodenki. Wreszcie byli nadzy i tulili się do siebie.

Oplotła jego uda swoimi i pochyliła się, żeby całować jego pierś. Tak, jak on przed chwilą pieścił ją, tak ona ssła jego sutki, wywołując erotyczne napięcie, które wzmogło się, gdy zaczęła całować go coraz niżej. Dotykała ustami jego brzucha. Mięśnie napięły mu się z podniecenia, gdy go tak pieściła.

Całowała jeszcze niżej. Jęknął, czekając na to, co miało się stać. Ale po kilku chwilach pieszczot delikatnie ją odsunął.

- Nie wytrzymam - wyszeptał chrapliwie. - Naprawdę. A chcę być w tobie, kiedy to się stanie.

- Ale...

- W porządku - powiedział, sięgając ręką do spodenek, leżących obok fotela. Wyjął z kieszeni kwadratowy pakiecik i podniósł.

Spojrzała ze zdziwieniem.

Pomyślał, że popełnił ogromny błąd. Teraz Jordan wiedziała, że przyszedł tu przygotowany. Że nie był całkowicie spontaniczny. Cekał, aż spojrzy na niego lodowato i odejdzie, ale ona się uśmiechnęła.

- Byłeś bardzo pewny siebie, prosząc, żebym ci towarzyszyła, co?

On też się uśmiechnął.

- Nie. Wcale. Miałem tylko nadzieję...

- Ja też - wyznała.

Nie chciał więcej słuchać. Pragnął jej. Natychmiast. Rozdarł paczuszkę i szybko włożył prezerwatywę.

- Nie chcę ci sprawić bólu - powiedział, przypominając sobie o jej poparzeniu słonecznym. - Twoja skóra...

- Tak nie będzie bolało - szepnęła, sięgając do oparcia leżaka. Opuściła je do poziomu.

Potem przesunęła się z jego kolan na biodra. Oparła mu dłonie na ramionach. Gdy go dotknęła, oboje jęknęli. Beau był nieprzytomny z rozkoszy.

Starał się nie dotykać jej zaczerwienionych ramion i pleców, kiedy zaczęła się rytmicznie poruszać. Gładził jej piersi, płaski brzuch i jędrne Pośladki.

Lekko dysząc, robiła małe kółka biodrami, co podnieciło go tak bardzo, że wyprężył się i oboje szczytowali jednocześnie. Zatracili się w falach rozkoszy.

Po jakimś czasie przytulił ją do piersi i głaskał po głowie. Słuchali szumu oceanu.

- Żałuję, że muszę wyjechać - powiedział cicho.

- Ja też.

- Może ty i Spencer pojedziecie ze mną?

- Nie - odpowiedziała, odsuwając się trochę, tak że widział jej twarz. — Nie mogę z nim wrócić do Waszyngtonu, dopóki nie będę miała pewności, że nic mu tam nie grozi. Tutaj będzie nam lepiej.

Wiedział o tym. Sam jej to mówił. Ale teraz, kiedy była w jego ramionach, nie chciał jej już nigdy wypuszczać.

Tyle się zdarzyło w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Jeszcze więcej mogło się zdarzyć w jednej chwili. Nikt nie był naprawdę bezpieczny. Ale los dał mu drugą szansę. Szansę na ocalenie tej kobiety i dziecka. Tym razem Beau zamierzał dopiąć celu. Nawet jeśli oznaczało to, że znów będzie narażony na tragedię i stratę, która już kiedyś go spotkała.

Zaangażował się w to z własnej woli, wmawiając sobie, że potrafi utrzymać emocje na wodzy. Był głupcem, wierząc w to wtedy... Teraz też zachowywał się głupio. Ale było już za późno, żeby przywrócić dystans. Przekonał się na własnej skórze, że nie można cofnąć czasu. Można tylko po omacku iść naprzód i żyć, dokonując kolejnych wyborów.

Rozdział 10

Jordan obudziło bębnienie deszczu o dach. Obróciła się, przykryła kołdrą po szyję i przypomniała sobie, gdzie jest.

W Karolinie Północnej. W łóżku Beau.

Gwałtownie otworzyła oczy. W pokoju było jeszcze ciemno, ale widziała pustą poduszkę obok swojej głowy. Usiadła i przeczesła

dłonią potargane włosy. Przez chwilę dziwiła się, że były aż tak poplątane, ale przypomniała sobie, co się działo w nocy.

Gdy zaczął kropić deszcz, Beau wprowadził ją do domu i do swojego pokoju, gdzie znów się kochali. Ten drugi raz był spokojniejszy, mniej gorączkowy. Potem zasnęli przytuleni.

Teraz go nie było. Już wyjechał w długą podróż samochodem do Waszyngtonu? Czy naprawdę nie obudziłby jej, żeby się pożegnać?

Przełożyła nogi przez krawędź łóżka, nagle zdając sobie sprawę, że jest naga. Szlafrok, który miała na sobie wieczorem, chyba wciąż leżał na tarasie i mókł. Zauważyła T-shirt Beau, zawieszony na kłame, więc go włożyła. Ponieważ sięgał jej do pół uda, nie musiała się obawiać, że wpadnie na Spencera - chociaż nie spodziewała się, żeby wstał o tej porze, którakolwiek mogła to być godzina. Otworzyła drzwi i rozejrzała się po cichym, pustym salonie.

- Wracaj do łóżka.

Cichy głos Beau bardzo ją przestraszył. Odwróciła się i zobaczyła go, siedzącego przy biurku w rogu. Wyrównał stosik folderów i włożył je do brązowej skórzanej torby.

- Przygotowujesz się do wyjazdu? - zapytała, czując się nagle niezręcznie. Naturalna atmosfera intymności nocy zniknęła, gdy Jordan wypowiedziała pierwsze słowa.

Kiwnął głową, nie patrząc na nią. Z przesadną dokładnością zamknął na suwak kieszeń torby.

- Powinienem już wyruszyć - powiedział. - Leje jak z cebra. W deszczu wolniej się jedzie.

Typowy poranek po, pomyślała, pragnąc, żeby dobiegł już końca. Było jeszcze ciemno, a oni już patrzyli na siebie jak dwoje ludzi, którzy popełnili błąd. Czy rzeczywiście tak się stało? Przecież oboje czuli, że to co się zdarzyło, było właściwe.

Patrzyła, jak Beau wkłada zielony pulower z kapturem i walczyła z nasuwającym się obrazem jego nagiego ciała.

- Która godzina? - zapytała.

- Dochodzi wpół do piątej. - Przerzucił torbę przez ramię. - Lepiej się połóż.

- Dobrze. - Ziewnęła i poszła za nim przez pokój. - Proszę cię, uważaj. Drogi będą śliskie.

- Będę uważał. Chcesz, żebym zajrzał do twojego mieszkania i coś ci przywiózł?

- Nie! - Jak mógł wpaść na taki pomysł? - Nie zbliżaj się do mojego domu, Beau. On wciąż może się tam kręcić, szukać Spencera, czekać na nas... - Na myśl o tym przeszył ją dreszcz. - Nie ryzykuj.

- Ty też nie. Masz numer mojej komórki. Będzie włączona. Wrócę najszybciej, jak zdołam. Spotkanie skończy się najpóźniej o piątej. Od razu wyruszę w drogę. Może zdążyć przed północą.

- Nie śpiesz się. Poradzimy sobie.

- Wiem.

Patrzyli na siebie z odległości metra, stojąc u szczytu schodów.

- Zajrzałem do Spencera - powiedział Beau. - Śpi spokojnie.

- To dobrze. Wrócę do swojego pokoju. W razie czego znajdzie mnie bez trudu.

Kiwnął głową, bawiąc się breloczkiem przy kluczykach do samochodu.

- Cóż... Muszę jechać.

- Dobrze.

Pochylił się ku niej. Spodziewała się krótkiego buziaka, ale ten pocałunek rozwiął wszelkie jej obawy. Być może się myliła i nieprzyjemne napięcie istniało tylko w jej wyobraźni. Pocałunek był o wiele dłuższy niż zwykły całus na pożegnanie. Serce zabiło jej mocniej, a w dole brzucha znów obudziło się pożądanie.

Odsunął się, ale jeszcze dotykał dłonią jej policzka.

- Do widzenia, Jordan. Kiedy wrócę, porozmawiamy.

Kiwnęła głową, wiedząc, że nie chodziło mu wyłącznie o Spencera.

Wyszedł. Słyszała jego kroki, gdy schodził po schodach. Usłyszała odgłos zamykania na klucz frontowych drzwi, a po chwili - warkot silnika jego samochodu.

Wtedy niespodziewanie ogarnęła ją panika. Chciała za nim biec, prosić, żeby zaczekał, żeby zabrał ich ze sobą. Z trudem się powstrzymała. Słuchała, jak jego samochód odjechał drogą prowadzącą do autostrady.

Została sama ze Spencerem.

A jeśli „pirat” znajdzie ich podczas nieobecności Beau? To niemożliwe, powiedziała sobie w myślach. Jestem pewna, że nie śledził nas w drodze, więc nie może wiedzieć, gdzie się ukrywamy. Nikomu nie powiedziałam, że wyjeżdżam. Wszystko stało się bardzo szybko. Nawet gdyby „pirat” dotarł do Jeremy’ego lub któregoś z jej klientów, nikt nie wiedział o jej znajomości z Beau.

Nikt oprócz Andrei MacDuff, pomyślała z niepokojem. Ale Andrea tylko umówiła ich na randkę w ciemno. Nie miała pojęcia, co działo się później. Mimo wszystko... jeśli „pirat” dotarł do Andrei, a ona w dobrej wierze wspomniała o Beau?

To była nedorzeczna myśl. Jordan na ogół nie mogła się skontaktować z ruchliwą Andrea. Po prostu wpadała w histerię i sama wyszukiwała sobie powody do lęku.

Mimo wszystko...

„Pirat” kręcił się wokół jej domu i wypytywał o nią sąsiadów. Może nawet wszedł do środka i próbował porwać Spencera z łóżka. Ten człowiek był zuchwały i bardzo sprytny. A jeśli zauważył ją i Beau, gdy razem wyjeżdżali lub przyjeżdżali?

Mógł widzieć samochód Beau zaparkowany pod jej domem. Mógł go śledzić, gdy wracał. Dowiedział się, kim jest. Popytał ludzi i domyślił się, że wyjeżdżając z miasta, Beau zabrał ze sobą ją i Spencera. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleliśmy? - zastanawiała się Jordan, starając się pohamować narastający strach.

Bo w obecności Beau nie potrafiła myśleć logicznie. Najwyraźniej działał na nią tak samo, jak ona na niego.

Wmówiła sobie, że „pirat” znalazłby ich tu tylko wtedy, gdyby śledził ich w drodze. Nawet nie przyszło jej do głowy, że złoczyńcy wystarczyłoby zobaczyć Beau u niej - a nawet tylko zaparkowany samochód - żeby trochę powęszyć i wszystkiego się dowiedzieć.

A jeżeli „pirat” już tu był? Jeśli czaił się gdzieś na wydmach albo w sąsiednim domu i obserwował Jordan przez lornetkę?

Nagle uświadomiła sobie, że stoi w oświetlonym pokoju. Przypomniała sobie o kilku parach oszklonych drzwi prowadzących na różne tarasy, nieosłoniętych żadnymi zasłonami ani żaluzjami. Każdy mógł zajrzeć do środka.

To tylko wyobraźnia, zganiła się w myślach Jordan, przyciskając

drżącą dłoń do trzepocącego w piersi serca. Podeszła do najbliższych drzwi i spojrzała przez nie w deszczową ciemność. W szybach widziała tylko odbicie znajdującego się za nią pokoju, nakładające się na taras, tonący w strugach deszczu.

Zgasiła światło. Teraz widziała trochę więcej z tego, co znajdowało się na zewnątrz: odległy zarys dachu sąsiedniego domu, pagórki wydm i nic więcej. Jak tu pusto, pomyślała. Dom wcale nie był bezpieczny.

Teraz, gdy Beau wyjechał, ona i Spencer byli bardziej zagrożeni niż w Georgetown. Tam przynajmniej byli sąsiedzi, którzy z pewnością usłyszeliby jej krzyki, gdyby wołała o pomoc. Tutaj stało tak niewiele budynków - i były tak oddalone od siebie - że jej głos zginąłby w szumie wiatru, deszczu i oceanu.

Nie miała nawet samochodu, więc w razie czego nie mogliby uciec. Jak Beau mógł zostawić ją tu bez auta? Jak Beau w ogóle mógł ją zostawić?

Sama mu kazałam, pomyślała, powiedziałam, że ja i Spencer będziemy tu bezpieczni. Wtedy naprawdę w to wierzyła. Teraz już nie.

Z powodu deszczu ruch na autostradzie numer 95 był nieco mniejszy, niż przewidywał Beau. Późnym rankiem minął Fredericksburg, oddalony o godzinę drogi od Waszyngtonu.

Przesłuchał wszystkie kompaktki, które miał w samochodzie, w tym kilkakrotnie płytę Rolling Stonesów, aż mu się znudziła - podobnie jak monotony szmer wycieraczek. Zatrzymał się tylko raz, żeby zatankować, wypić dużą kawę i zjeść babeczkę z jeżynami. Teraz, z powodu kawy, musiał się zatrzymać ponownie.

Zjechał z autostrady przy stacji Seven-Eleven. W stacjach tej sieci zwykle były czyste łazienki, a podawana w barze kawa smakowała lepiej niż gorzki napar, który wypił wcześniej.

Zaparkował i naciągnął na głowę kaptur, zanim wyszedł na deszcz. Padało silniej niż przedtem. To na pewno przybrzeżna burza. Byłoby miło, gdyby skończyła się przed moim powrotem, pomyślał, wchodząc do jasno oświetlonego sklepika.

Poszedł do toalety. Myjąc ręce, dostrzegł swoje odbicie w

lustrze. Na jego twarzy było widać niewyspanie. Choć ogolił się przed wyjazdem, na brodzie już zaczął mu się pojawiać zarost. Włosy miał potargane od kaptura. Wyglądał okropnie. W takim stanie nie mógł iść na spotkanie z Landrym.

I tak zamierzał wpaść do domu i przebrać się w garnitur. Zerknął na zegarek i stwierdził, że zdąży się wykapać i ogolić. Gdyby droga powrotna trwała tyle samo, powinien wrócić na Outer Banks grubo przed północą.

Wrócił do sklepu i szybko zrobił sobie dużą kawę przy ladzie samoobsługowej. Wsypywał właśnie trzecią torebkę cukru, gdy usłyszał strzęp rozmowy dwóch kierowców ciężarówek, którzy siedzieli po drugiej stronie lady.

- Nie, jadę do Norfolk - mówił jeden. - Może zdążę, zanim burza dotrze do lądu. Pewnie zostanę na noc, jeśli nie dłużej.

- Tak, ale będziesz spał w kabinie. Nie znajdziesz noclegu w promieniu stu kilometrów, jeśli będą ewakuować Outer Banks, jak zapowiadali.

- Ewakuacja Outer Banks? - wtrącił się Beau, zdjęty grozą. - Przepraszam, usłyszałem przypadkiem. Co się dzieje? Jak silna jest burza?

- Burza? To nie jest zwykła burza, kolego. To cyklon Agatha. Gdzieś ty był?

Cyklon Agatha...

Beau nagle przypomniał sobie, że w niedzielę czytał w gazecie wzmiankę o tym, że synoptycy obserwują narastającą burzę nad Karaibami. Napisano, że sztorm może się przerodzić w potężny cyklon, co byłoby ewenementem na początku sezonu huraganów, który zaczął się pierwszego czerwca.

Nie zwrócił uwagi na ten artykuł, a od tamtego czasu nie czytał gazet ani nie słuchał wiadomości. Tak usilnie się starał chronić Spencera przed wszelkimi informacjami - z obawy, że dowie się czegoś o rodzicach - że nie włączał nawet radia.

Och, cholera! Jak silny jest ten cyklon?

- Nie, Gus, już nie cyklon... Właśnie powiedzieli, że to huragan - oznajmił drugi kierowca.

- Tak?

- Tak. Słyszałem, że ewakuowali Hilton Head. To była obowiązkowa ewakuacja. Huragan przesuwają się w górę wybrzeża. Chcą ewakuować wszystkich, którzy znajdują się na jego drodze. Dotrze do lądu na wysokości Nag's Head.

Beau szarpał się z pokrywką kubka z kawą, rozlewając sobie gorący płyn na dłoń. Zaklął.

- Ostrożnie, kolego. Bo się poparzysz. - Jeden z kierowców podsunął serwetkę, ale Beau szedł już w stronę kasy, prawie nie zwracając uwagi na pieczenie i zaczerwienienie skóry.

Chwycił egzemplarz „USA Today” z pobliskiej półki, rzucił sprzedawczyni kilka banknotów jednodolarowych i ruszył w stronę drzwi.

- Chwileczkę! Proszę pana, jeszcze nie wprowadziłam kodów zakupów do kasy.

- Śpieszę się! - rzucił przez ramię.

- Ale reszta...

- Proszę ją zatrzymać! - Pobiegł w deszczu do samochodu, wsiadł i od razu zajrzał do gazety. O Agacie napisali na pierwszej stronie. To był zły znak.

Beau przebiegł wzrokiem połowę artykułu i sięgnął po telefon komórkowy. Cholera jasna! Zapomniał wziąć karteczkę, na której zanotował numer telefonu do domu na plaży. Z bijącym sercem wybrał numer Eda w biurze.

- Beau? Gdzie jesteś? Wiesz o huraganie?

- Wiem. Dlaczego wczoraj nic mi nie powiedziałeś?

- Bo dowiedziałem się przed chwilą. Cholera, Beau, przesiedziałem dwie doby nad tym projektem. O huraganie usłyszałem przypadkiem, z prognozy pogody, kiedy byłem w...

- Ed, wyświadczyć mi przysługę.

- Tylko nie mów, że nie przyjedziesz. Pogoda nie jest chyba jeszcze taka zła, a samolot Landry'ego wylądował bez opóźnienia. On będzie tu za niecałe dwie godziny!

- Jestem w drodze. Wyjeżdżam z Fredericksburga. Ale potrzebny mi numer telefonu do domu, który wynajmuję. Masz go?

- Chyba tak. Wczoraj...

- Ed, to bardzo pilne. Potrzebny mi ten numer. Podaj mi go

szybko.

- Chwileczkę.

Beau czekał, niecierpliwie uderzając długopisem o kierownicę. Martwił się o Jordan. Nie wiedziała, że w stronę Outer Banks zmierza huragan. Nie będzie miała jak się wydostać. Jeśli będzie tak źle, jak przewidują synoptycy, musi wezwać pomoc, pomyślał. Powinien wrócić na czas, ale jeśli mu się nie uda, a władze zarządzają ewakuację, Jordan i Spencera będzie musiała zabrać tamtejsza policja.

Jordan na pewno nie będzie chciała zawiadamiać policji. Ale sprawa była bardzo poważna. Mogło im grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. Jeśli nawet ktoś rozpozna Spencera... Cóż. Będą się wtedy martwić.

W słuchawce znów rozległ się głos Eda.

- Beau, dyktuję numer.

Zapisał go na marginesie gazety.

- Ale posłuchaj, chcę tylko...

- Muszę kończyć. Do zobaczenia.

Rozłączył się, wiedząc, o co chciał go zapytać Ed. „Beau, po jaką cholere jest ci potrzebny numer tego domu, skoro mieszkałeś tam sam?” Wybierał numer tak szybko, że się pomylił. Drugi raz.

- Spokojnie - mruknął do siebie. - Tylko spokojnie.

Za trzecim razem dobrze wpisał numer. Wcisnął klawisz połączenia i po kilku sekundach usłyszał sygnał po drugiej stronie linii.

Jeden dzwonek... drugi... trzeci... czwarty... piąty... Gdzie jesteś, Jordan?

Czekał dalej. Musiała tam być. Prędej czy później odbierze. Chyba że... Czy coś się stało? Czy „pirat” znalazł ją i Spencera?

Beau walnął oparzoną pięścią w kierownicę. Ból rozprzestrzenił się po całym ramieniu, ale on nawet nie drgnął. Chciał, żeby go bolało. Zasłużył na to. Postanowił do niej wrócić. Natychmiast. Musiał...

Obrócił kluczyk w stacyjce i silnik zaczął warkotać. Wyjechał z parkingu z piskiem opon, szukając wzrokiem wjazdu na południową ścieżkę autostrady... Nie zauważył wyjeżdżającego minivana.

Kobieta za kierownicą nacisnęła klakson i gwałtownie skręciła. Mijając pojazd, Beau zobaczył roztrzęsioną kobietę i czworo małych dzieci, przypiętych pasami na tylnym siedzeniu. Cholera! W tej jednej chwili nieuwagi mógł zabić całą rodzinę. Czyjaś żonę i małe dzieci. Cholera jasna! Musi wziąć się w garść. Koniecznie powinien się uspokoić.

Nie zawrócę tak po prostu, nie w tym stanie. Trzeba myśleć logicznie. Może Jordan po prostu nie usłyszała dzwonka telefonu. Mogła się kąpać. Może huragan nie był aż tak potężny, jak mówili kierowcy i pisano w gazetach. A nawet gdyby... Jordan i Spencerowi nic się nie stanie. Beau zdąży do nich wrócić, zanim pogoda się pogorszy. Będzie przy nich wieczorem. Powinien tylko zrobić po kolei to, co zaplanował.

Ostrożnie podjechał do wjazdu na autostradę numer 95, na północną nitkę. Postanowił, że pojedzie do Waszyngtonu. Wypełni zobowiązanie wobec Eda, firmy i Landry'ego. Dowie się jak najwięcej o huraganie. A przed zapadnięciem nocy znajdzie się już w drodze powrotnej do Karoliny Północnej. Wszystko będzie dobrze.

Powtarzał sobie w myślach to zdanie jak mantrę:

Wszystko będzie dobrze.

Tylko że nie mógł w to uwierzyć.

- Jordan! Popatrz! Fala! Większa niż wszystkie poprzednie! - Spencer starał się przekrzyknąć szum deszczu i wiatru.

Kiwnęła głową, patrząc na wielką, spienioną falę, narastającą kilka metrów od brzegu i rozlewającą się szeroko na plażę.

- Tu jest świetnie! - krzyknął Spencer. Stał obok niej, ale huk wody, wiatru i deszczu był ogłuszający. Poza tym oboje mieli na głowach kaptury.

Stali na skale Spencera. Gdy Jordan wreszcie wdrapała się za chłopcem, zobaczyła, że powierzchnia skały była zaskakująco płaska i równa. Było ślisko, ale bardzo uważali. Z tego punktu obserwacyjnego mieli wspaniały widok na szalejący sztorm.

- Wspaniale! - odrzyknęła do Spencera, patrząc na kolejną wielką falę, narastającą w oceanie.

- Dobrze, że wyszliśmy. Dziękuję.

Te słowa ją zaskoczyły. Spojrzała na niego, wzruszona. Odwrócił wzrok.

- Nie ma za co, Spencer.

Wzruszył ramionami, patrząc na wodę.

Nie chciała siedzieć w domu, podobnie jak chłopiec. Czowała się tam niepewnie, jakby miała klaustrofobię. Nie mogła się uspokoić. Tutaj, na opuszczonej plaży, z jakiegoś powodu miała poczucie większego bezpieczeństwa.

Zanim wyszli, patrzyli z okien na górze na wzburzone morze i białe czapy fal za wydmami.

Tu, na plaży, czuli słoną mgłę, mieszającą się z deszczem, który nie ustawał ani na chwilę. Było pięknie i dziko. Tutaj się nie bała. Nie przerażał jej sztorm. W tej chwili stanowił najmniejsze zagrożenie.

- Możemy tu zostać jeszcze trochę?! - krzyknął Spencer.

Jordan kiwnęła głową. Chciałaby wcale nie wracać do domu. Wolą- „y tutaj zaczekać na Beau. Spencer chyba czytał jej w myślach.

- O której Beau wróci do domu?

„Do domu”. Jordan ścisnęło się gardło, gdy usłyszała, że nazwał to nieznajome miejsce „domem”. To nie był dom. Ani dla niego, ani dla żadnego z nich. Ale jej segment w Georgetown też nie był domem Spencera. Jedyne miejsce, które zasługiwało na to miano była willa w Filadelfii, na zawsze już opuszczona przez właścicieli.

Spencer tego ranka kilka razy pytał o matkę, ale najpierw zapytał o Beau. Posmutniał, gdy przypomniała mu, że Beau wyjechał do Waszyngtonu na ważne spotkanie. Po jego następnym pytaniu - oczywiście o Phoebe - zmieniła temat. Słuchał jej obojętnie. Jak długo jeszcze zdoła ukrywać przed nim fakt śmierci rodziców?

Z poczuciem winy pomyślała o poprzedniej nocy i rozkoszy, jakiej zaznała w ramionach Beau. Jak mogli myśleć o czymkolwiek innym niż o nieszczęściu, jakie spotkało Spencera? Jak mogli ulec pokusie myślenia o własnych potrzebach, teraz, gdy to dziecko bezpowrotnie straciło osoby, których najbardziej potrzebowało?

Gdyby Beau nie powiedział jej o własnej tragedii, nie doszłoby do tego. Ale ona, poruszona jego opowieścią, chciała ulżyć mu w

bólu. Nie, pomyślała po chwili, nie kierowały mną tak szlachetne pobudki. Może było tak na początku. Ale kiedy spojrzała mu w oczy, wiedząc, że ją pocałuje, czuła już tylko pożądanie.

Postanowiła już nigdy więcej do tego nie dopuścić. Musiała się skupić wyłącznie na Spencerze.

- Ojej! Jordan, patrz!

Spojrzała na horyzont, tam, gdzie wskazywał chłopiec.

Na tle złowieszczego, czerniejącego nieba szalało szarozielone morze. Jordan patrzyła na spienione, monstrialne fale. Silny wiatr przyklejał jej wilgotne włosy do policzków. Kilka minut wcześniej myślała, że nie boi się sztormu. W tej chwili nie była już tego taka pewna. Teraz bała się wszystkiego.

Wracaj szybko, Beau, prosiła w myślach, obejmując się ramionami, bo smagał ją zimny wiatr.

Beau dojechał do swojego mieszkania w rekordowym czasie. Wpadł do środka przemoczony i zmarznięty, pomimo ciepła panującego na dworze. Wskoczył pod prysznic. Po kilku minutach, stojąc w łazience, zorientował się, że do spotkania zostało mu jeszcze trochę czasu.

Kolejny raz spróbował zadzwonić do domu na plaży. Od godziny bezskutecznie dzwonił co pięć minut. Teraz było podobnie. Telefon dzwonił i dzwonił, więc Beau wreszcie się rozłączył.

Rzucił słuchawkę i sięgnął po pilot telewizora. Na kanale meteorologicznym nadawano właśnie reklamę, więc szybko przełączył się na wiadomości MSNBC, spodziewając się, że stacja będzie na bieżąco informować o huraganie Agatha. Rzeczywiście, na ekranie pojawiła się reporterka w relacji na żywo. Napis informował, że kobieta jest w Myrtle Beach w Karolinie Południowej.

Beau wytarł się ręcznikiem i powoli ubierał, nie spuszczać wzroku z telewizora. Huragan przesuwał się na północ. Spodziewano się, że o świcie przeniesie się nad ląd, w okolicy Nag's Head w Karolinie Północnej. Siła huraganu zależała od różnych czynników, ale już ewakuowano większość mieszkańców wybrzeża Karoliny Południowej.

Beau nie zdążył na relację na żywo z Outer Banks, ale

wywnioskował, że ewakuacja tamtych terenów nie jest jeszcze obowiązkowa. Dowiedział się, że informacje o huraganie będą nadawane przez cały dzień.

Gdy spiker zaczął czytać inne wiadomości, Beau ściszył telewizor i znów wybrał numer domu na plaży. Ku jego zaskoczeniu, Jordan odebrała po trzecim dzwonku.

- Gdzie byłaś? - zapytał z ulgą.

- Na plaży - wysapała, jakby biegła do telefonu. - Właśnie weszliśmy. Żałuj, że nie widziałeś fal, Beau. Spencer chciał...

- Jordan, do wybrzeża zbliża się huragan - przerwał jej, zerkając na ekran, gdzie właśnie przedstawiano jakiś wykres zmian stóp procentowych. - Myślę, że do mojego powrotu będziecie bezpieczni, ale potem musimy wyjechać.

Przez chwilę milczała.

- Huragan? - powtórzyła cicho. - O, Boże. Nie miałam pojęcia. Nic dziwnego...

- Jordan, ludzie już uciekają z Outer Banks. Możliwe, że ewakuacja niedługo będzie obowiązkowa. W takim przypadku będziemy musieli wyjechać. Zresztą, może lepiej wyjedźmy i tak.

- Ale dokąd?

- Może z powrotem do Waszyngtonu? - zastanawiał się, sfrustrowany. - Cholera, nie wiem. Nie możemy wciąż uciekać, prawda? Czy tego byś chciała? Czy tak będzie najlepiej dla Spencera?

- Wiem tylko, że złożyłam obietnicę przyjaciółce - powiedziała cichutko. Beau domyślił się, że jest przy niej Spencer. - Chcę dotrzymać słowa, Beau. Za wszelką cenę.

- Wiem. - Zerknął na ekran. Pokazywano, jak jakaś hollywoodzka gwiazda odciska dłonie na chodniku przed Mann's w słonecznej Kalifornii.

Jordan milczała.

- Słuchaj... - powiedział, patrząc na zegarek. - Niedługo mam być na potkaniu. Wyjadę z miasta za godzinę, góra dwie. W razie czego wcześniej się urwę. Przyjadę do was najszybciej, jak zdołam. Wtedy postanowimy, co dalej. Nie martw się. Niezależnie od tego, co się stanie, przy nas Spencer będzie bezpieczny.

- Dziękuję, Beau.

- Trzymajcie się. I, na miłość boską, nie wychodźcie z domu! Wiem, że robi się coraz gorzej, a to zaledwie krawędź huraganu.

- Poradzimy sobie. Nie martw się. Wracaj bezpiecznie.

- Dobrze.

Usłyszał trzaśnięcie, rozłączyła się. Podszedł do telewizora i wziął pilot, żeby go wyłączyć, ale jego uwagę przykuło zdjęcie nad ramieniem spikera. Zobaczył żółtą taśmę policyjną i kredowe obrysy sylwetek kobiety i mężczyzny. Pod spodem widniał napis: MORDERSTWO W FILADELFII.

Beau wcisnął przycisk, żeby przywrócić stłumiony dźwięk. Na ekranie pojawił się reporter stojący przed dużym ceglany, starym domem na porośniętej drzewami ulicy.

-...policja jeszcze nic nie mówi o podejrzanych. Ale nasz informator twierdzi, że może istnieć związek między śmiercią Reno Averilla a ważnym klientem, którego adwokat niedawno zgodził się reprezentować.

Beau z bijącym sercem stał przed telewizorem.

- Skazany na karę pozbawienia wolności i zwolniony warunkowo pedofil James Shelton jest oskarżony o uduszenie kilku nastolatek w okolicy Filadelfii i New Jersey, w tym o zabójstwo Lisy Gisonni, córki znanego mafiosa Josepha „Łosia” Gisonniego, członka osławionej rodziny Beramino. Shelton, który wybierał ofiary losowo, podobno przyznał się do porwania, zgwałcenia i uduszenia dziewczyny w Wigilię świąt Bożego Narodzenia 2000 roku. Gdy sprawa trafiła do sądu, nie ulegało wątpliwości, że zostanie skazany, dopóki Averill, który doprowadził do uniewinnień w kilku takich sprawach, zastąpił adwokata Howarda Goffa.

Beau opadł na kanapę, nie mogąc oderwać wzroku od migawek z sądu przedstawiających poważnego adwokata towarzyszącego

klientowi, łachudrze, któremu nie pomógł nawet nowy garnitur i krawat oraz świeże strzyżenie.

- Shelton może zostać zwolniony z powodu zaniedbań proceduralnych. Ale stacja NBC News dowiedziała się że kilka dni temu zniknęła jego szesnastoletnia córka, mieszkająca w Nowym Jorku z jego była żoną.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie dziewczyny o rzadkich włosach z nieobecnym wyrazie twarzy.

- Chociaż dziewczyna nadużywała alkoholu oraz narkotyków i czasami znikła na dzień lub dwa, jej znajomi obawiają się, że tym razem stało się coś złego. Sądzą, że za jej zniknięciem, podobnie jak za śmiercią Reno i Phoebe Averillów, może stać Joseph Gisonni.

Beau zrobiło się słabo na widok dwóch przykrytych ciał, wnoszonych do karetki pogotowia stojącej na pomoście. To byli rodzice Spencera. Do oczu Beau napłynęły łzy. Otarł je rękawem, nawet nie myśląc o tym, że ma na sobie garnitur za dwa tysiące dolarów.

- Chociaż Gisonni ma niepodważalne alibi na noc morderstwa, nasze źródło potwierdza, że mógł zlecić zamordowanie Averillów. Podobno Gisonni groził adwokatowi i jego rodzinie, gdy ten podjął się obrony Sheltona.

Beau omal nie krzyknął, widząc na ekranie znajomą twarz. Zdjęcie zrobiono co najwyżej miesiąc czy dwa temu. Spencer wyglądał tak, jak teraz. Uśmiechnięty, stał na pokładzie, trzymając w ręce wędkę.

- Co do małego Spencera Averilla, czteroletniego syna Reno i Phoebe Averillów, policja z początku zakładała, że był na jachcie ojca i zginął z rodzicami, tylko nie udawało się odnaleźć ciała. Minęło jednak kilka dni, a policyjni nurkowie nic nie znaleźli, można więc podejrzewać, że zabójca

porwał chłopca z miejsca zbrodni. Policja prosi każdego, kto widział Spencera Averilla, o telefon pod numer 1800-555-3049.

Napis Pufna linia policyjna i numer telefonu zastąpiły teraz na ekranie zdjęcie Spencera.

- Tymczasem śledztwo w sprawie Averillów trwa. Oddaję głos do studia.

Prezenter zapowiedział materiał o ataku rekina na surfera w Oregonie.

Beau wstał, podszedł do telewizora i wyłączył go. Kręciło mu się w głowie, gdy brał kluczyki i telefon komórkowy. Jak w transie podszedł do drzwi. Zamykając je za sobą i obracając klucz w zamku, pomyślał, że może powinien był wziąć parasol, ale nie wrócił do mieszkania. Do diabła z garniturem za dwa tysiące dolarów i oczekiwaniami Eda w związku z Landrym. Nie było chwili do stracenia.

Biegając w stronę wind po wyłożonym dywanem korytarzu, zastanawiał się, czy nie zrezygnować ze spotkania i nie wrócić prosto do Karoliny Północnej. Ale przecież był w Waszyngtonie. Ed na niego liczył. Miał wobec niego dług wdzięczności. Przyjaciel dał mu coś więcej niż pracę. Dał mu szansę na rozpoczęcie życia od nowa wtedy, gdy Beau bardzo tego potrzebował.

Mógł iść na spotkanie i skrócić je, tak jak planował. Będzie miał mnóstwo czasu, żeby wywieźć ich stamtąd, zanim na miejsce dotrze huragan.

Dzięki Bogu, że trafił na te wiadomości w telewizji. Teraz przynajmniej wiedział, z kim mają do czynienia. Reporter nie podał źródła informacji. Policja oficjalnie nie łączyła morderstw Averillów z mafią, ale Beau nie miał żadnych wątpliwości. Słyszał o rodzinie Beramino, wiedział, że jej członkowie są potężni i nie wahają się zabijać. Co sobie wyobrażał Reno Averill, zadzierając z nimi?

Dobrze, pomyślał Beau, wsiadając do windy. Adwokat nie był z nimi bezpośrednio związany. Ale reprezentował seryjnego zabójcę, który ponosił winę za śmierć córki mafiosa.

Gdyby Gisonni chciał wyrównać rachunki z Sheltonem i jego adwokatem, prawdopodobnie tak właśnie by to zrobił: skoro Shelton

siedział w więzieniu, zabiłby jego córkę. Nie poprzestałby też na zabiciu Reno, lecz zgładziłby całą jego rodzinę.

Kim więc był tajemniczy „pirat”? Płatnym zabójcą wynajętym przez Gisonniego i rodzinę Beramino?

Jordan i Spencer są bezpieczni w domu na plaży, pomyślał Beau, wysiadając z windy i idąc podziemnym parkingiem do swojego samochodu.

Teraz, gdy zdjęcie Spencera pokazano w ogólnokrajowej sieci telewizyjnej, musieli unikać miejsc, gdzie ktoś mógłby rozpoznać chłopca. Okazało się więc, że huragan Agatha był dla nich dobrodziejstwem. Kiedy zbliżył się do wybrzeża, jeszcze bardziej odizolował dom na plaży, bo ludzie zaczęli uciekać z Outer Banks.

Musiał zadzwonić do Jordan i wszystko jej powiedzieć.

Wyjechał na zatłoczoną ulicę, ściszył radio i sięgnął po telefon komórkowy. Próbuąc wybrać numer, uświadomił sobie, że popełnił ogromny błąd. Na wyświetlaczu migał pomarańczowy znaczek informujący o tym, że za chwilę wyczerpie się bateria. Zaklął pod nosem. Nie był przyzwyczajony do noszenia komórki. Nigdy dotąd nie miał jej włączonej przez cały dzień, tak jak dziś. Zostawił ładowarkę w domu na plaży, razem z innymi rzeczami.

Zacisnął zęby, próbując się skupić najeździe w deszczu.

Dzwoniąc do Jordan, tylko ją zdenerwuję, pomyślał. Wiadomości, które mam jej do przekazania, mogą poczekać do mojego przyjazdu. Tylko jeśli rozładuje mi się telefon, Jordan nie będzie mogła się ze mną skontaktować, gdyby mnie potrzebowała.

Zresztą będąc w Waszyngtonie, nie mógł nic dla nich zrobić.

Ogarnęły go znajome wyrzuty sumienia i poczucie, że musi jak najszybciej wrócić do domu na plaży. Był już niedaleko biura. Stał na skrzyżowaniu na Massachusetts Avenue. Nastawił radio na stację informacyjną, której czasami słuchał. Gdy światło się zmieni, wystarczy minąć przecnicę i skręcić do podziemnego parkingu biura. Beau czekał, marszcząc brwi.

Prezenter radiowy oznajmił, że za chwilę zostaną nadane ostatnie wiadomości o huraganie Agatha.

Huragan, zabójca z mafii...

Beau zamknął oczy i oparł czoło o kierownicę. W jego umyśle

twarze Spencera i Jordan złąły się z twarzami Tylera i Jeanette. Muszę ich uratować. Tym razem nie mogę zawieść!

Gdzieś za nim rozległ się klakson. Podniósł głowę i zobaczył zielone światło. Niewiele myśląc, wcisnął pedał gazu i gwałtownie skręcił, oddalając się od biura i kierując na drogę dojazdową do autostrady numer 395.

Dlaczego Beau nie zadzwonił? Sfrustrowana Jordan przechadzała się od jednych oszklonych drzwi, prowadzących na taras z widokiem na morze, do drugich - wychodzących na taras, a dalej - na podjazd. Po obu stronach widziała tylko szarą mgiełkę deszczu. Czuła się jak w samolocie, lecącym przez chmury.

Tylko że samolot może się wzbić wyżej i lecieć w promieniach słońca po czystym, błękitnym niebie, pomyślała ponuro Jordan. Odnosiła wrażenie, że dziś nie zobaczy ani słońca, ani błękitnego nieba.

Ale widok samochodu Beau, wyłaniającego się z deszczu, ucieszyłby ją o wiele bardziej niż słońce. Telefon od niego byłby jak skrawek czystego nieba.

Zerknęła na Spencera, który leżał na plecach na podłodze salonu i przesuwał metalowy samochodzik po nodze stolika. Cicho warczał, imitując dźwięk silnika, a potem naśladował pisk opon. Jeszcze kilka minut temu nie bawił się tak wesoło. Jordan, zachecona tym, że na plaży nawiązała z nim kontakt, popełniła błąd. Ukucnęła przy nim.

- Czy ja też mogę się pobawić?

Skrzywił się tylko.

- Nie.

Postąpiła głupio, próbując jeszcze raz.

- Ale to bardzo wesołe, Spencer. Będę radiowozem. Umiem świetnie naśladować syrenę. Posłuchaj.

Jej gwizd zabrzmiał tak, jakby ktoś wypuścił powietrze z balonika.

Co miała robić z tym dzieckiem do końca dnia, do powrotu Beau? Cholera jasna, dlaczego Beau nie dzwonił? Czy wszystko było w porządku? Niedawno próbowała zadzwonić na jego komórkę, ale usłyszała tylko informację, że abonent jest czasowo niedostępny.

Sądziła, że był poza zasięgiem. Ale na pewno mógł się z nią skontaktować w czasie podróży.

Postanowiła spróbować raz jeszcze.

- Co robisz? - zapytał Spencer, gdy podniosła słuchawkę.

- Chcę się dodzwonić do Beau.

- Mogę z nim porozmawiać?

- Jasne...

Zmarszczyła brwi, z palcem znieruchomiałym nad klawiaturą telefonu. W słuchawce, którą trzymała przy uchu, była głucha cisza. Żadnego sygnału. Zaklęła cicho. Spencer usiadł prosto i wbił w nią wzrok.

- Co się stało? - zapytał.

Zmusiła się do fałszywego uśmiechu.

- Nic - powiedziała. - Nic a nic.

Wszystko było nie tak.

Rozdział 11

Zagramy jeszcze raz? - zapytała Jordan tonem pełnym nadziei.

- Nie. - Chłopiec rzucił karty na środek stołu i spojrzał w okno, krzywiąc się.

- Na pewno? Bo...

- Nie chcę już grać! - powiedział, patrząc na nią gniewnie. - Mam tego dość! Gramy cały dzień!

Miał rację.

Ale Jordan i tak bardzo się cieszyła, że znalazła w szufladzie talię kart. Gdyby nie to, byłoby jej jeszcze trudniej zabawić dziecko. Samochodziki, które kupił Beau, już dawno znudziły się Spencerowi.

Gwałtowny poryw wiatru uderzył w dom, aż wszystko się zatrzęsło. Spencer krzyknął cicho i spojrzał z niepokojem w okno. Szybko zapadał zmrok, choć było na to jeszcze za wcześnie.

- To tylko sztorm - powiedziała Jordan najspokojniej jak potrafiła.

- Wiem - odparł z irytacją.

- Masz ochotę na jeszcze jedną kanapkę? - zapytała. Już zrobiła mu dwie kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Pamiętając czary

Beau, przycięła kromki chleba, nadając jednej kształt koślawego konika morskiego, a drugiej - rekina z dużą płetwą.

- Nie.

- Na pewno? Jeśli chcesz, wytnę ci ośmiornicę. Albo wybierzesz inne...

- Nie! - powtórzył z gniewną miną.

Zebrała karty ze stołu i ułożyła je sobie na dłoni tak, że żadna nie wystawała. Nie grała od lat, ostatnio jako dziecko. Ale teraz nauczyła Spencera wszystkich gier, które pamiętała z dzieciństwa. Kiedy zapomniała zasad, zmyślała.

Podczas gry wciąż starała się stłumić cisnące się do jej głowy wspomnienia i wielki żal po stracie przyjaciółki. Teraz, dla dobra Spencera, powinna być jeszcze bardziej opanowana. Tylko że nie mogła nie myśleć o Phoebe, siedząc naprzeciwko dziecka, które było do niej tak bardzo podobne, szczególnie w czasie gry w karty. Był bardzo poważny, skupiony, zagryzał wargę, rozważając następny ruch. Jego matka robiła to samo.

- Pokazać ci, jak się buduje domek z kart? - zapytała Jordan, koniecznie chcąc go jakoś zająć.

- Nie.

- Mówię ci, zbudujemy świetny domek.

Spencer pokręcił głową.

Deszcz bębnił głośno o dach. Jordan pomyślała, że na dole jest ciszej i że powinni raczej zejść do sypialni lub do bawialni na parterze.

Spojrzała na Spencera i jeszcze raz spróbowała go zainteresować.

- Beau jest architektem. To znaczy, że projektuje domy. Na pewno bardzo mu zaimponujemy, jeśli zaprojektujemy domek z kart, który się nie rozsypie.

- Domki z kart to głupota. Zawsze się rozpadają- stwierdził dobitnie Spencer.

- Skąd wiesz?

- Budowałem je z mamą.

- Mówiłeś, że mama nie uczyła cię grać w karty. - Jordan była zaskoczona.

- Nie w takie gry. My gramy w makao i świnkę. A potem czasami budujemy domki.

- Och. - Jordan odetchnęła głęboko. Na dworze wciąż szalał wiatr. Światło zamigotało. - Może więc zbudujemy...

- Nie! - krzyknął chłopiec. Odsunął krzesło od stołu i wbił w nią gniewny wzrok. - Chcę do mamy! Dlaczego muszę tu z tobą siedzieć i nawet nie pozwalasz mi do niej zadzwonić?

- Spencer...

Spodziewała się, że znów jej przerwie. Nie zrobił tego. Patrzył tylko wyczekująco. Chciał, żeby odpowiedziała.

- Spencer...

- Co? Gdzie jest mama?

Jordan nabrała powietrza w płuca. Nie zdążyła się odezwać, bo na dworze znów silniej powiało. Nagle dom pogrążył się w ciemnościach.

To było straszne.

Beau jechał od kilku godzin, ale dotarł zaledwie do Richmond. Od wybrzeża dzieliło go wiele kilometrów, a deszcz i wiatr bardzo się wzmogły. Ruch samochodowy w drugą stronę - w kierunku lądu - był o wiele bardziej nasilony niż w tę, w którą jechał, ale i tak przemieszczał się bardzo powoli z powodu pogody. W dwóch miejscach na północnej nitce drogi doszło do wypadków, więc policja zarządziła objazdy drugą stroną. Było to dodatkowe utrudnienie.

W radiu podano, że siła huraganu wzrosła do drugiej kategorii. Prędkość wiatru przekroczyła sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Bardzo istotną sprawą była przewidywana trasa huraganu. Gdyby pozostał nad wodą, wzmógłby się jeszcze bardziej. Gdyby jednak przemieścił się nad ląd, straciłby nieco na sile. Ważny był też czas. Gdyby huragan uderzył w Outer Banks podczas przyływu, wszystkim wyspom groziło zalanie. Gubernator wydał nakaz ewakuacji tego obszaru.

Beau tracił cenne minuty.

Przy zjeździe na lotnisko w Richmond utworzył się gigantyczny

korek. Beau wpatrywał się w zieloną tablicę informacyjną z białymi literami, wreszcie dopuszczając do siebie myśl, która od dłuższego czasu kielkowała mu w głowie. Spojrzał na zegarek, a potem na lejący deszcz i sznur samochodów przed sobą, poruszających się w żółtym tempie. To był jedyny sposób. Gwałtownie skręcił kierownicę w prawo i ruszył w stronę zjazdu na lotnisko.

- Nie lubię świec - marudził Spencer, z rezerwą patrząc na małą świeczkę wotywną, którą Jordan postawiła na środku stolika.

- Dlaczego? Moim zdaniem sprawiają, że w pokoju jest przytulnie - powiedziała Jordan, ze wszystkich sił starając się nie okazywać strachu.

- Bo nie lubię ognia - wyjaśnił cieńszym głosem Spencer, wtulając się w poduszki na kanapie.

Jordan położyła na stole pudełko zapalek i niezapaloną świecę. Usiadła przy chłopcu. Chciała go objąć i przytulić, ale wyczuwała, że to go tylko zdenerwuje. Wciąż wstydził się swojej reakcji, gdy zgasło światło.

Zrobił to, co ona chciałaby zrobić: wybuchnął płaczem i jęczał, że chce do mamy, a potem - do Beau.

Ale Jordan nie mogła sobie na to pozwolić ani nawet wyznać dziecku, że też chciało jej się płakać. Musiała być silna i opanowana, żeby czuł się przy niej bezpiecznie.

Z minuty na minutę było coraz gorzej. Wiatr wciąż się wzmagał.

Szukając latarki, w szafce na dole znalazła małe radio na baterie. Zakłócenia były jednak tak duże, że nie dało się słuchać. Usłyszała słowa „huragan” i „ewakuacja”, ale nie zrozumiała, w jakim padły kontekście. Poza tym radio bardzo denerwowało Spencera, więc je wyłączyła.

Latarki nie było. W kuchennych szafkach leżało kilka pudełek zapalek, znalazła też z sześć pachnących świeczek wotywnych, pozostawionych w kilku miejscach domu. Zebrała je i ułożyła na kuchennym blacie.

- Gdzie Beau? - zapytał znów Spencer. - Nie podoba mi się ten sztorm. Chcę, żeby Beau już wrócił.

- To jeszcze trochę potrwa - odpowiedziała Jordan, zerkając na

zegarek. Nawet jeśli Beau wyjechał z Waszyngtonu tak jak zaplanował, to mógł dotrzeć na miejsce dopiero za dwie godziny. Oczywiście przy sprzyjającej pogodzie.

- Czy stanie się nam coś złego? - zapytał Spencer, uważnie wpatrując się w jej twarz.

Miała nadzieję, że migocące światło świecy ukryje jej zakłopotanie. Udała wzburzenie, że coś takiego mogło mu przyjść do głowy.

- Nie! Skądże znowu! Dlaczego tak mówisz?

- Bo... - Chłopiec się zawahał.

- Nie masz się czego obawiać, Spencer - skłamała. - Ten sztorm nic nam nie zrobi.

Malec chwilę się zastanawiał. Ale zaraz zaskoczył ją kolejnym pytaniem.

- Jeśli pogoda będzie dalej taka okropna, to „pirat” nie przyplynie tu swoim statkiem?

- Och, Spencer...

Szukała w głowie słów. Co mu powiedzieć? Że piraci nie istnieją? To by go nie uspokoiło. Przecież wiedziała, że groźny osobnik z przepaską na oku może być człowiekiem z krwi i kości.

- Opowiedz mi o tym „piracie”, Spencer. Kiedy pierwszy raz go widziałeś?

Chłopiec w milczeniu patrzył na poduszkę, leżącą na jego kolanach. Przez chwilę myślała, że nie odpowie na jej pytanie, ale zaczął mówić, cichym, drżącym głosem, nie podnosząc wzroku.

- Widziałem go, kiedy wysiadaliśmy z mamą z samochodu.

- Jak dawno to było?

- Nie wiem.

Oczywiście, że nie potrafił tego określić. Był za mały, żeby mieć poczucie czasu. Rano skarżył się, że już kilka miesięcy nie widział mamy. Prawdopodobnie tak to właśnie odczuwał. Jordan zresztą odnosiła podobne wrażenie.

- Co zrobił „pirat”?

- Podszedł i zaczął rozmawiać z mamą. Chyba na nas czekał. Nie miał statku, ale wiedziałem, że jest piratem.

- Bo tak wyglądał, prawda? Miał czarną przepaskę na oku, taką,

jaką noszą piraci. Tak właśnie było, Spencer?

Chłopiec potaknął.

- Mówił do mamy coś okropnego i się rozpląkała.

- Słyszałeś, co to było?

- Trochę. Kazał powiedzieć tacie coś o jego pracy. Żeby przestał coś robić - ciągnął Spencer drżącym głosem. - I jeszcze mówił, że jeżeli tata nie przestanie, to on skrzywdzi mnie i mamę.

Jordan zakręciło się w głowie. Próbowała sobie wyobrazić, jak się czuła Phoebe, gdy bandyta zagroził jej i dziecku.

- Co było dalej? - zapytała Spencera obojętnym tonem, jakby po prostu zamierzała poznać szczegóły jakiegoś spotkania. Nie chciała, żeby się zorientował, jak ważne są te informacje. Nie chciała też budzić w nim obawy, że „pirat” wciąż gdzieś na nich czyha.

- Potem powiedział mamie, żeby nikomu o nim nie mówiła, i poszedł sobie. - Spencer spojrział teraz na Jordan z poważną miną. - Weszliśmy do domu i mama kazała mi siedzieć w pokoju. Słyszałem, jak rozmawiała przez telefon z tatą. Kazała mu natychmiast wyjść z pracy i wrócić do domu.

- Zrobił to?

- Uhm. Tata ma bardzo dużo pracy. Czasami nawet nie przychodzi na noc do domu.

Jordan skinęła głową, całym sercem nienawidząc Reno Averilla. To właśnie z powodu jego pracy doszło do tragedii.

- Kiedy tata wrócił, bardzo pokłócił się z mamą - opowiadał dalej Spencer. - Tak krzyczeli, że się obudziłem. Mama płakała.

Och, Phoebe...

- Co mówili? - wykrztusiła Jordan.

- Nie słyszałem. Ale następnego dnia mama zawiozła mnie do ciebie. Kiedy ona wróci, Jordan? Czy „pirat” zrobił jej krzywdę?

Teraz powinna powiedzieć mu prawdę. Jordan chciała to zrobić już wcześniej, ale właśnie wtedy zgasło światło. Patrzyła na zmartwioną, przestraszoną buzię Spencera i wiedziała, że nic mu nie powie. Nie tutaj. Nie teraz. Nie w czasie sztormu, bez Beau.

- Jordan? - ponaglił Spencer. - Czy „pirat” skrzywdził moją mamę?

- Sam mówiłeś, że „pirat” nie może żeglować, kiedy jest sztorm.

- Tak, ale może w Filadelfii nie ma sztormu.

Jordan odchrząknęła.

- Teraz wszędzie jest niespokojnie, kochanie - powiedziała łamiącym się głosem.

Beau cały się trząsł, siadając za sterami małego, dwusilnikowego samolotu. Przeżywał prawdziwe piekło. Od wypadku nie pilotował, nawet nie zbliżył się do żadnego samolotu. Co on tu robi?

Rozbolał go żołądek. Od rana nic nie jadł, nie licząc nieświeżej babeczki, która na pewno dawno już rozpuściła się w kolejnych kubkach mocnej kawy.

Czy on naprawdę umie pilotować tę maszynę? Oczywiście, że tak. Potrafiłby latać każdym samolotem. Kiedyś bardzo dobrze się na tym znał. Wystarczyło włączyć silniki, zgłosić się przez radio do wieży kontrolnej i czekać na sygnał do startu.

Beau pokręcił głową, ze zdumieniem myśląc o tym, co działo się na lotnisku. Ludzie godzinę czekali przed wejściem do budynku, nie mówiąc już o zdobyciu miejsca w samolocie. Chociaż Beau od dawna otwierał drzwi portfelem i nazwiskiem Somerville, dalej dziwił się, jak wiele mogą zdziałać pieniądze i koneksje. Teraz wydał trochę pieniędzy - nie była to astronomiczna kwota - i zadzwonił do kilku osób. To wystarczyło.

Deszcz bębnił o szyby samolotu, wiatr wiał w skrzydła, a jednak pozwolono mu wystartować.

Beau włączył silniki. Słyszając ich ryk, zamknął oczy i próbował się uspokoić. Wszystko będzie dobrze. Poradzi sobie. Przecież potrafi latać, nawet obsługa lotniska nie bała się go wypuścić.

Ale nikt nie wiedział, dokąd się wybiera. Podał, że leci na północny zachód, daleko od huraganu. Nie przyznał się, że zamierza dotrzeć w samo centrum szalejącej burzy.

Kiedy wystartuje, skieruje się w stronę wybrzeża. Dotrze jak najbliżej Jordan i Spencera, najlepiej do lotniska hrabstwa Dare. Taki miał plan. Był też przygotowany na ewentualność, że będzie musiał wylądować wcześniej i dojechać na miejsce w inny sposób. W końcu nie pomógłby Jordan i Spencerowi, zabijając się.

Odetchnął głęboko. Jeszcze raz. Wyjrzał przez okno,

przypominając sobie, jaka pogoda była wtedy, dawno temu. Podobna do tej. Jestem głupcem, powiedział sobie w myślach. Ale ten lot był inny, wtedy żona i syn złożyli swoje życie w jego ręce, teraz narażał tylko siebie.

Nie, to nie była prawda. Jordan i Spencer bardzo na niego liczyli. Byli sami w domu na plaży, nie mieli jak uciec. Zbliżał się do nich huragan i Bóg wie co jeszcze. Płatny zabójca mafii? Beau odpędził tę myśl. Wszystko po kolei, najpierw musiał do nich wrócić. Albo zginąć, próbując to zrobić.

Drżącą ręką wcisnął przycisk radia. Wywołał więź i wypowiedział słowa, których nigdy nie spodziewał się już wymówić.

- Gotów do startu.

Jakiś łomot przebudził Jordan ze snu.

Zorientowała się, że siedzi na kanapie i ma na kolanach poduszkę, na której oparł głowę Spencer. Kark jej zeszytniał, bo zasnęła na siedząco. Krzywiąc się z bólu, nasłuchiwała.

To na pewno wiatr, pomyślała. Wciąż był bardzo silny, a deszcz smagał szyby.

Pokręciła głową, masując kark. Powinna zanieść Spencera do sypialni, żeby wygodnie wyspał się w łóżku. Ona nie zamierzała się kłaść. Bardzo bała się o Beau, który podróżował w deszczu. Czy nie powinien już tu być? A jeśli stało mu się coś złego? Może miał wypadek? Albo dopadł go „pirat”...

Nie! Nie wolno tak myśleć! - zganiła się. Oczywiście, że Beau nic się nie stało. Otaczała go aura niezniszczalności.

A może po prostu to sobie wyobraziła, bo nie zniosłaby myśli, że jest inaczej.

Jej egzystencja stała się o wiele ciekawsza i mniej samotna, gdy pojawił się Beau. W ciągu ostatnich dni spotkało ich więcej dramatycznych chwil niż niektórych ludzi w całym życiu.

Jordan zastanawiała się, co by było, gdyby tylko spotkali się na randce zaaranżowanej przez Andreę MacDuff. Czy zjedliby kolację, a potem rozeszli się każde w swoją stronę? Prawdopodobnie. Żadne z nich nie chciało ryzykować nowego uczucia. Teraz zdawała sobie sprawę, skąd wziął się jego emocjonalny dystans. On jeszcze nie

wiedział o jej przeszłości, o Kevinie.

Ale czym było upokorzenie przy ołtarzu wobec tragedii, która spotkała Beau? Zresztą ślub, do którego nie doszło, również wydawał się drobiazgiem w porównaniu z tym, co przeszli przez ostatnie dni.

Jak to możliwe, że tak długo cierpiała z tego powodu? Gdyby Kevin przyszedł do niej jutro, wolny, żeby błagać ją o wybaczenie, nie wróciłaby do niego. Należał do innego życia, do innej kobiety-tej, którą kiedyś była. Tak, bardzo ją skrzywdził. Ale przecież nie zniszczył jej życia tak, jak sobie kiedyś wyobrażała.

Natomiast to, co przeszedł Beau, mogło go całkowicie załamać. Jednak przetrwał, dał radę. Jordan też przebrnęła przez swoje niepowodzenia, a Spencer pokona te, które go czekają.

Jordan pogładziła jedwabiste włoski chłopca śpiącego na jej kolanach. Będę za nim tęsknić, gdy go zabiorą, pomyślała z czułością. Może ludzie, u których zamieszka, pozwolą mi go czasami odwiedzać. Mogłaby mu opowiadać o Phoebe. Mówić to, o czym nie wiedział nikt poza nią. Dopilnować, żeby naprawdę poznał swoją matkę - tak, jak znała ją najlepsza przyjaciółka.

Po policzkach Jordan pocięły łzy. Przypomniała sobie, jak Phoebe ją tuliła i pocieszała w dniu niedoszętego ślubu. Jordan nie mogła wstać z łóżka przez co najmniej dobę od tego przykrego wydarzenia, a przyjaciółka cały czas przy niej siedziała. Jordan pozwalała jej na to, na co nigdy nie pozwoliłaby matce - aby ją obejmowała i zapewniała, że wszystko będzie dobrze.

Oczywiście nie wierzyła w te słowa, a jednak wszystko się ułożyło. Tylko ona do tej pory nie zdawała sobie z tego sprawy. Przecież pozbierała się i stworzyła sobie nowe, lepsze życie. Gdyby tak bardzo nie bała się odrzucenia, mogłaby nawet nie być samotna.

To się zmieni. Po powrocie do Georgetown zacznie żyć od nowa. Zacznie poświęcać więcej czasu na własne przyjemności. Będzie piec ciasta i pielęgnować ogródek, a może nawet podróżować.

A randki? - zadała sobie pytanie. Co będzie z Beau? Leżąc w jego ramionach, czuła, że budzą się w niej potrzeby, które dawno temu pogrzebała w zakamarkach pamięci. Próbowała zapomnieć, że kiedykolwiek ich doświadczała. Myśląc o spędzonych z nim

chwilach, Jordan Poczula ogromną tęsknotę.

Czy pragnęła jego powrotu tylko dlatego, że martwiła się i bała siedzieć sama ze Spencerem w pustym domu? Czy może tęskniła za jego bliskością, za intymnością poprzedniej nocy? Jedno i drugie, przyznała sama przed sobą.

Wtedy usłyszała to znowu.

Łomot. Dźwięk dochodził spoza domu. Może to tylko wiatr albo gałąź uderzająca o dom, pomyślała Jordan, choć serce biło jej coraz szybciej. Nie przypominała sobie, żeby przy domu rosło jakieś drzewo.

W takim razie to muszą być meble na tarasie. Albo wiatr wyrwał jakieś deski z pomostu - czy nawet z naszego tarasu - i uderzał nimi o dom...

Jordan za wszelką cenę starała się opanować przerażenie. Nagle usłyszała kolejny dźwięk.

Brzęk tłuczonego szkła.

Spencer poruszył się na jej kolanach, gdy gwałtownie odwróciła głowę w stronę, z której dobiegł odgłos - w kierunku najbliższych oszklonych drzwi, prowadzących na taras.

Zobaczyła dłoń w czarnej rękawiczce, sięgającą przez szczątki szyby do klamki w środku.

Beau mocno trzymał drążek sterowniczy, bo samolot gwałtownie podskakiwał. Przypomnił sobie, że łowcy burz cały czas latają przy takiej pogodzie. Ale oni byli specjalistami. I może chcieli umrzeć, on nie. Już nie.

Jeśli to przeżyje, już nigdy nie pomyśli o samobójstwie. Ani przez chwilę. Nigdy tak bardzo nie pragnął żyć, jak właśnie teraz. Ale też nigdy nie groziło mu tak wielkie niebezpieczeństwo.

Zbliżał się do wybrzeża Karoliny, ale nie zamierzał go mijać i lecieć na lotnisko w Outer Banks. Nie leciał na żadne lotnisko. Stracił łączność z wieżą, która próbowała go nakierować w Elizabeth City.

Musiał wylądować. Modlił się, żeby mu się to udało.

Miał nadzieję, że dostrzeże poniżej długi, pusty kawałek autostrady. Jakie były szanse, że go znajdzie? Nocą, w czasie burzy?

Zszedł jeszcze półtora kilometra niżej. Leciał, polegając na przyrządach. Nic nie widział. Za oknem było czarno. Narastał w nim strach, który za wszelką cenę starał się stłumić. Panika w takiej chwili oznaczała śmierć. Jeśli zdoła się opanować, być może przeżyje katastrofę przy lądowaniu.

Zaklął, starając się wyrównać lot pomimo silnego wiatru. Schodząc niżej, powinien zobaczyć jakieś światła.

Znów omal nie stracił kontroli nad samolotem.

W głowie zakręciło mu się od wspomnień. Niemal czuł, jak samolot spada korkociągiem w dół, czuł w ustach metaliczny smak strachu, słyszał krzyki Jeanette, przerażony jęk Tylera...

Nie! Tak było wtedy, nie teraz. Teraz był sam. Gdyby stracił kontrolę nad samolotem i spadł, zginąłby tylko on.

Nie zamierzał się poddać bez walki.

Ponownie obniżył pułap, leciał już niebezpiecznie nisko. Wylądowałby, gdyby tylko dostrzegł odpowiednie miejsce. W deszczu i mgłę od czasu do czasu widział światła... Pary białych i czerwonych świateł. Przednie i tylne reflektory, pomyślał. Tędy biegnie droga. Ale nie pusta.

Zaklął, nie mógł wylądować na autostradzie pełnej samochodów.

Nie „pełnej”, powiedział sobie w myślach. Świateł jest niewiele. To nie ruchliwa ulica. Może gdyby...

Nie, nie mógłby zagrozić niewinnym ludziom... Mężczyznom, kobietom i dzieciom...

Zszedł jeszcze niżej. Samolot się trząsł, a Beau gorączkowo szukał miejsca do lądowania. Widział pod sobą sporą plamę czerni, bez świateł. Mogło to być duże, puste pole albo woda. Z tej wysokości nie mógł stwierdzić na pewno.

Woda...

Przypomniawszy sobie mdły zapach paliwa wymieszany z odorem, unoszącym się znad zatoki. I przerażenie, gdy się wynurzył, mając nad sobą czarne niebo, a wokół - równie czarną wodę. Pamiętał złowieszczą, lekką falę, którą musiał wywołać przepływający w pobliżu aligator albo wąż oraz świadomość, że spotkanie z takim drapieżnikiem będzie niczym w porównaniu z paraliżującą, bolesną pewnością, że wszystko, co liczyło się w jego życiu, przepadnie na

zawsze. Że osoby, które kochał, nie wydobędą się z powykręcanego wraku samolotu w mulistej wodzie.

Samolot gwałtownie podskoczył. Beau z całej siły przytrzymał drążek.

To było wtedy, teraz jest inaczej, chodzi tylko o mnie. Jestem sam w samolocie i na włosku wisi jedynie moje życie, pomyślał. Wiedział, że musi natychmiast wylądować.

Nie, nie chodzi tylko o mnie. Jeśli zginę, Jordan i Spencer zostaną sami. Jeśli przeżyję, dotrę do nich. Uratuję ich!

Kolejny raz przeznaczenie sprawiło, że w jego rękach spoczywało życie kobiety i dziecka.

Spojrzał na rozciągającą się poniżej czerń. Jeśli to było duże, płaskie pole, mógł przeżyć, ale jeśli to była woda... Cholera! Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Za chwilę miał poznać odpowiedź.

Jakaś ciemna postać wtargnęła do pokoju wraz z wirującym podmuchem wiatru i deszczem. Przerażona Jordan wydała z siebie zduszony krzyk. Spencer podniósł się powoli, przecierając oczy. Przycisnęła go mocno do siebie, z obawą patrząc na intruza. Dziecko szarpało się, próbując się wyrwać.

Mężczyzna był ubrany na czarno i miał przepaskę na oku. Drugie, przerażająco ciemne, patrzyło groźnie na Jordan i Spencera. Szedł szybko w ich kierunku.

W głowie Jordan kłębiły się myśli. Musiała coś zrobić. Nie mogła tak po prostu siedzieć i czekać, aż obcy ich zaatakuje. Ale nie miała dokąd uciec. Gdyby wzięła na ręce szamocące się dziecko i próbowała wybiec, nie dotarłaby daleko.

- Jordan... Co ty robisz? - Spencer jeszcze raz się szarpnął, a potem odwrócił głowę, żeby spojrzeć jej w twarz. Zerknął w tę samą stronę co ona i krzyknął.

- Zamknij się! - nakazał intruz.

- „Pirat”! Jordan! - Spencer ukrył twarz w ramieniu Jordan i wybuchnął płaczem.

- A zresztą możesz sobie krzyczeć - powiedział mężczyzna. Stał nad nimi, groźnie patrząc jedynym okiem. - Nikt cię nie usłyszy.

- Kim jesteś? - zapytała Jordan cichym, drżącym głosem, za wszelką cenę starając się ukryć strach.

- Nie słyszałaś dzieciaka? „Piratem”. - Zaśmiał się tak przeraźliwie, że Jordan przeszył dreszcz.

- Czego chcesz? Po co tu przyszedłeś?

- Wypełniam rozkazy, droga pani - odparł kpiąco. - Człowiek, dla którego pracuję, nie chce, żeby mały rozpowiadał, co wie. Wolałby mieć szczeniaka z głowy.

Zołądek Jordan boleśnie się ścisnął. Zauważyła, że mężczyzna - wciąż mówiąc - sięga do kieszeni.

- Próbowałem cię w to nie mieszać, paniusiu. Mój szef nie lubi komplikować spraw bardziej niż to konieczne. Chciałem załatwić sprawę u ciebie, tak jak kazał. Ale szczeniak się obudził, a ty zaraz przybiegłaś.

- Naprawdę byłeś w moim domu - powiedziała Jordan. Oprócz strachu czuła teraz nowe, narastające emocje.

Była wściekła. Ten człowiek myszkował w jej domu w środku nocy. Zabrał bezbronного chłopca z łóżka. Przyjechał tutaj, żeby doprowadzić do końca swój podły plan!

Musiała zyskać na czasie, sprawić, żeby wciąż mówił. Być może Beau zdąży przyjechać...

Chociaż mężczyzna trzymał dłoń pod połą kurtki, dostrzegła znajomy kształt - ciemny metalowy przedmiot, który wyjął z kieszeni. Wiedziała, że to pistolet. I że morderca zastrzeli ją i Spencera. Nawet gdyby Beau wpadł tu w tej chwili, nie zdołałby ich uratować. On też zginąłby od kul.

Spencer szlochał z twarzą przytuloną do jej piersi, mocząc bluzkę łzami. Cały trząsł się ze strachu. Pogładziła chłopca po głowie. Chciała coś powiedzieć, żeby go uspokoić, ale bała się reakcji bandyty.

Jordan wiedziała, że musi coś zrobić. I to szybko.

- Jak nas tu znalazłeś? - zapytała, chociaż nie miało to żadnego znaczenia.

Znów się zaśmiał, jakby bardzo go ubawiła.

- Nie mówisz poważnie.

Czekała w milczeniu.

Zostawił otwarte drzwi. Do środka wpadał deszcz, a porywy wiatru uderzały skrzydłami drzwi o ściany. Nie zwracał na to uwagi.

- To nie było trudne - powiedział, wzruszając ramionami. - Byłaś nieuważna, a ja cię obserwowałem.

- Nie śledziłeś nas, kiedy tu jechaliśmy. - Starła się nie patrzeć na pistolet w jego dłoni. Starła się patrzeć mu w twarz i zmusić go tym do dalszego mówienia.

- Nie - potwierdził. - Nie musiałem.

- Zatem jak...

- Pan Beau Somerville.

Słyszając nazwisko Beau, Jordan poczuła, że odnawia się w niej nadzieja. Przyrzekł, że wróci. Znała go niecały tydzień i niewiele o nim wiedziała, ale była pewna jednego: ten człowiek dotrzymywał słowa. Na pewno wróci. Musiała tylko do tego czasu utrzymać przy życiu siebie i Spencera.

- Beau Somerville powiedział ci, gdzie jesteśmy? - zapytała Jordan, jakby to było możliwe.

- Naprawdę myślisz, że mógł to zrobić?

Zmusiła się, żeby wzruszyć ramionami, wciąż mocno trzymając przerażonego chłopca.

- Nie mam pojęcia. Tak było?

Odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Wiesz, jak łatwo jest sprawdzić numer rejestracyjny, Jordan Curry?

Czyli tak się to stało. Zobaczył samochód Beau zaparkowany przed jej domem i bez trudu uzyskał jego dane.

- Samochód wzięła w leasing firma architektoniczna z Waszyngtonu. Twój przyjaciel powinien bardziej uważać na to, z kim rozmawia o swoich planach. Wystarczył jeden telefon do jego wspólnika, żebym się dowiedział, dokąd pojechał pan Somerville.

Jordan szukała w myślach czegoś, co mogłaby powiedzieć. Czegokolwiek. Musiała dalej prowadzić rozmowę, bo w przeciwnym razie czeka ich śmierć.

- Wspólnik powiedział tak po prostu, dokąd wyjechał Beau? - zapytała z niedowierzaniem.

Mężczyzna potaknął, wyraźnie zadowolony z siebie.

- Myślał, że jestem potencjalnym klientem. Powiedziałem, że chcę rozmawiać osobiście z panem Somerville... I przyjechałem. Ale niestety do was, jego tu nie ma?

- Nie. Nie ma.

- Nie widziałem samochodu. - Z jego miny wyczytała, że nie do końca jej uwierzył. Jakby się spodziewał, że Beau nagle wyskoczy z jakiejś kryjówki i powali go na ziemię.

O, Boże, gdyby to mogło się zdarzyć!

- Nie ma go tu - powtórzyła piskliwym głosem, starając się nie rozplakać.

Dostrzegła lekki ruch jego ręki trzymającej pistolet. Ogarnęła ją panika. Ile czasu jeszcze im zostało? Czy ten zbiorczy zastrzeli ich tu i teraz? Czy Beau po powrocie znajdzie ich zakrwawione ciała?

Wiedziała, jak ogromny byłby to dla niego cios. Stracił już żonę i dziecko. Ona i Spencer nie byli jego rodziną- ani nawet bliskimi znajomymi - ale Beau czuł się za nich odpowiedzialny. I tak miał już poczucie winy z powodu wypadku, w którym zginęli jego najbliżsi. Gdyby tu wrócił i znalazł ciało niewinnego dziecka, byłby załamany. Bardzo się przywiązał do Spencera.

A do mnie? Czy do mnie też się przywiązał? Odpędziła tę myśl. To nie był odpowiedni moment na rozważanie, ile mogła znaczyć dla Beau.

Wiatr znów powiał silniej i skrzydło drzwi uderzyło w ścianę, przerywając pełną napięcia ciszę.

- Jak wszedłeś na taras? - zapytała mężczyznę.

- Wspiąłem się po linie. Nie wiedziałaś, że nie macie szans, prawda?

Wiedziała, pomyślała z wściekłością. Wiedziała, ale nie mogłam nic na to poradzić. Byliśmy tu uwięzieni.

- A co ze sztormem? - pytała dalej, walcząc z narastającą paniką.

- Jak to?

- Jak wrócisz na ląd? Ty też jesteś tu uwięziony. Jak my.

- To moja sprawa! - W jego głosie słychać było zniecierpliwienie. Lśniące, czarne oko wydawało się patrzeć w samą jej duszę i widzieć cały spiętrzony tam strach.

Odwrociła wzrok. Spojrzała na stolik, na migoczącą, gasnącą

świecę, stos książek o morzu... i kamienną mewę. Beau kiedyś zażartował, że rzeźba waży tonę.

Jordan nieznacznie przesunęła się na kanapie. Powoli wysunęła prawą rękę spod Spencera. Na wypadek, gdyby zaistniała choćby najmniejsza szansa na działanie.

- Wstawać! - rozkazał nagle „pirat”. - Oboje. Pod ścianę! - Wskazał kierunek dłonią z pistoletem.

To była ta chwila. Teraz albo nigdy.

Jordan szacowała odległość dzielącą ją od mężczyzny. Ile czasu zajęłoby jej pokonanie?

- Szybko!- warknął.

Spencer szlochał, gdy go stawiała.

- Co on zrobi?

Nie odpowiedziała.

Nagle głośno krzyknęła, jakby zobaczyła za „piratem” coś strasznego. Instynktownie obrócił się, żeby sprawdzić, co tam jest.

Jordan chwyciła rzeźbę, wiedząc, że mógł to być ogromny błąd. Beau powiedział, że mewa jest bardzo ciężka. Nie miała pojęcia, czy zdołają nawet poruszyć.

Ale w desperacji podniosła ją ze stolika.

- Uciekaj, Spencer! Uciekaj! Na dół, na dwór! Biegnij! - krzyczała, biorąc zamach ciężkim kamieniem.

Wszystko stało się jednocześnie.

Chłopiec posłusznie pobiegł w stronę schodów. „Pirat” strzelił w jego kierunku. Kula trafiła w balustradę i odbiła się od niej. Spencer zniknął na schodach, gdy Jordan trafiła mężczyznę w głowę.

To nie woda! To pole obsadzone niskimi roślinami.

Łądowanie było trudne, ale nie zakończyło się katastrofą. Samolot się nie rozbił. Beau panował nad maszyną przez cały czas. Nawet wtedy, gdy samolot podskakiwał, jadąc po polu, było zupełnie inaczej, niż się spodziewał. Jakby prowadziła go jakaś niewidzialna, dobra dłoń.

Żył! Nie stracił nawet przytomności.

Radość szybko ustąpiła miejsca bólowi i strachowi. Krzywiąc się, wyszedł z kabiny. Nagle rozbolało go całe ciało. Był

wyczerpany, ale nie mógł się poddać temu uczuciu. Nie mógł go nawet dopuścić do świadomości. Musiał dotrzeć do Jordan i Spencera. Nie było czasu do stracenia.

Ruszył przez pole w stronę odległego domu, nie zwracając uwagi na wciąż padający deszcz. Pochylił głowę, by ułatwić sobie marsz pod wiatr. Brnął przez błoto. Po chwili był przemoczony od stóp do głów. Gdy pomknął się i upadł, zorientował się, że wciąż jest ubrany w garnitur i lakierki. Gdyby nie był przerażony, rozbawiłoby go to, jak bardzo jego strój pasował do tego miejsca. Ale teraz za bardzo się martwił.

Próbował stłumić to uczucie. Wmówić sobie, że Spencerowi i Jordan nic się nie stało. Że na pewno zadzwoniła na policję i poprosiła o pomoc w opuszczeniu domu.

A jeśli nie wiedziała, że trwa obowiązkowa ewakuacja? Albo nie zdawała sobie sprawy, że ten obszar Outer Banks znajdował się tylko trzy metry nad poziomem morza i groziło mu całkowite zalanie, gdyby huragan przemieścił się nad ląd w czasie przyływu?

Musiał do niej dotrzeć.

Pocieszała go tylko świadomość, że skoro jemu było tak trudno tam dojechać, płatny zabójca wynajęty przez Gisonniego też miałby z tym kłopoty.

W końcu doszedł do domu z desek, za którym rozciągał się niewielki sad owocowy. Przy rozpadającej się szopie stał stary pikap. W oknach domu nie paliło się światło, ale dostrzegł błądy blask latarki. Na pewno z powodu sztormu nie było prądu.

Kilkakrotnie zapukał do drzwi. Wyjący wiatr chyba całkowicie zagłuszył ten dźwięk. Wreszcie Beau pchnął drzwi - otworzyły się, bo nie były zamknięte na zamek - i wsunął głowę do środka.

- Halo? Jest tu kto?

Wszedł do małej kuchni, ze startym linoleum na podłodze, laminowanymi blatami i przestarzałym sprzętem gospodarstwa domowego.

- Nie ruszać się! - powiedział jakiś głos.

Po drugiej stronie ciemnego pomieszczenia stał starszy mężczyzna w białej koszulce bez rękawów i mierzył do niego ze strzelby. Stojąca obok staruszka w fartuszkach w kwiaty i papilotach

skierowała światło latarki prosto na Beau, oślepiając go.

Podniósł ręce, żeby się osłonić - nie wiedział, czy przed światłem, czy przed strzałem, który mógł paść w każdej chwili.

- Chwileczkę! - zawołał. - Potrzebuję pomocy.

- Jesteś złodziejem? - zapytał starszek, przyglądając mu się podejrzliwie. - Przestrzegali przed nimi w telewizji.

- Złodziejem? - Zdziwiony Beau zastanawiał się, o co mogło chodzić. - Ludzie korzystają z okazji i kradną? Ja nie jestem złodziejem.

Przysięgam.

- Więc kim? Dlaczego się tu kręcisz przy takiej pogodzie?

- Wylądowałem awaryjnie małym samolotem na waszym polu fasoli.

- Nie mamy fasoli. Uprawiamy tytoń.

Beau zacisnął zęby.

- Czyli na polu tytoniu. Właśnie tam wylądowałem. Zapłacę za wszystkie szkody. Ale pozwólcie mi zadzwonić po pomoc.

Bał się, że nie mają telefonu albo że zaraz wyrzucą go za drzwi.

- Telefon wisi tam, na ścianie - powiedział starszek, opuszczając strzelbę i patrząc na Beau.

- Jake! - krzyknęła przerażona starszka.

- Cicho, Emmie. On nie kłamie. Te światła, które widzieliśmy, i ten dźwięk, to na pewno było lądowanie. Mówiłem ci, że to nie UFO.

Beau znów pomyślał, że w innych okolicznościach by się roześmiał. Ale teraz podszedł do telefonu.

- Czy coś ci się stało? - zapytała żona Jake'a.

- Nie, wszystko w porządku. - Podniósł słuchawkę, modląc się o sygnał.

Usłyszał go.

- Dziękuję - dodał pośpiesznie, wdzięczny za telefon i troskę kobiety.

- Do kogo dzwonisz? - zapytał starszek.

Beau zamarł. Nie miał pojęcia, do kogo zatelefonować.

- Na policję - postanowił i wybrał numer.

Jordan patrzyła z przerażeniem i ulgą na ciało leżące u jej stóp. Z rany na czole mężczyzny płynął strumyczek krwi, niknąc w czarnej przepasce na oku. Po uderzeniu rzeźba wypadła jej z rąk i rozpadła się na kawałeczki, które teraz pokrywały wykładaną płytkami podłogę.

Przez chwilę mogła tylko patrzeć.

Słyszając łomotanie drzwi wejściowych o ścianę, zdała sobie sprawę, co się stało.

- Spencer! - zawołała, ruszając w stronę schodów. - Spencer! Wracaj!

Ruszyła w dół, wiedząc, że musi go zatrzymać. Nie mogła pozwolić, żeby wybiegł sam w burzę. Kazała mu uciekać, bo wydawało jej się, że to jedyna szansa na jego ocalenie, ale teraz obawiała się o jego życie.

Stawiając stopę na drugim stopniu, potknęła się o odłamek rzeźby. Zachwiała się, próbując złapać balustradę. Bezradnie machała rękami, ale było już za późno. Spadała.

Wylądowała na podeście kilka stopni niżej. Poczowała silny, ostry ból skręconej kostki. Walcząc ze łzami frustracji i niepokoju, podniosła się na nogi, kurczowo trzymając się balustrady.

- Spencer! - zawołała jeszcze raz.

Musiała zejść na dół. Jednak nie mogła stanąć na prawej nodze. Kuśtykała powoli, trzymając się poręczy, raz po raz wołając chłopca. Upłynęło bardzo dużo czasu, zanim zeszła na piętro i dowlokła się przez korytarz następnych schodów.

- Spencer! - krzyczała, wiedząc, że nie ma to sensu. Nie mógł jej słyszeć z zewnątrz.

Po policzkach płynęły jej gorące łzy. Wielki Boże, co ja zrobiłam?

Zszedłszy wreszcie na parter, dokuśtykała do drzwi i otworzyła je. Gwałtowny poryw wiatru omal nie wyrwał ich z zawiasów. Wciąż padał ulewny deszcz.

- Spencer! - krzyknęła w noc. - Spencer! Wracaj! Jest już bezpiecznie! Wszystko w porządku! Spencer!

Jedyną odpowiedzią było wycie wiatru.

Rozdział 12

Ubrany w jaskrawopomarańczowy kapok Beau mocniej przytrzymał się fotela, gdy motorówka straży przybrzeżnej zakołysała się gwałtownie nad czarną, skłębioną wodą cieśniny Currituck. Przesmyk między lądem a Outer Banks miał w tym miejscu zaledwie kilka kilometrów szerokości i był bardzo płytki. Mimo to Beau odnosił wrażenie, że płynie po wzburzonym, otwartym morzu.

Łądowanie małym samolotem na polu tytoniu to fraszka w porównaniu z tym, co się teraz dzieje, pomyślał Beau. Ogromna, spieniona fala przełamała się kilkadziesiąt centymetrów od niego, bryzgając lodowatą wodą.

Od kilku godzin był przemoczony, ale nie zwracał uwagi na chłód i niewygodę. Liczyło się tylko to, żeby jak najszybciej dotrzeć do Jordan.

Telefony nie działały. Wielokrotnie, bezskutecznie próbował się z nią skontaktować.

Od miejscowej policji dowiedział się, że północna część Outer Banks była w większości zalana, bez prądu i telefonów. Ci, którzy nie uciekli stamtąd przed wydaniem nakazu ewakuacji przez gubernatora, teraz opuszczali wyspy łodziami i śmigłowcami straży przybrzeżnej, bo Wright Memorial Bridge, jedyny most nad cieśniną Currituck, od dawna był nieprzejezdny.

Beau długo starał się, żeby pozwolono mu popłynąć na poszukiwanie Jordan i Spencera. Powiedział, że jego rodzinie grozi niebezpieczeństwo. Gdy wymawiał słowa „żona i syn”, wzruszył się tak bardzo, że do oczu napłynęły mu łzy. Widząc je, kapitan łodzi ustąpił.

- Dobrze. Może pan wejść na pokład - powiedział. - Ja też mam żonę i syna. Gdyby oni tam byli, chciałbym do nich dotrzeć pierwszy. Poza tym pan doskonale wie, gdzie ich szukać.

Beau patrzył teraz, jak doświadczony żeglarz stara się panować nad małą łodzią na wzburzonym morzu, podobnie jak on niedawno walczył z samolotem. Wiedział, że będzie musiał bardzo dużo

zapłacić, zarówno lotnisku, skąd wynajął samolot, jak i farmerowi, któremu zniszczył pole. Staruszek byłby chyba bardziej zadowolony, gdyby Beau okazał się złodziejem, a on bohaterko oddałby go w ręce szeryfa - ale stało się tak pewnie dlatego, że nie rozpoznał nazwiska Somerville i nie skojarzył z nim fortuny. Beau przypuszczał, że jeśli o lądowaniu napiszą lokalne gazety i farmer dowie się, kto mu zniszczył pole, natychmiast dostanie pozew.

Policja przyjechała po niego później, niż się spodziewał. Funkcjonariusze mieli dziś tyle roboty, że nie mogli sobie poradzić. Drogi wyjazdowe z wybrzeża były zablokowane samochodami, na całym obszarze wiatr zrywał linie wysokiego napięcia, było wiele wypadków, a w miastach rabowano sklepy.

Policjanci chcieli zawieźć Beau do szpitala na badania, ale on się temu sprzeciwił, mówiąc, że nic mu się nie stało i że martwi się o rodzinę. Szybko zawieźli go nad wodę, gdzie trwała operacja straży przybrzeżnej.

Teraz płynął motorówką.

Trudno było uwierzyć, że to, co się działo, było zaledwie krawędzią huraganu. Beau widział wiele narastających huraganów na zatoce w Luizjanie, ale zawsze z okien ciepłego, suchego domu lub hotelu, w rzadkich zaś przypadkach, gdy ewakuowano ich z wybrzeża. Nigdy dotąd nie stał twarzą w twarz z rozszałym żywiołem.

Spojrzał przed siebie, mrugając, by chronić oczy przez wodą i wiatrem. Zobaczył, że motorówka dociera do lądu - a raczej tego, co z niego zostało. Nawet z tej odległości widział budynki, wystające ze wzburzonej wody - jakby po niej pływały.

Powiedział sobie, że nawet jeśli w wynajętym domu woda zalała parter albo i piętro, to Jordan i Spencer będą bezpieczni. Jako specjalista zauważył, że dom został zbudowany bardzo solidnie. Na pewno wytrzymał już wiele silnych burz.

Ale nie wiedział tego na pewno. Pod wpływem strachu i wątpliwości pomyślał, że dom był nowy i słaby jak kartonowe pudło.

Motorówka dotarła do zatoki i ruszyła na północ, wzdłuż częściowo Olanego wybrzeża. Beau zobaczył, że kapitan uważnie przygląda się budynkom.

Zanim wypłynęli, wszystko pokazał mu na mapie. Dom stał nad oceanem, ale w tym miejscu półwysep miał zaledwie pół kilometra szerokości. Zamierzali zacumować po stronie cieśniny i stamtąd iść pieszo.

- Dalej nie dopłyniemy! - krzyknął do Beau jeden z ludzi, wyłączając silnik. - Dom powinien być gdzieś tutaj. Proszę zaczekać z kapitanem, a my przyprowadzimy pana rodzinę.

- Ja też idę! - odkrzyknął Beau, wstając. Omal nie wpadł do wody, bo łódź gwałtownie się zakołysała, ale udało mu się utrzymać równowagę.

Mężczyźni popatrzyli na siebie, a potem, z powątpiewaniem, na szalejące morze.

- Idę - powtórzył Beau, poprawiając zapięcia kapoka i podchodząc do relingu.

Trzymaj się, Jordan. Bądź dzielny, Spencer. Idę do was.

Siedząc na schodach nad zalanym parterem, Jordan modliła się tak żarliwie, jak nigdy w życiu. Za Spencera, który był gdzieś na dworze i za Beau, gdziekolwiek był. Modliła się, żeby potwór na górze nagle nie odzyskał przytomności i nie przyszedł po nią, niczym Glenn Close wstająca z wanny pod koniec *Fatalnego zauroczenia*. Przynajmniej nie mógł jej zastrzelić. Z trudem weszła z powrotem po schodach i zabrała jego pistolet.

Nie wiedziała, czy potrafiłaby się nim posłużyć, ale widziała dość filmów, żeby teoretycznie nauczyć się, jak działa. Spróbowała nawet odbezpieczyć pistolet, ale bała się wystrzelić.

Użyłaby go tylko wtedy, gdyby musiała. W samoobronie.

- Och, Spencer, wróć - błagała po cichu. Zachrynęła od wołania.

Gdyby nie skrecona kostka, wybiegłaby na dwór - pomimo wciąż podwyższającego się poziomu wody - i szukałaby dziecka do skutku. Kilkakrotnie próbowała wyjść, kuśtykając, ale nie uszła daleko. Stopa była opuchnięta i bolała tak bardzo, że Jordan nie miała wątpliwości, że ją złamała. Próbowała nawet pełzać po wodzie na dłoniach i kolanach, ale tylko przemokła i pobrudziła się błotem. Wróciła do domu i czekała zrozpaczona.

Plakała tak bardzo, że opuchły jej oczy, a policzki szczypały od

wycierania mokrym rękawem koszulki. Nigdy w życiu nie czuła się tak nieszczęśliwa i samotna. Co dalej?

Czy muszę umrzeć w taki sposób? Wody będzie wciąż przybyszać, a ona będzie wchodzić po schodach coraz wyżej, aż w końcu porwą ją fale i utonie? Na myśl o tym zadygotała.

Pomyślała o żonie i synu Beau. Oboje utonęli. Musiał z tym żyć. Wiedział, jakie były ich ostatnie chwile, gdy samolot wpadł do zatoki, a oni walczyli o powietrze, którego tam nie było.

Nie. Nie będę o tym myśleć. Nie mogę. To nic nie da, powtarzała sobie, ocierając nowe strumienie łez.

Nagle wydało jej się, że coś usłyszała.

Głosy. Słyszała głosy! O, Boże. To już chyba halucynacje. Aż tak ze mną źle?

- Jordan!

Pomimo ryku wiatru usłyszała swoje imię. Głos był boleśnie znajomy.

Słyszysz to, bo bardzo chcesz, powiedziała sobie. Jego tu nie ma. Nie ma...

- Jordan? Spencer?

Drzwi na dole otworzyły się gwałtownie. Do środka zajrzał Beau w jaskrawopomarańczowym kapoku. Z początku jej nie zobaczył. Dostrzegł ją dopiero wtedy, gdy szlochając, wypowiedziała jego imię.

Rozpromienił się.

- Mój Boże! Jordan! Jesteś cała?

Okropnie wygląda, pomyślała. Miał podarte, ubłocone ubranie. Ale nigdy nie podobał jej się bardziej.

Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. W drzwiach pojawili się dwaj mężczyźni w mundurach straży przybrzeżnej.

- Jordan... - powiedział, biorąc ją w ramiona i mocno przytulając.
- Gdzie Spenc...

Przerwał, widząc pistolet w jej zaciśniętych palcach. Spojrzał jej w oczy. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich głos.

- Gdzie jest Spencer? - zapytał Beau cichym, pełnym napięcia głosem. - Gdzie?

- Beau... - wykrztusiła - on się zgubił.
- Zgubił się? - Miał zdziwioną minę. Znow zerknął na pistolet. - Zgubił się, ale nie...

- „Pirat” nas znalazł, Beau...

- Nie...

- Tak. Jest tutaj.

- Tutaj? - powtórzył, rozglądając się wokoło. - Ale...

Wtedy wszystko mu powiedziała. Wszystko naraz. Mówiła szybko. Trzej mężczyźni słuchali jej z lekkim zdziwieniem, wpatrując się w pistolet, który wciąż trzymała w drżących dłoniach.

- Daj mi go - powiedział łagodnie Beau, gdy skończyła.

Zrobiła to, a on natychmiast oddał broń młodym oficerom.

- Wyjaśnię wszystko szczegółowo - obiecał im, schodząc po schodach. - Ale najpierw musimy znaleźć chłopca, który jest gdzieś na dworze, sam.

Jordan z ulgą oparła się o stopień. Beau wrócił, pomoże jej. On się wszystkim zajmie.

- Wiedziałam, że wrócisz - powiedziała. - Wiedziałam.

Beau zatrzymał się u stóp schodów. Słyszając jej słowa, zamarł. Wreszcie odwrócił się i spojrział na nią.

- Znajdę go, Jordan - przyrzekł z determinacją.

- Spencer! Spencer!

Beau wiedział, że w tych warunkach jego głos mógł działać tyle, co szept na pełnym kibiców stadionie, ale wciąż wołał chłopca i modlił się o odpowiedź. Do tej pory jej nie usłyszał, ale postanowił nie tracić nadziei.

Sztorm osiągnął chyba szczytowy punkt. Morze szalało, piętrząc spienione fale. Beau szedł po pas w wodzie, w miejscu, gdzie kiedyś przebiegała droga, i patrzył na budowle, które jeszcze niedawno były majestatycznymi domami na plaży.

Przypuszczał, że odzyskają dawny kształt, jeśli tylko nie runą. Ale teraz do połowy pogrążone w wodzie domy wyglądały jak wielkie, opuszczone statki na dalekim oceanie. Trudno było uwierzyć, że zaledwie dwa dni temu to miejsce było spokojnym, nadmorskim rajem.

Starał się nie stracić z oczu Mike'a, jednego z funkcjonariuszy straży przybrzeżnej. Na szczęście on też miał na sobie pomarańczowy kapok. Razem przeczesywali na wpół zatopione domy, szukając zaginionego dziecka.

Beau omal nie zasnął, gdy Jordan powiedziała mu, że Spencer jest gdzieś na dworze. Z tego co pamiętał, chłopiec nie nauczył się pływać.

Przeszukał wszystkie domy w pobliżu, ale bez rezultatu. Nie było śladu Spencera. Sprawdzał tarasy i samochody - wszystko, co mógł, nie włamując się do domów.

- I co?! - zawołał do niego Mike.

- Szukamy dalej! - odrzyknął Beau. - Musi gdzieś być.

Tak. Jeśli nie stało się najgorsze, a Beau nawet nie chciał myśleć o takiej możliwości, Spencer musiał być gdzieś w pobliżu. W suchym miejscu. Gdzieś...

- Chyba wiem, gdzie go szukać! - zawołał nagle Beau.

Jordan leżała na kanapie z obandażowaną, uniesioną nogą. Rhett, oficer straży przybrzeżnej, stał nad „piratem”, leżącym nieruchomo tam, gdzie upadł. Bandyta żył, ale był nieprzytomny. Oficer wezwał pomoc przez krótkofalówkę i czekał na jej przybycie, czuwając nad Jordan.

- Przynieść ci jeszcze trochę lodu i zmienić okład? - zapytał.

Jordan w milczeniu pokręciła głową.

Myślała wyłącznie o poszukiwaniach. Minęło sporo czasu, odkąd Beau zniknął w ciemności. Zbyt dużo. Sztorm zdawał się nasilać.

Spencer gdzieś tam był, Beau też.

Jordan osłabła z braku jedzenia i snu, bolała ją noga i głowa. Ale to nie miało znaczenia. Beau znajdzie Spencera, powiedziała sobie w myślach. Przecież obiecał.

Mimo że starała się myśleć pozytywnie, zaczynały ją ogarniać wątpliwości. Beau nie powinien składać obietnic, których nie może dotrzymać, pomyślała z nagłym, irracjonalnym gniewem. Ale przecież to nie on ponosił winę za to, że Spencer był teraz na dworze. To była jej wina.

Nie, chciałam uratować Spencera, a nie skazać go na śmierć. Zrobiłam to, co uznałam za najszlachetniejsze.

Gdyby tylko nie spadła ze schodów! Gdyby zdążyła dogonić uciekającego chłopca, zanim zniknął w burzy.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Rhett.

Kiwnęła głową, bojąc się, że jeśli spróbuje coś powiedzieć, głos jej się załamie. Nie mogła już płakać. Wypłakała chyba wszystkie łzy. Zamknęła więc oczy i wróciła do cichej modlitwy. Modliła się do Phoebe, gdziekolwiek była. Czuwaj nad nim, Phoebe, myślała żarliwie. Dopilnuj, żeby nic mu się nie stało, dopóki nie znajdzie go Beau i nie przyprowadzi do mnie. Przysięgam, że już nigdy nie dopuszczę, żeby spotkało go coś złego.

Nagle krzyknęła i obróciła głowę, bo gdzieś obok rozległ się głośny trzask. Z przerażeniem spojrzała na ciało oficera straży przybrzeżnej leżące na ziemi. Nad Rhettetem stał „pirat”, ze śladami zaschniętej krwi na twarzy. Wpatrywał się w Jordan z nienawiścią.

Wdrapując się na wydmy, Beau błagał w myślach, żeby ten koszmar dobiegł końca. Spencer musiał tu być. Musiał. Jeśli go tu nie ma, pomyślał z rozpaczą, to nie znajdziemy go już nigdzie. Będziemy musieli zrezygnować...

Nie, pomyślał żarliwie, wchodząc po mokrym piasku i walcząc ze zmęczeniem i odrętwieniem. On nigdy się nie podda. Nie postąpi tak jak wtedy, z Jeanette i Tylerem. Tym razem się nie podda, zanim nie uzyska całkowitej pewności, że nie ma już nadziei.

Dotarł na szczyt. Widział to, co znajdowało się po drugiej stronie wydmy. Z początku był dezorientowany, bo plaża zniknęła pod wodą. Wszędzie, gdzie spojrzał, kłębiły się niebieskoczarne fale. Nagle zauważył coś, co wystawało z morza jak wulkaniczna wyspa. Zobaczył skałę i dziecko.

To był Spencer.

Odetchnął z ulgą. W tym momencie skałę zalała ogromna fala.

- Spencer! - krzyknął Beau. Serce mu się ścisnęło na widok chłopca, desperacko przytrzymującego się masy granitu.

Malec go nie usłyszał. Ryk oceanu zagłuszył krzyki Beau. Mężczyzna patrzył, z sercem w gardle, modląc się żarliwiej niż

kiedykolwiek przedtem. W chwili, gdy woda zalała całą skałę, zacisnął powieki. Kiedy je otworzył, fali już nie było, a Spencer wciąż stał na skałe.

Beau zrozumiał wtedy, że nie była to pierwsza fala, która zagroziła życiu chłopca i nie pierwsze jego zwycięstwo w walce z oceanem. Do ogromnego strachu o los Spencera dołączyła duma.

Spencer stał tam za długo. Był cały mokry i wyczerpany. Następną falą mogła okazać się dla niego ostatnią. Nie było czasu do stracenia.

Beau zwrócił się do Mike'a, który z mozołem wchodził za nim na wydmy.

- Jest tam! - zawołał, starając się przekrzyknąć ryk huraganu. - Trzeba mu pomóc, zanim zmyje go fala!

Przełknął z trudem, tłumiąc nagle wzruszenie.

- Trzymaj się, Spencer! - krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił. - Idę po ciebie! Wszystko będzie dobrze, kolego!

- Gdzie dzieciak, do cholery?

„Pirat” powoli szedł w stronę Jordan. Patrzyła na niego w milczeniu, ciesząc się, że Spencer uciekł z domu.

- Gdzie dzieciak? - powtórzył, omal nie przewracając się o stół.

Był lekko zdezorientowany, na pewno z bólu. Ale to nie mogło pomóc Jordan, miała tak spuchniętą i obolałą kostkę, że gdyby próbowała uciec, poruszałyby się wolniej niż on. Jednak musiała spróbować. Nie mogła leżeć beczynnym i pozwolić, by podszedł do niej jak wielki, czarny niedźwiedź, czyhający na życie rannego kociaka.

Poza tym nie miał już broni i mógł o tym nie wiedzieć.

Ona też nie miała pistoletu. Rhett powiedział, że odłoży go w bezpieczne miejsce, ale nie wiedziała, gdzie. Na szczęście „pirat” też tego nie wiedział.

Jordan spojrzała na niego, z trudem się podnosząc. Ledwie mogła znieść ból, ale instynkt samozachowawczy był silniejszy. Chciała za wszelką cenę uciec przed tym szaleńcem, nawet gdyby miała zginąć.

- Nigdzie nie pójdziesz! - warknął, podchodząc do niej szybciej,

niż wydawało się to możliwe. Zanim zdążyła się poruszyć, chwycił ją.

Wyrwała się z jego rąk. Chwycił jeszcze raz. Walczyła. Kopała, gryzła, drapała, krzyczała, szamotała się, ale bez skutku. Pociągnął ją przez pokój. Zorientowała się - najpierw z niedowierzaniem, potem ze strachem - że nie ciągnie jej w stronę schodów. Zmierzał ku oszklonym drzwiom, prowadzącym na najbliższy taras. Ten z widokiem na wzburzony ocean, którego wody sięgały teraz drugiego piętra.

Beau wstrzymał oddech i rzucił się w wodę. Lina, owinięta wokół jego piersi, nie stanowiła dobrego zabezpieczenia. Jej drugi koniec przywiązali do słupa, przy którym stanął Mike, w razie kłopotów gotów wkroczyć do akcji. Mike zaproponował, że to on podpłynie do skały i zabierze Spencera, ale Beau się nie zgodził. Chłopiec był przerażony, prawdopodobnie w szoku. Po tym, co przeszedł z „piratem”, trudno było przewidzieć jego reakcję na widok płynącego w jego kierunku obcego człowieka.

Wciąż nie widział ani nie słyszał Beau.

Siedział zwrócony w stronę horyzontu, uczepony skały, przemoczony i rozdygotany, z kolanami przyciągniętymi do piersi. Wyglądał na równie wycieńczonego i samotnego jak siedząca na schodach Jordan. Beau zakłuło w sercu - tak jak wtedy. Nie mógł pozwolić, żeby któremukolwiek z nich stała się krzywda.

Gdy się wynurzał, fala zalała mu głowę. Parskał, żeby złapać oddech. W żołądku czuł piekącą, słoną wodę. Pomimo wyczerpania z determinacją płynął naprzód, do Spencera. Kolejne fale rozbryzgiwały się o skałę.

Słyszał krzyki Mike'a, dodającego mu otuchy. Wiatr chyba trochę osłabł. Beau uświadomił sobie, że jeśli zawoła, to Spencer powinien go usłyszeć. Otworzył usta, żeby wykrzyknąć imię chłopca. W tej samej chwili skałę zalała kolejna wielka fala.

Uderzyła też w Beau, obracając go i rzucając na twardy granit. Jakimś cudem zdołał się wynurzyć i zaczerpnąć powietrza. Rozdzierający ból głowy niemal go oślepił.

- Spencer! - zawołał chrapliwym z napięcia i od słonej wody

głosem. - Spencer, trzymaj się! Zaraz cię stamtąd zabiore!

Nie usłyszał odpowiedzi.

Spojrzał na skałę i zobaczył, że chłopca na niej nie ma.

Ulewny deszcz przemoczył Jordan, gdy „pirat” wypchnął ją na taras. Jej bosc stopy ślizgały się na pomalowanych deskach. Straciła równowagę i omal nie upadła, ale on ją przytrzymał.

- Już po tobie - rzucił, patrząc na Jordan z wykrzywioną twarzą. - To koniec, rozumiesz? A potem załatwię dzieciaka.

- Spróbuj go znaleźć! - odparła, z wściekłości nie mogąc złapać tchu.

- Wierz mi, znajdę.

Najpierw dotrze do niego Beau, pomyślała, zaciskając zęby, gdy pchnął ją na drewnianą balustradę. Oszołomiona nowym bólem, czując szorstkie dłonie na swoich przedramionach, zrozumiała nagle zamiar nieznanego. Nie było nikogo, kto mógłby go powstrzymać.

- Beau! - krzyknęła Jordan, gdy „pirat” przechylił ją nad balustradą, nad czarną kipiela. - Beau!

Gdzie on jest? Gdzie jest Spencer? Jedno wiedziała na pewno: jeśli zaraz nie pojawi się Beau, żeby ją uratować, „pirat” dopnie celu. Jordan czekała śmierć w spienionej wodzie.

Przez kilka długich chwil Beau był sam we wzburzonym oceanie. Ze wszystkich sił wołał Spencera. Od krzyku bolało go gardło i płuca. Nagle - to był cud - dostrzegł coś na wodzie, zaledwie kilka metrów od siebie.

- Tam jest! - krzyknął gdzieś za nim Mike.

Oszołomiony z radości Beau energicznie płynął w stronę dziecka. Spencer szamotał się w wodzie, bezładnie machając rękami.

- Głowa do góry, Spencer! - zawołał Beau w chwili, gdy kolejna fala zalała chłopca. - Nie! Spencer!

Beau zanurkował w miejscu, gdzie zniknął chłopiec. Wyciągnął ręce, ale dłonie napotykały na swojej drodze tylko wodę.

Tak jak kiedyś.

Wynurzył się na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza, i natychmiast znów zanurkował. Tym razem zszedł niżej i szerokimi

pociągnięciami ramion szukał malca. Cały czas żarliwie się modlił, tak jak tamtej, tragicznej nocy. Wtedy jego modlitwy nie zostały spełnione, dziś - tak.

Gdy Beau nie miał już powietrza w płucach i płynął w górę, na powierzchnię, jego ręka natrafiła na coś miękkiego, poruszającego się... żywego!

- Beau! - krzyczała Jordan. - Beau! Pomocy!

Ale nie było go. Nie przyszedł, nie mógł jej ocalić.

Szarpała się w morderczym uścisku „pirata”, wiedząc, że tym razem może polegać tylko na sobie. Walka była nierówna. „Pirat” miał przewagę, Jordan była od niego o wiele słabsza.

Przechylona do tyłu nad balustradą widziała nad sobą jego złą twarz. Patrząc w czarne oko, myślała o tym, że ten potwór zabił Phoebe. Jej najlepszą przyjaciółkę. Phoebe, która miała całe życie przed sobą, została zamordowana z zimną krwią, razem z mężem. Pozostawiła jedynego syna.

Pomyślała, co by się stało, gdyby „pirat” dopadł Spencera. Zamordowałby niewinne, przerażone dziecko tylko po to, żeby załatwić porachunki jakiegoś maniaka.

Był tylko jeden sposób, żeby do tego nie dopuścić.

Jordan poczuła przyływ adrenaliny. Jęcząc, zbierając w sobie siłę, odepchnęła się od barierki. Zaskoczony „pirat” zachwiał się, rozłożył ręce, stracił równowagę i opadł na Jordan.

Usłyszała trzask. Przez chwilę myślała, że ktoś wystrzelił z pistoletu, ale zaraz poczuła, że balustrada ugina się pod ciężarem ich ciał.

Czas wydawał się płynąć coraz wolniej. Każda sekunda ciągnęła się jak minuta.

Chwyciła napastnika i oparła na jego ciele, żeby się odepchnąć.

Poczuła pod stopami deski tarasu i nagły uścisk rąk „pirata”.

Usłyszała ponowny trzask.

Gdy wreszcie się oswobodziła, było po wszystkim.

Balustrada pękła, a „pirat” spadł z drugiego piętra w spienioną otchłań.

Jordan pociemniało w oczach.

Ściskając w ramionach mokre i przemarznięte dziecko, Beau czekał, aż Mikę ściągnie ich na brzeg na linie. Wdrapując się na wydnię, ze Spencerem przytulonym do piersi, usłyszał kaszel i chrapliwy oddech chłopca. To był najwspanialszy dźwięk na świecie. Spencer żył.

- Uratowałeś go, Beau! - Mikę poklepał go po ramieniu. - Nie wiem, jak tego dokonałeś.

- Ja też nie wiem - wymamrotał Beau, gładząc mokre włosy Spencera.

Spojrzał w niebo i w myślach wypowiedział modlitwę dziękczynną. Na jego twarzy łzy mieszały się z kroplami słonej wody.

- Jordan?

Oszołomiona, otworzyła oczy. Czy ktoś wypowiedział jej imię? Leżała na tarasie, padał deszcz.

Nagle wszystko sobie przypomniała: „Pirat”, Beau, który szukał Spencera, sztorm...

Odwróciła głowę, krzywiąc się od pulsującego bólu nad uchem, za- Pewne spowodowanego uderzeniem o deski. Nagle pomyślała, że coś się Mieniło. Wiatr wył bardzo dziwnie. Jak długo była nieprzytomna?

Chciała usiąść. Ktoś ją powstrzymał, dotykając jej twarzy.

- Jordan, spokojnie.

Zorientowała się, że to Beau stał nad nią i głaskał ją po policzku. Znów spróbowała odwrócić głowę, pragnąc go zobaczyć. Jęknęła, bo ból przeszywał jej czaszkę.

- Spokojnie - powtórzył Beau. - Wszystko będzie dobrze.

- Spencer? - wykrztusiła. - Czy on...

- Nic mu nie jest.

Słyszając te słowa, poczuła ogromną ulgę. Spencerowi nic się nie stało. Beau przyrzekł, że go uratuje, i spełnił obietnicę. Jordan była mu tak wdzięczna... Szukała słów, żeby mu to powiedzieć, ale nie miała siły.

- Gdzie...- zdołała tylko wykrztusić.

Beau wiedział, o co pytała.

- Jest w domu. Mikę opatruje mu skaleczone ramię. To nic poważnego, więc się nie denerwuj. Musimy się stąd wydostać, zanim dotrze tu huragan.

Wydostać się? Nie chciała się ruszać. Nie chciała wyjeżdżać. Chciała leżeć w nieskończoność w deszczu i czuć dotyk palców Beau.

- Wniosę cię do środka - powiedział łagodnie Beau i Jordan poczuła, jak unosi ją w ramionach. Dopiero wtedy zobaczyła jego twarz, patrzącą na nią z wyrazem, jakiego nigdy dotąd nie widziała. U nikogo.

Przeniósł ją przez taras. W balustradzie była wyrwa, przez którą spadł „pirat”. Czy Beau wiedział, co się stało? Próbowала mu powiedzieć, ale ją uciszył.

- Już dobrze – powiedział. - Wiemy. Jego ciało wypłynęło.

- Co z Rhettem?

- Wszystko w porządku. Wszyscy niedługo dojdziemy do siebie, Jordan. Ty też.

- Dzięki tobie.

- Nie, dzięki sobie - poprawił. - Przechodzą mnie ciarki, kiedy pomyślę, że byłaś tu z nim sama. Próbował cię wypchnąć, prawda?

Kiwnęła głową. Znowu poczuła ogromny ból. Odruchowo przymknęła oczy, ale zmusiła się, żeby zaraz je otworzyć. Chciała widzieć Beau, który patrzył na nią z takim uczuciem.

Trzymając ją na jednym ramieniu, jakby wcale nie była cięższa od Spencera, drugą ręką sięgnął do oszklonych drzwi, prowadzących do salonu.

- Musimy się stąd wydostać - powtórzył, otwierając je. - Zanim znowu rozszaleje się wiatr.

- Może najgorsze już za nami - powiedziała z nadzieją w głosie, gdy wnosił ją do środka.

- Nie, Jordan - odparł ponuro. - Jesteśmy w oku cyklonu. Niedługo rozpęta się tu prawdziwe piekło.

Rozdział 13

Pani Curry?

Jordan podniosła wzrok znad letniej kawy w styropianowym kubku, który trzymała w obu dłoniach. W drzwiach stał łysiejący mężczyzna w średnim wieku, ubrany w źle skrojony garnitur.

- Jestem detektyw Rodgers, z policji w Filadelfii. Pracuję nad sprawą Averillów.

Wyglądał jak detektywi, których oglądała w telewizji - od niedbałego stroju po zasadniczy sposób bycia. Podeszedł do niej.

Postawiła kubek z kawą na zniszczonym stole i lekko się uniosła, żeby uścisnąć dłoń detektywa. Zaraz potem znów opadła na tandetne, metalowe składane krzesło. Ugięło się pod jej ciężarem. Komisariat w Dapple Cove w Karolinie Północnej nie był luksusowym miejscem, zresztą Jordan wcale się tego nie spodziewała.

Przywieźli ich tu oficerowie straży przybrzeżnej. W miasteczku był szpital i tani hotel, gdzie znalazło się kilka wolnych miejsc, bo sztorm się skończył i ewakuowani ludzie zaczęli wracać do swoich domów na wybrzeżu.

Minęły dwa dni, odkąd huragan Agatha przesunął się nad ocean. Jordan chciała teraz tylko znaleźć się w Georgetown, położyć się do łóżka i nie wstawać przez tydzień. Ale nie mogła tego zrobić, przynajmniej w ciągu najbliższych kilku godzin. Samolot odlatywał późnym popołudniem, a przed powrotem do hotelu po rzeczy i wyjazdem na lotnisko musiała jeszcze porozmawiać z tym człowiekiem, który przyleciał do niej aż z Filadelfii.

- Wiem, co pani przeszła - powiedział detektyw, patrząc na nią ze współczuciem.

Uśmiechnęła się ponuro.

- Tego nie da się opisać.

- Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani przyjaciółki.

Phoebe. Ścisnęło jej się gardło. Kiwnęła głową.

- Przykro mi, ale muszę pani zadać kilka pytań - powiedział detektyw.

- Rozumiem. W porządku. Powiem wszystko, co wiem.

Dotrzymała słowa. Rozmawiali ponad godzinę. Jordan opowiadała ze wszystkimi szczegółami, które zapamiętała, co wydarzyło się od momentu przyjazdu Phoebe w zeszłym tygodniu. W końcu detektyw Rodgers oparł się wygodnie na krześle.

- Chcę, żeby pani wiedziała - powiedział - że udało nam się zamknąć Gisonniego w areszcie. Chociaż wsadziliśmy go za inne przestępstwo, odpowie za te morderstwa, pani Curry. Jeden z jego współników zezna, że wynajął płatnego zabójcę, żeby zgładzić pani przyjaciół, panią i dziecko.

Jordan wciąż bolała głowa od uderzenia w deski tarasu. Nie miała nawet pudru, żeby ukryć okazałego, fioletowozielonego siniaka na skroni. Oficerowie straży przybrzeżnej nie pozwolili im zabrać rzeczy z domu, bo trzeba było się śpieszyć, żeby uciec, zanim huragan się nasili. Wzięła tylko torebkę z kluczami od domu i portfel, w którym miała prawo jazdy, gotówkę i karty kredytowe. Przynajmniej kupiła sobie ubranie i przybory toaletowe w miejscowym sklepiku. Ale kosmetyków do makijażu nie było na liście najpotrzebniejszych rzeczy.

Postanowiła, że kiedy wróci do domu, zamaskuje siniaka. Nie chciała oglądać go za każdym razem, gdy spojrzy w lustro, przez najbliższych kilka dni. Za bardzo przypominał jej straszliwą scenę na tarasie.

Wiedziała, że powinna się cieszyć ze śmierci „pirata”. Że gdyby on żył, zabiłby ją i Spencera; zasłużył na taki koniec. Mimo to nie mogła się otrząsnąć ze wspomnienia człowieka ginącego w jej obecności. I z jej powodu. To ona wypchnęła go przez balustradę, ona go zabiła. Tak, to była samoobrona, ale czuła, że nieprędko dojdzie do siebie i pozbędzie się wyrzutów sumienia, że spowodowała czyjąś śmierć.

Wiedziała też, że już nigdy nie będzie się czuła całkiem bezpieczna, nawet jeśli nie zagrażał jej już płatny zabójca.

- Dlaczego ktoś miałby zeznawać przeciwko Gisonniemu? - zapytała ze znużeniem Jordan, sącząc zimną kawę. - Zwłaszcza któryś z jego ludzi?

- Proszę mi wierzyć, pani Curry, facet nie zrobi tego dla nagrody za dobrą postawę obywatelską. Wie, że jeśli nie będzie zeznawać, to

pójdzie siedzieć za kilka innych przestępstw, na przykład za wyłudzenia.

- Ale przecież Gisonni może najać kolejnego płatnego zabójcę i zlecić mu zamordowanie byłego współnika. Kto mu w tym przeszkodzi? - zapytała z powątpiewaniem. W ustach detektywa wszystko było takie proste.

- Program ochrony świadków - odparł lakonicznie Rodgers. - Pani zajęła się Calaccim, ułatwiając nam pracę.

Na chwilę zamknęła oczy. Dowiedziała się, że „pirat” nazywał się Calacci. Nie chciała znać jego nazwiska. Nie chciała, żeby stał się w jej oczach bardziej ludzki.

- Teraz - ciągnął detektyw - my zajmiemy się Gisonnim, żeby ułatwić życie pani i chłopcu. Kochany dzieciak - dodał szorstko. - Rozmawiałem z nim niedawno.

- Jak się czuje? - zapytała Jordan, siadając prosto.

Nie widziała Spencera od zeszłego wieczoru, kiedy to do hotelu przyjechał Curt, brat Phoebe. Chłopiec spał, kiedy Curt zaniósł go do swojego pokoju.

- Mały ma się dobrze - powiedział detektyw Rodgers. - Rano płakał, bo dowiedział się od wujka o śmierci rodziców, ale czego się spodziewać? Przejdź przez to. Wysłaliśmy do hotelu pracownicę opieki społecznej, pomoże mu.

Pracownica opieki społecznej, obca osoba.

Spencer wiedział już o śmierci Phoebe i Reno. Płakał. Jordan krajało się serce. Bardzo chciała iść do Spencera i spróbować jakoś go pocieszyć.

Przyjechał Curt, przypomniała sobie. Jego wujek. Spencer jest teraz z rodziną. Tam jest jego miejsce.

- Czy Spencer powiedział panu coś ciekawego o spotkaniu jego matki z Calaccim? - zapytała Jordan.

- Wszystko, co powiedział, bardzo nam pomogło, pani Curry. Jak już mówiłem, to kochany dzieciak. Cholernie mi szkoda, że stracił rodziców.

W oczach Jordan znów pojawiły się łzy. Kiwnęła tylko głową.

- Gdyby nie pani i Beau Somerville, mały już by nie żył - powiedział rzeczowo detektyw Rodgers.

Jordan podniosła wzrok. Beau Somerville.

- Rozmawiał pan z Beau? - zapytała, starając się utrzymać obojętny ton. Nie widziała go, odkąd wrócili na ląd i wszyscy troje spędzili noc w szpitalu. Kiedy spotkała się ze Spencerem i pozwolono im wyjść, Beau już nie było.

- Jeszcze go nie przesłuchaliśmy, ale zrobimy to dziś. Jest w Richmond, załatwia sprawy z firmą czarterową i swoimi adwokatami. Firma już wręczyła mu pozew. Podobnie jak farmer, na którego polu wylądował.

- Farmer chce go pozwać? - powtórzyła z niedowierzaniem. Rozumiała, że robi to firma czarterowa, bo przecież podał fałszywy plan lotu. Ale farmer?

Detektyw z obrzydzeniem kiwnął głową.

- Powiedział, że jego przyście w czasie huraganu wytrąciło ich z równowagi psychicznej.

- To śmieszne!

- Czego się pani spodziewa? Przecież to Somerville.

Somerville? Jordan zmarszczyła brwi.

- Co pan ma na myśli?

Detektyw pytająco uniósł brew.

- Jak dobrze zna pani pana Somerville'a?

Na tyle, że się w nim zakochałam.

- Dość dobrze - powiedziała, czując, że się rumieni. Przypomniała sobie, jak dobrze poznała Beau podczas namiętnej nocy w domu na plaży.

- Ale nie wie pani, kim jest?

- Jak to? - odpowiedziała pytaniem Jordan.

Detektyw patrzył na nią, gładząc podbródek palcami.

- Beau Somerville to jeden z najbogatszych ludzi na Południu, pani Curry. Jego rodzina ma fortunę. Jest pani jedną z nielicznych osób, które o tym nie wiedzą.

- Nie pochodzę z Południa - wymamrotała, potrząsając głową.

Wiedziała, że Beau jest zamożny. Nie przypuszczała jednak, że ma fortunę, która skłania farmerów do tak podłych knowań.

Andrea MacDuff próbowała jej to powiedzieć. Ale ona nie zwróciła uwagi, bo po prostu nie była zainteresowana spotykaniem

się z Beau ani z nikim innym. Dopiero teraz uświadamiała sobie, czego brakowało w jej życiu.

Ale Beau już nie było, ani Spencera. Musiała ułożyć sobie życie od nowa.

Przełknęła z trudem, próbując się cieszyć, że wraca do domu. Nagle zachciało jej się płakać.

- Dobrze się pani czuje, pani Curry? - zapytał zakłopotany detektyw, nieprzyzwyczajony do osuszania kobiecych łez.

- Nie. Ale dojdę do siebie - odpowiedziała stanowczo jemu i sobie.

Siedząc za kierownicą swojego suwa, Beau patrzył, jak Jordan wychodzi z małego komisariatu. Zatrzymała się, żeby wrzucić biały, styropianowy kubeczek do żelaznego kosza na śmieci, a potem ruszyła powoli, z pochyloną głową, po pustej, głównej ulicy Dapple Cove.

W ten szary, wilgotny poranek na dworze było niewiele ludzi. Outer Banks najbardziej ucierpiało z powodu huraganu, ale wybrzeże Karoliny też zostało zniszczone. Wszędzie było widać ślady wody. Po ulicy walały się połamane gałęzie.

Beau z wahaniem patrzył na odchodzącą Jordan. Zastanawiał się, czy powinien tak po prostu na to pozwolić. Wiedział, że po południu miała wrócić samolotem do domu. Mógł się z nią spotkać w Waszyngtonie.

Ale po co? Żeby jej powiedzieć, że było mu miło ją poznać, i życzyć jej szczęścia? To wydawało mu się śmiesznie. Co się mówi po takich przejściach? Nie spodziewał się, że ich związek będzie trwał, gdy wrócą do miasta. Ona miała tam swoje życie, on swoje. Gdy umówił się z nią w zeszłym tygodniu, nie szukał... Czego? Miłości? Oczywiście, że nie.

Zresztą nie kochał jej. To, co między nimi zaszło, było wynikiem niezwyklego splotu okoliczności, a te po prostu przestały istnieć. Powinien raczej pamiętać, po co tu przyjechał. Iść na komisariat i porozmawiać z detektywem, który go wezwał.

Ostatni raz spojrział na Jordan. Było w niej coś takiego... Nie mógł pozwolić, żeby odeszła. Musiał się przynajmniej pożegnać. I

zapytać o Spencera. Bardzo często myślał o chłopcu. Szybko wysiadł z samochodu i poszedł za nią.

- Jordan! - zawołał, gdy był już dość blisko.

Spojrzała na niego. Patrzył na jej zaskoczoną minę. Ucieszyła się na mój widok, pomyślał z radością, przyspieszając kroku. Wydało mu się naturalne, że ją przytuli. Miał to być przyjacielski uścisk, ale w chwili, gdy wziął ją w ramiona i poczuł jej piękny, znajomy zapach, wiedział, że jest inaczej.

- Miód - wymamrotał. Serce biło mu coraz szybciej.

- Co takiego? - cofnęła się i spojrzała na niego pytająco.

- Pachniesz miodem. Już wcześniej zwróciłem na to uwagę. To twój szampon.

- Umyłam włosy szamponem z hotelu - powiedziała z lekkim uśmiechem. - Zwykle takiego nie używam.

- Nie? - Pomyślał, że w takim razie był to jej naturalny zapach. Zwalczył chęć wtulenia twarzy w jej szyję. Niechętnie wypuścił ją z ramion.

- Myślałam, że jesteś w Richmond - powiedziała.

- Byłem. Od wczorajszego ranka próbowałem załatwić sprawę z firmą czarterową. - Nie chciał procesu.

Teraz, gdy szedł obok niej, uświadomił sobie, że ma wszystko, czego mu trzeba. O inne sprawy zatroszczy się później. Detektyw, samolot, rolnik - to teraz nie miało żadnego znaczenia.

- Wszystko poszło po twojej myśli?

- Pójdzie.

- To dobrze. - Wyglądała tak, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale tego nie zrobiła.

Rozumiejąc, jak łatwo Jordan może odejść, Beau zapragnął nagle przedłużyć spotkanie. Rozejrzał się, gorączkowo szukając punktu zaczepienia.

- Masz ochotę coś zjeść? - zapytał, zauważając restauracyjkę przy ulicy.

Z wahaniem kiwnęła głową.

- Dopiero do mnie dotarło, że jestem głodna.

- To świetnie, bo ja też.

Ruszyli w stronę restauracji.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć, Beau?

- Zgadłem.

Chyba mu nie uwierzyła.

Zresztą nie przyjechał tutaj do niej. Spotkanie było dla niego miłą niespodzianką. Wyjechał do Richmond bez pożegnania. Od tamtej pory wciąż o niej myślał. Oczywiście tylko dlatego, że się o nią martwił. To przynajmniej próbował sobie wmówić.

- Tak naprawdę dostałem do hotelu wiadomość od detektywa Rodgersa - przyznał się. - Powiedział, że będzie dziś z tobą rozmawiał i że musi pomówić też ze mną. Podjechałem pod komisariat, kiedy wyszłaś.

- Tak właśnie myślałam. - Doszli do drzwi restauracji, Jordan zaważała się na progu. - Czy nie powinieneś tam wrócić?

Pokręcił głową.

- Detektyw może poczekać. Wolę najpierw porozmawiać z tobą. Wiem, że śpieszysz się na samolot.

- A ty? Kiedy wracasz do domu?

- Jutro. - Wieczorem był umówiony na spotkanie z adwokatem farmera. Nie miał na nie ochoty, podobnie jak na użeranie się z prawnikami w Richmond, ale musiał to załatwić. Teraz, gdy farmerzy skojarzyli go z Somerville Industries, chcieli wyciągnąć od niego jak najwięcej pieniędzy. Taki sam plan miała najwyraźniej firma czarterowa.

Anton Parr, adwokat ojca, przyleciał wczoraj z Baton Rouge do Richmond, żeby reprezentować go w pertraktacjach z firmą czarterową, a dziś miał się zjawić w Karolinie Północnej, by pomóc mu w rozmowie z farmerem. Parr chciał walczyć - zwłaszcza z oburzającym żądaniem farmera, który znacznie zawyżył straty - ale Beau wołał iść na ugodę.

Im szybciej załatwi te sprawy i wróci do zwykłego życia, tym lepiej.

Nawet jeśli „te sprawy” obejmują Jordan? - zadał sobie pytanie, przytrzymując jej drzwi i wchodząc za nią do restauracji. Tak, zdecydował. Nie miał wyboru. Musiał wrócić do prawdziwego świata, a w nim nie było miejsca ani dla Jordan, ani dla Spencera.

Tak jak się spodziewał, restauracja była brudną dziurą, jakie

często spotyka się na Południu. Wzdłuż jednej ze ścian biegła długa lada, a po drugiej stronie stały rzędem stoliki. W całym pomieszczeniu unosiła się mgiełka dymu papierosowego. Wszystko było tu znajome: skrzypiące drzwi z siatką przeciw owadom, bzyzące muchy, płynąca z radia muzyka country... Beau czuł się jak u siebie w domu. Tak, jakby odnalazł swoje południowe korzenie i wrócił do czasów, kiedy wszystko było łatwiejsze.

Uśmiechnął się na wspomnienie takiego lokalu w DeLisle, do którego chętnie chodził z babcią, ku rozpaczy rodziców. Matka niepokoiła się, że takie miejsca to wylęgarnie zarazków, natomiast zdaniem ojca Somerville'ów było stać najadanie w lepszych restauracjach. Oboje mieli rację, ale przecież nigdzie indziej nie podawano ogromnych porcji frytek i pieczonego kurczaka na niebieskich talerzach.

Beau i Jordan usiedli przy stoliku. Obok jadła trzyosobowa rodzina: matka, ojciec i mały chłopczyk. Beau patrzył, jak dziecko rysuje coś na blacie ziemniaczanym puree, matka moczy papierową serwetkę w szklance z wodą, żeby to zmyć, a ojciec rozgląda się za kelnerką, bo najwyraźniej chce zapłacić rachunek.

Sam kiedyś bywał uczestnikiem podobnych scen. Jeanette, która pomimo drobnej budowy miała wilczy apetyt, uwielbiała takie miejsca. Tyler też.

Beau zdziwił się, że dziś widok szczęśliwej rodziny nie wywołał w nim zwykłego bólu. Wspomnienia już go nie przerażały. To była raczej ciepła tęsknota, lekko tylko zabarwiona znajomym żalem.

Podeszła kelnerka. Miała wypłowiałe blond włosy i głębokie zmarszczki wokół oczu i ust, zdradzające, że latami przesadzała ze słońcem i papierosami. Postawiła wodę i wręczyła im jadłospisy.

- Potrzebujecie trochę czasu, żeby coś wybrać? - zapytała.

Beau spojrzał na Jordan.

- Tak - odpowiedziała.

Sam nie musiał nawet otwierać menu, bo doskonale wiedział, co zamówi, ale on też potrzebował tych kilku minut. Żeby dłużej być z Jordan.

Zaczekał z pytaniem o Spencera, aż kelnerka wróciła do kuchni. W chwili, gdy wymówił imię chłopca, oczy Jordan zasnuły się mgłą.

- Jest ze swoim wujkiem - powiedziała po prostu.

- Z bratem Phoebe? Tym, którego prawie nie zna? - Z jakiegoś powodu bardzo go to zmartwiło.

- Nas też prawie nie zna, Beau - zauważyła. - Zadzwoiłam do Curta ze szpitala. Przyleciał pierwszym samolotem, gdy tylko poprawiła się pogoda. Nie gniewał się, że nie powiedziałam mu o Spencerze, kiedy zadzwoniłam z Georgetown. Cieszył się tylko, że jego siostrzeniec żyje.

Beau patrzył na nią, wracając pamięcią do dni sprzed wyjazdu do Karoliny Północnej.

- Dzwoniłaś do niego z Georgetown?

Zasłoniła usta dłonią.

- Zapomniałam... nie powiedziałam ci. Od razu wiedziałam, że popełniłam błąd.

Zastanowił się chwilę.

- Dlaczego? Skoro nie powiedziałeś mu, że jest z tobą Spencer, to o czym rozmawialiście?

- Mówiłam mu, jak mi przykro z powodu śmierci Phoebe - wyznała. - Ale gdy tylko usłyszałam jego głos, wiedziałam, że nie powinnam była dzwonić. Phoebe zabroniła mi mówić komukolwiek, gdzie jest Spencer. Na pewno wiedziała, że Gisonni będzie śledził jej brata i założy podsłuch w jego telefonie.

- Skąd wiesz, że to zrobił?

- Słyszałam dziwne piknięcia w czasie rozmowy. Bardzo się tym zdenerwowałam. Gdybym nie zadzwoniła, ten zbir nigdy nie znalazłby Spencera.

Beau widział na jej twarzy ogromne wyrzuty sumienia i żal. Wiedział, jak się czuła. Zadręczała się z powodu nieodwracalnego błędu, który mógł doprowadzić do tragedii.

Ale nie doprowadził. Spencer żył. Wszyscy troje z tego wyszli. Jej błąd nie spowodował katastrofy. Zresztą może telefon do Curta nie miał nic wspólnego z tym, że Gisonni wysłał zabójcę.

- Jordan, czy choć przez chwilę pomyślałaś, że może znaleźli nas wcale nie z powodu tej rozmowy? - zapytał łagodnie, rozumiejąc jej ból i bardzo pragnąc ją pocieszyć.

- Jak inaczej mogli nas znaleźć?

Wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Może tamtej nocy ktoś śledził Phoebe, gdy do ciebie przyjechała. Może przeszukali dom Averillów i znaleźli twoje nazwisko i numer telefonu w notesie Phoebe. Może dowiedzieli się, że jesteś matką chrzestną Spencera. Teraz to nie ma znaczenia.

- Sama nie wiem - odpowiedziała cicho. - Wciąż sobie powtarzam, że mogłam być ostrożniejsza. Calacci widział twój samochód zaparkowany pod moim domem. Sprawdził numery rejestracyjne. Rozmawiał z twoim współnikiem...

- Wiem.

Poprzedniego dnia Ed powiedział Beau o telefonie od potencjalnego klienta: „Kiedy rozmawialiśmy ostatniego dnia, chciałem ci powiedzieć, że ktoś cię szukał, ale za szybko się rozłączyłeś”. Oczywiście. Przerwał rozmowę ze strachu, że Ed wszystkiego się domyśli i zapyta, z kim Beau spędza urlop.

Próbując chronić Jordan i Spencera, nieświadomie pomógł sprytnemu zabójcy zastawić pułapkę. Gdyby pozwolił Edowi powiedzieć o nieznanym „klientce”, o wiele wcześniej zorientowałby się, że Jordan i Spencerowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Posłuchaj, Jordan... Oboje popełniliśmy błędy - powiedział powoli. - Ale też oboje zrobiliśmy to, co wydawało nam się właściwe. Żadne z nas nie chciało narażać Spencera. Czy mogliśmy postąpić lepiej? Zachować się inaczej?

Spuściła wzrok.

- Wciąż myślę, że powinnam była...

- Nie - przerwał, dotykając jej dłoni. - Nie myśl tak. Nie dręcz się, Jordan.

To samo powiedziała mu na tarasie tamtej nocy. „Nie dręcz się, Beau”. Teraz rozumiał, że mówiąc to, pozwoliła, by po latach obwiniania się o coś, czego nie mógł zmienić, wreszcie sobie wybaczył.

Spojrzała na niego. Widział w jej oczach, że znała jego myśli. Że rozpoznała słowa, które jej powtórzył.

- Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo mi pomogłaś tamtej nocy,

Jordan - powiedział łagodnie. - Z nikim nie rozmawiałem o... wypadku.

Wypadek. To właśnie się stało. Wypadek. Niczyja wina.

- Nie mogłeś przecież obwiniać się w nieskończoność - powiedziała Jordan.

- Ty też nie możesz - odparł po prostu.

Przez długą chwilę milczeli. Potem Beau zadał jej kolejne pytanie, choć bardzo się bał usłyszeć odpowiedź.

- Czy Curt powiedział Spencerowi o śmierci rodziców?

Kiwnęła głową. Oczy jej pociemniały.

- Była przy tym pracownica opieki społecznej... - Głos jej się załamał. Wzięła serwetkę z metalowego stojaka na stoliku i otarła oczy. - Przepraszam.

Położył dłoń na jej dłoni.

- Nie ma za co. Wiem, że ci ciężko.

- Chciałam przy nim być. Wciąż się zastanawiam, czy się boi. I czy choć raz o mnie zapytał.

- Oczywiście, że tak - powiedział z przekonaniem, którego wcale nie czuł. Przecież dobrze wiedział, że Spencer, odkąd matka oddała go Jordan pod opiekę, utrzymywał pomiędzy nimi dystans.

- Nie. To z tobą się związał - zaprzeczyła. - Ale kilka razy, ostatniego dnia, wyczułam, że może chciałby się przede mną otworzyć. Potem stało się to wszystko, a teraz nigdy się nie dowiem, jak by było, gdyby mnie nie nienawdził.

- On nie czuje do ciebie nienawiści - powiedział Beau. - Po prostu bał się i był zdezorientowany, więc wyżywał się na tobie.

- Ale nie na tobie. Ty potrafiłeś do niego dotrzeć. Doskonale wiedziałeś, co mówić i robić. To naturalne. Przecież byłeś... - urwała i wbiła wzrok w zniszczony blat stolika.

- Kim byłem? - zapytał, zastanawiając się, czy naprawdę chce odpowiedzi.

- Tata - powiedziała łagodnie, patrząc na niego. - Byłeś tatą.

Spodziewał się, że jak zwykle ogarnie go żal i wielka pustka. Ale tym razem tak się nie stało.

- Przepraszam - powiedziała.

- Za co?

- Za to, że ci przypomniałam.

- Nieustannie myślę o Tylerze - odparł Beau. - Nie trzeba mi przypominać. I wiesz co? Potrzebuję tych myśli.

A może nawet rozmowy, pomyślał. Zamknął tyle lat szczęśliwych wspomnień gdzieś w dalekim zakamarku umysłu, przyćmił je tragicznym obrazem z ich ostatnich chwil w wodach zatoki. Może już czas odsunąć te złe wspomnienia. Wydobyc na światło dzienne te inne, dobre.

- Tyle rzeczy robiliśmy razem - mruknął, cofając się myślami w przeszłość.

- Jakich? - zapytała cicho.

Napłynęły wspomnienia. Dobre, dawno nieprzywoływane wspomnienia.

- Raz wyrzeźbiłem mu łódeczkę - powiedział z uśmiechem. - Ze starego kawałka drewna. Dziadek nauczył mnie strugać i chociaż nie robiłem tego od dzieciństwa, wyrzeźbiłem Tylerowi łódeczkę do wanny. Uwielbiał się kąpać, wiesz? Nie tak jak niektóre dzieci. Nigdy nie marudził. Łódeczka, którą mu wystrugałem, naprawdę pływała.

Jordan ścisnęła jego dłoń.

- Jeanette dorobiła żagielek ze starej chusteczki mojej mamy - ciągnął - ale Tylerowi się nie podobał, bo miał koronkę. Chociaż był jej tylko kawałeczek, on narzekał, że to łódeczka dla dziewczyny. Poparłem go.

Zaśmiał się na wspomnienie udanego oburzenia Jeanette i zachwyty Tylera, kiedy pocałował nowiuteńkie dzinsy i zrobił mu z nich nowy żagiel.

- Złóżycie już zamówienie? - zapytała kelnerka, zjawiając się przy ich stoliku z notesem w dłoni.

- Jeszcze chwilę - powiedziała Jordan, sięgając po menu.

- A ty, kotku? - Kelnerka spojrzała na Beau.

- Poproszę pieczonego kurczaka z sosem, puree ziemniaczane, kukurydzę, herbatniki, lemoniadę i kawałek ciasta orzechowego na deser - wyrecytował Beau bez wahania.

Jordan spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nawet nie zajrzałeś do jadłospisu.

- Nie musiałem - wycedził z szerokim uśmiechem, nagle uradowany. - To dobra, staromodna południowa knajpa, a ja jestem dobrym, staromodnym południowym chłopakiem. Pamiętasz?

- Wiesz co? Te potrawy na pewno są pyszne. Poproszę to samo. - Jordan energicznie zamknęła menu.

Kelnerka odeszła, a oni uśmiechnęli się do siebie. Przez chwilę Beau zastanawiał się, jak by to było, siedzieć naprzeciwko niej przy każdym posiłku. Już zawsze. Myśl zaraz zniknęła, zostawiając po sobie znajomy ślad żalu. Pomyślał, że jej pragnie, bo...

Dlaczego? Było mnóstwo powodów. Ponieważ była piękną kobietą, umiała przyrządzać fasolkę tak, jak jego babcia i związał się z nią tak, jak z żadną kobietą po Jeanette. A w dodatku w towarzystwie jej i Spencera czuł się prawie tak samo, jakby znów był z Jeanette i Tylerem.

Właśnie dlatego nie mógł sobie pozwolić, żeby jej pragnąć. Wiedział, że kiedy podczas sztormu śpieszył jej na ratunek, tak naprawdę nie robił tego dla niej. Chodziło o niego, o jego wypaczone poczucie winy i odpowiedzialności oraz nieracjonalną tęsknotę za tym, co stracił.

- Co ci jest? - zapytała Jordan, przypatrując mu się uważnie.

- Jak to?

- Byłeś taki zadowolony, a teraz się zachmurzyłeś.

- Och... ja tylko... coś sobie przypomniałem.

- Co takiego? - Uważnie patrzyła mu w oczy.

Przypomniałem sobie, dlaczego nie mogę się z tobą związać. Dlaczego to musi się skończyć.

- Nic - odpowiedział i odwrócił wzrok.

Rozdział 14

Niecałą godzinę później Jordan weszła do hotelowego holu. Czowała IN się dziwnie po lunchu z Beau. Nie chodziło o jedzenie. Beau zamówił wyśmienite potrawy. Wszystko jej smakowało: kurczak, sos i ciasto. Ale niełatwo jest cieszyć się posiłkiem, siedząc naprzeciwko człowieka, który ni stąd, ni zowąd wydaje się obcy.

Zjedli szybko, a potem się rozeszli. On poszedł na komisariat, żeby spotkać się z detektywem Rodgersem, a ona wróciła do hotelu.

Rozstali się na ulicy przed restauracją.

- Może złapię cię w hotelu, zanim się wymeldujesz. W którym pokoju mieszkasz? - zapytał Beau.

Podawała numer, ale zaraz dodała:

- Będę tam krótko. Tylko się spakuję i zaraz schodzę do recepcji.

- Myślałem, że lecisz później.

- To prawda. Ale wolę siedzieć na lotnisku niż tam. - Przygrybnął ją tani, brzydko urządzonej pokój hotelowy z widokiem na basen z zielonawym nalotem glonów i śmieciami, nawianymi przez huragan.

Beau nie objął jej ani nie pocałował, tylko obojętnie pomachał dłonią i odszedł. Nie rozumiała własnego zaskoczenia. Czego się spodziewała? Długiego pocałunku? Namiętnej obietnicy następnego spotkania? Beau był przecież obcym człowiekiem. Co najwyżej niezbyt dobrym znajomym. To koszmar, który razem przeżyli oraz odpowiedzialność za Spencera - no i kilka namiętnych chwil - stworzyły fałszywe wyobrażenie łączącego ich uczucia.

Dlaczego więc nie mogła się z tym pogodzić? Dlaczego czuła się tak, jakby łączyło ich coś więcej? Teraz, kiedy wszystko się skończyło, powinna przyjąć do wiadomości, że skończyła się też ich znajomość.

Przecież ja nie chcę takiego mężczyzny, przypomniała sobie. Nie miał nic wspólnego z jej wyobrażeniem o przyszłym mężu. Beau był niezwykle przystojnym, bogatym playboyem, odnoszącym sukcesy zawodowe. Taki mężczyzna nie szuka żony, która sama robi dżem, szyje zasłony i sadzi kwiaty w ogródku - albo przynajmniej robiłaby to wszystko, gdyby mogła - a dla niej byłby to raj.

Beau był przyzwyczajony do zupełnie innego stylu życia. Ale ja też, przypomniała sobie Jordan. Ostatnio całkowicie pochłaniała ją praca. Nie miała czasu na żadne domowe zajęcia, nie mówiąc o mężu czy dzieciach.

Mąż? Dzieci?

Beau miał już żonę i dziecko. Byłaby głupia, myśląc, że potrafi zapełnić pustkę w jego życiu albo że on chce to zrobić. Byłaby

głupia, wyobrażając sobie, że jest stworzona dla mężczyzny takiego jak on.

Westchnęła, idąc przez klimatyzowany hol w stronę wind. Minęła niewielką poczekalnię przy recepcji - kilka wyglądających na niewygodne, obitych skajem foteli i niski stół ze szklanym, poplamionym palcami blatem, na którym leżały stare magazyny. Podczas sztormu przez szczeliny wlała się woda i teraz z bladezielonej wykładziny unosił się zapach wilgoci i pleśni.

Cieszyła się, że zaraz opuści to miejsce i wróci do swojego życia. Przyrzekła sobie, że za kilka dni... a może za kilka miesięcy... nie będzie tęsknić za Beau ani za Spencerem. Ale jej serce nie słuchało pustych zapewnień rozumu. Wiedziało lepiej.

- Jordan!

Podniosła wzrok, słysząc męski głos wołający jej imię. W pierwszej chwili pomyślała, że to Beau przyszedł do niej, bo chciał... Czego? To nie miało znaczenia, bo zawołał ją nie Beau, ale Curt, brat Phoebe, wychodzący z windy. W jednej ręce niósł walizkę, a drugą trzymał zaciśniętą piąstkę Spencera.

Jordan pomyślała, że obok tego wysokiego, barczystego mężczyzny chłopiec wygląda na jeszcze mniejszego niż w rzeczywistości.

- Cześć! - powiedziała, machając im i zmuszając się do uśmiechu.

Spencer spojrzał na nią smutnymi, pustymi oczami. Jordan pochyliła się, żeby go uścisnąć. Małe ciało aż zeszywniało.

- Mama i tata umarli - powiedział chłopiec głuchym głosem.

- Wiem, kochanie. Ogromnie mi przykro - odpowiedziała przez łzy.

Spojrzała na Curta.

Wiedziała, że brat Phoebe był dobrym człowiekiem. Ale wyglądał srogo: miał szpakowate włosy, okulary w rogowej oprawie i garnitur. Mógłby być dziadkiem Spencera, ale na pewno nie był typem dziadka, który turla się po podłodze z małym chłopcem.

Nie wiedział, że mali chłopcy lubią kanapki z masłem orzechowym i dżemem, powycinane w ciekawe kształty. Nie wiedział, co to jest Happy Meal i na pewno sam nie zrobiłby takiego

zestawu, gdyby w okolicy nie było McDonalda.

- Spencer i ja lecimy do domu - powiedział Curt. - Jedziemy na...

- Nie! - przerwał mu Spencer, wrywając się z uścisku Jordan. - Nie lecimy do domu, tylko do niego! - wyjaśnił, szlochając. Po piegowatych policzkach płynęły strumienie łez. - Ja już nigdy nie wrócę do domu.

- Och, Spencer - westchnęła Jordan, głaszcząc go po głowie i ocierając własne łzy rękawem bluzki. - Bardzo mi przykro. - Nic innego nie mogła powiedzieć.

Spojrzała na Curta.

- Tobie sąd powierzy opiekę nad dzieckiem?

Kiwnął głową.

- Reno i Phoebe wyznaczyli mnie w testamencie. Notariusz jeszcze się ze mną nie skontaktował, ale Phoebe uprzedziła mnie, że tak zrobią, kiedy tylko Spencer się urodził. Powiedziała, że gdyby ją i Reno spotkało coś złego, chcieliby, żeby Spencer miał dom i rodzinę... - Urwał, a ona wyczuła jakieś niewypowiedziane „ale”.

- Ty i Sue macie dwoje dzieci, prawda? - zapytała, chcąc przypominieć Spencerowi o kuzynach.

Potaknął.

- Stephen jest na trzecim roku w Carnegie Mellon, a Jessica w sierpniu zacznie studia w Ball State w Indianie. W zeszłym tygodniu skończyła szkołę średnią.

- Czyli oboje są dorośli i nie mieszkają w domu - powiedziała Jordan, przytulając głowę Spencera do piersi. Czują, że chłopiec drży i bardzo chciała zrobić coś więcej, żeby go pocieszyć.

- Właściwie... - Curt przestąpił z nogi na nogę. Był zakłopotany. - To dla mnie trudny okres - powiedział cicho, jakby chciał to ukryć przed Spencerem. - Sue i ja czekaliśmy, aż Jess skończy szkołę, ale teraz...

- Co takiego? - ponagliła Jordan, gdy znów urwał. Pomyślała, że kiedy dzieci się wyprowadziły, pewnie chcieli wybrać się w podróż. Albo sprzedać dom i kupić mniejszy.

Ale na pewno chętnie przyjmą Spencera do swojego życia. Był ich krewnym. Potrzebował kochającej rodziny, jakąż pewnością potrafiliby mu stworzyć ciotka i wuj. Starsi kuzyni będą go

odwiedzać w czasie ferii.

Curt odetchnął głęboko.

- Sue i ja planujemy separację, Jordan. Dokumenty są już w sądzie.

Czuła się tak, jakby powiał lodowaty wiatr. Nie żałowała Curta i jego żony, którą widziała tylko raz, podczas ich ślubu w Pittsburghu, gdy ona i Phoebe były jeszcze w szkole. Phoebe pozwolono przyprowadzić przyjaciółkę na wesele. Cały czas chichotały, bo spodobał im się wokalista z grającego do tańca zespołu.

Jordan była zachwycona romantyczną ceremonią. Nie przeszło jej przez myśl, że Curt i Sue kiedyś się rozstaną.

- To będzie separacja na próbę? - zapytała tonem pełnym nadziei, myśląc, że może Spencer scali ich rodzinę.

- Nie. Na stałe. Rozwód to tylko kwestia czasu.

- Bardzo mi przykro - wykrztusiła Jordan.

- Tak będzie najlepiej - powiedział Curt, wzruszając ramionami.

- Od dwóch lat właściwie nie jesteśmy razem, ale nie chcieliśmy martwić dzieci. Postanowiliśmy poczekać, aż Jess skończy szkołę średnią i wyprowadzi się z domu. Powiedzieliśmy dzieciom w zeszłym tygodniu. Źle to przyjęły. Tuż potem dowiedziałem się o śmierci siostry. I rozpętało się piekło. Policja, pogrzeb, troska o Spencera. Nie wiedziałem, czy żyje...

- Mogę to sobie tylko wyobrażać - mruknęła ze współczuciem Jordan.

Spojrzała na Spencera. Dla niej rozwód Curta oznaczał tylko to, że Spencer jednak nie będzie miał pełnej, kochającej rodziny. Phoebe na pewno nie chciała, żeby jej jedyny syn zamieszkał z rozwiedzionym wujkiem w starszym wieku. Kto byłby lepszym kandydatem na opiekuna? Przecież nie ja! - pomyślała, czując znajomy ból serca. Ja też jestem samotna. I nie mieszkam w Filadelfii. W dodatku nie mam własnych dzieci.

- Czy... potrafisz się nim zająć? - zapytała Curta, wiedząc, że nie ma prawa wątpić w jego umiejętności, których zresztą nie mogła ocenić. Ale nie mogła się powstrzymać.

- Oczywiście - powiedział z pewnością, która nie znajdowała odzwierciedlenia w jego oczach. - Poradzimy sobie. Prawda,

Spence? Znajdziemy ładne mieszkanie. Wynająłem już mieszkanie i nawet wpłaciłem czynsz za lipiec, ale w tamtym domu nie mogą mieszkać dzieci, więc poszukam innego lokum.

- A co... co będzie ze Spencerem, kiedy ty będziesz w pracy? Czy Sue zechce...

Curt już kręcił głową.

- Sue w sierpniu idzie na studia. Będzie się uczyć projektowania mody - dodał z pogardą. - Powiedziała, że ma dość wychowywania dzieci. Spełniła swój obowiązek. Teraz chce być wolna.

Jordan chciało się płakać. Ciotka nie zamierzała obdarzyć Spencera miłością.

- W naszym mieście jest dużo świetlic - ciągnął Curt. - Ani się obejrzymy, jak mały pójdzie do szkoły, prawda, Spence? Wynajmując mieszkanie, rozejrzę się za przedszkolem. Coś wymyślimy. Wszystko się ułoży.

Mówił to i do niej, i do Spencera, ale wiedziała, że wcale nie był tego pewien. Słyszała obawę w jego głosie, widziała malujące się na twarzy napięcie.

- Bardzo bym chciała, żeby Spencer mnie odwiedzał - powiedziała najweselej jak zdołała. Poglaskała chłopca po głowie. - Chciałbyś, Spencer? Możesz czasami wpadać do Georgetown.

Jego buzia się rozjaśniła. Jordan bardzo się ucieszyła, ale tylko na chwilę, bo zaraz zapytał:

- Czy Beau też przyjedzie?

- Może będziesz odwiedzał Beau. - Czuli się tak, jakby uszło z niej powietrze.

- Sporo o nim mówi - powiedział Curt. - Czy jesteście już zaręczeni, Czy tylko...

- Beau i ja? Och, nie jesteśmy parą- powiedziała pośpiesznie. - Jesteśmy tylko...

Kim?

- Przyjaciółmi - powiedział głos za nią. - Dobrymi przyjaciółmi.

Obróciła się. Stał tam Beau. Choć się uśmiechał, w jego oczach dostrzegła zagadkowy wyraz.

- Beau! - Spencer podbiegł do niego, omal się nie przewracając. - Gdzie byłeś? Myślałem, że się nie pożegnamy!

- Hej, nie dopuściłbym do tego - powiedział Beau, podnosząc dziecko i mocno je przytulając.

- Co z detektywem Rodgersem? - zapytała Jordan.

- Nie zastałem go - odparł Beau. - Wyszedł na lunch. Powiedzieli mi, że wróci później. Przy okazji, jestem Beau Somerville. - Postawił Spencera i podał rękę Gurtowi, który też się przedstawił.

- Curt jest prawnym opiekunem Spencera - wyjaśniła Jordan wesołym tonem, oczywiście wyłącznie na potrzeby chłopca.

- Niestety, śpieszymy się na samolot - powiedział Curt, zerkając na zegarek i podnosząc walizkę. - Chodź, Spence.

- Nie! Nie pójde z tobą! - pisnął malec, uciekając od wujka. Schował się za nogami Beau. - Nie pozwól mnie zabrać! Chcę z wami zostać! Proszę!

- Spencer, wszystko będzie dobrze - próbowała go uspokoić Jordan, chociaż sama była wstrząśnięta.

To było takie niesprawiedliwe! Jak teraz będzie wyglądało życie Spencera? Wiedziała, że Curt będzie się starał jak najlepiej zaopiekować chłopcem, ale przecież jego życie też legło w gruzach.

Jak będzie się czuło dziecko, które straciło rodziców, w obcym otoczeniu? Spencer będzie spędzał dni w mieszkaniu i w przedszkolu, a jego jedyną rodziną będzie prawie nieznamy wujek.

- Chcę z tobą zostać, Beau! - płakał Spencer. - I z nią! - Wskazał trzęsącą się rączką na Jordan.

Tym gestem stopił jej serce.

- Och, Spencer...

- Spójrz na mnie - powiedział stanowczo Beau, kładąc ręce na ramionach chłopca i kucając przy nim. - Spójrz na mnie i posłuchaj uważnie.

Spencerowi po policzkach płynęły łzy. Jordan też płakała, choć po cichu. Nie mogła ani chwili dłużej utrzymać emocji w ryzach.

Curt bezradnie stał obok, jakby nie wiedział, jak się zachować. Chyba będzie musiał wynieść krzyczącego, wierzgającego chłopca z hotelu. Jordan modliła się, żeby do tego nie doszło, ale obawiała się, że tak właśnie się to skończy.

- Spencer, nie będzie ci łatwo - mówił Beau cichym, opanowanym głosem. - To będzie najtrudniejsza rzecz, jaką zrobisz.

Słuchasz mnie?

Chłopiec pokiwał głową. Ramiona drżały mu od tłumionego szlochu.

- Będiesz najdzielniejszym chłopcem na świecie, Spencer. Będiesz dzielniejszy niż wtedy na skale. Dzielniejszy niż superbohater. Wiem, że dasz sobie radę. Będę z ciebie dumny. Jordan też. I twoi rodzice w niebie też będą dumni. Chcieli, żeby wujek Curt wziął cię do siebie. Wiedzieli, że będzie cię kochał i stworzy ci wspólny dom, Spencer. Tak się właśnie stanie.

- Ale ja nie chcę z nim jechać - jęczał Spencer. - Proszę, nie każ mi.

- Wszystko będzie dobrze. Naprawdę - zapewnił go Beau. - Przrzekam.

Spencer spojrział na Jordan, która uśmiechnęła się przez łzy.

- Beau zawsze dotrzymuje słowa - powiedziała drżącym głosem. - Gwarantuję ci, że mówi poważnie.

- Mogę cię odwiedzać? - zapytał Spencer.

- Kiedy tylko zechcesz - odpowiedziała.

- Was oboje? - Spojrział na Beau.

- Oboje - przyrzekł uroczyście Beau.

Jordan poczuła skurcz w żołądku. Próbowwała się uspokoić, ale bezskutecznie. Będzie widywać Beau po powrocie do Waszyngtonu. Choćby tylko dla dobra Spencera...

- Przykro mi... - Curt znów spojrział na zegarek, a potem na Spencera. - Nie chcę, żebyśmy spóźnili się na samolot - powiedział przepraszająco. - Naprawdę musimy się zbierać.

- Proszę, kolego. - Beau sięgnął do kieszeni, wyjął białą chusteczkę i podłożył ją pod nos dziecka. - Wydmuchaj.

Spencer wyczyścił nos. Głośno. Kilka razy. Beau otarł mu łzy i schował chusteczkę do jego kieszeni.

- Pożyczam ci ją, bo może się przydać - powiedział malcowi. - Pamiętaj, że nawet superbohaterowie czasami płaczą. Ale mnie też będzie potrzebna.

- Dlaczego? Ty też płaczesz? - zapytał chłopiec.

Beau poważnie pokiwał głową i zamknął oczy, przytulając Spencera.

- Będziemy musieli się spotkać. Żebyś oddał mi chusteczkę. Dobrze? Umowa stoi?

- Tak - odparł Spencer.

Beau wypuścił go z objęć. Spencer spojrział na Jordan. Przyklękła przy nim i przytuliła go.

- Trzymaj się, kochanie - szepnęła. - Cały czas będę o tobie myśleć.

- Pa, Jordan - powiedział Spencer.

Ku jej zaskoczeniu, pocałował ją w policzek. Pozwolił, żeby wujek wziął go za rączkę i obaj wyszli z hotelu przez szerokie, oszklone drzwi.

Jordan zaszlochała. Szukała w kieszeniach szortów chusteczki do nosa, ale nie znalazła. Pociągnęła nosem i niezdarnie otarła oczy mokrym rękawem bluzki.

- Dziękuję za to, co zrobiłeś - powiedziała i spojrzała na Beau.

Zaskoczona, zobaczyła, że płakał. Łzy płynęły mu po twarzy. Odprowadzał wzrokiem Spencera i Curta.

- Och, Beau... - Dotknęła ręką jego rękawa.

- Spencer sobie poradzi - powiedział Beau, kiwając głową i próbując się opanować. - Wiem, że tak będzie. Ale będę za nim tęsknił jak wariat.

- Ja też.

Spojrział na nią. Delikatnie otarł wierzchem dłoni łzy z jej twarzy.

- Jesteś taka smutna - powiedział.

- Serce mi krwawi.

- Mnie też. Z powodu Spencera - dodał.

- Z powodu Spencera - zgodziła się Jordan.

Ale chciało jej się też płakać nad sobą. Nad nimi wszystkimi i nad przyszłością, której nigdy nie będzie miała ze Spencerem ani z Beau.

- Co teraz zrobisz? - zapytał Beau.

Odetchnęła głęboko, żeby trochę się uspokoić.

- Pójdę na górę i spakuję rzeczy. Niedługo mam samolot.

- Pomóc ci? Mam trochę czasu - powiedział Beau. - Detektyw Rodgers nie wróci od razu.

- Jasne - zgodziła się Jordan, jakby to było najnormalniejsze w świecie, że Beau pójdzie do jej pokoju.

Ruszyli w stronę windy. Beau objął ją ramieniem. Spojrzała na jego dłoń, a potem na twarz. Był tak blisko niej, że widziała złote plamki w jego oczach. Czowała znajomy, pociągający zapach.

Patrzyli sobie w oczy. Jordan wstrzymała oddech. Zatrzymali się, pochylił się ku niej, a ona zamknęła oczy.

- Muszę cię pocałować - wyszeptał żarliwie. - Przysięgam sobie, że już nigdy tego nie zrobię, ale, Jordan, muszę.

- Musisz - zgodziła się szeptem.

Pocałował ją. Zatraciła się w dotyku jego warg i języka. Nogi się pod nią ugięły, więc mocno trzymała się jego ramion, a on objął ją w talii. Całował ją coraz namiętniej, z rosnącym pożądaniem, przytulając coraz mocniej.

- Chodźmy na górę - wymamrotał, sięgając ręką do przycisku windy. Jordan nie zaprotestowała. Pocałował ją jeszcze raz, z równym żarem. Wiedziała, że nie powinni się tak zachowywać w hotelowym holu. Nie byli już nastolatkami. Ale nie mogła się powstrzymać, podobnie jak Beau.

Zadzwoił dzwonek windy, rozsunęły się drzwi, a oni weszli do środka.

- Trzecie piętro - powiedziała, gdy wyciągnął rękę w stronę przycisków.

- Wiem. Zapamiętałem numer pokoju.

- Zaplanowałaś to sobie? - zapytała, ani trochę nie przejmując się tą myślą. Choć raz nie przejmowała się niczym.

- Nie. Może. Cholera, nie mam pojęcia. Chodź tu. - Wyciągnął do niej rękę, gdy tylko zasunęły się drzwi windy i zostali sami.

Winda ruszyła z szarpnięciem. Jordan stała plecami do ściany, przytulona do Beau. Całował ją żarliwie, ujmując dłońmi jej twarz i wplatając palce we włosy. Chciała zaprotestować, gdy dotarli na trzecie piętro i drzwi znów się otworzyły. Nie miała ochoty ani na chwilę odsunąć się od niego, ale wzięła ją za rękę i wyprowadził do pustego korytarza.

- W którą stronę? - zapytał chrapliwym głosem, ściskając jej dłoń.

Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć. Wreszcie wskazała drogę. Minęli szereg zamkniętych drzwi, ale zauważyła, że jedne, w głębi, są uchylone, a przed nimi stoi wózek sprzątaczkowy. Błagała w myślach, żeby to nie był jej pokój. Chciała zostać sama z Beau, za zamkniętymi drzwiami, nie dbając o konsekwencje.

Liczyło się tylko tu i teraz, jedynie namiętność, która lada moment mogła wybuchnąć z ogromną siłą.

Doszli do wózka sprzątaczkowy. W pokoju był włączony telewizor, a do wanny płynęła woda. Zanim dotarli do pokoju Jordan, minęli jeszcze dwie pary zamkniętych drzwi z wiszącymi na klamkach plastikowymi tabliczkami PROSZĘ POSPRZĄTAĆ.

- To ją zajmie na jakiś czas - powiedział Beau, śmiejąc się cicho. Jordan kiwnęła głową. Gmerała w torebce, szukając karty magnetycznej otwierającej drzwi. Z przerażeniem pomyślała, że ją zgubiła.

- Nie mów, że nie wejdziemy - jęknął.

- Nie mogę... Jest! - Wreszcie znalazła kartę i triumfalnie pokazała ją Beau.

Zaśmiali się. Wziął od niej kartę i przesunął przez elektroniczny czytnik. Szarpnął drzwi. Nie drgnęły.

- Spróbuj jeszcze raz! - ponagliła, bardzo pragnąc zostać z nim sam na sam.

Zrobił to. Bez efektu. Zaklął i znów przesunął kartę przez czytnik.

- Do trzech razy sztuka - ucieszyła się Jordan, gdy zamigotało zielone światelko i drzwi otworzyły się ze szcękaniem.

Beau zaśmiał się, wieszając na klamce tabliczkę NIE PRZESZKADZAJĄC i nogą zamknął drzwi.

Pokój był w takim stanie, w jakim go zostawiła: nieposłane łóżko, ubrania rozrzucone na fotelu, do połowy opróżniona szklanka wody na nocnym stoliku. Okna wciąż były zasłonięte, więc panował w nim półmrok, nie licząc jasnej szczeliny w miejscu, gdzie dwie części zasłon się nie stykały.

Nie było to romantyczne miejsce - zwłaszcza w porównaniu z tarasem z widokiem na rozbijające się o brzeg fale. Ale dla Jordan nie miało to znaczenia. Z Beau wszędzie czułaby się tak samo

wspaniale.

Nie liczyło się teraz nic, co zdarzyło się kiedyś, ani to, co jeszcze miało nadejść. Ważna była tylko terażniejszość. Zamykając oczy, Jordan zapomniała o wszystkim.

Beau wziął ją w ramiona i znów pocałował, rozpalając w niej płomień. Całując się i dotykając, doszli do łóżka. Opadając na pogniecioną, poliestrową pościel, Jordan poczuła, że Beau szarpie jej T-shirt. Uniosła ręce nad głowę, żeby mógł go zdjąć. Przez chwilę całował jej szyję wilgotnymi, zgłodniałymi ustami, a potem sięgnął do zapięcia stanika.

Bez trudu uwolnił jej piersi z bawełnianych miseczek. Zdjął jej biustonosz i rzucił w bok. Wyprężyła plecy, czekając na pieścizoty. Dostała gęsiej skórki w chwili, gdy jego palce i usta dotknęły jej piersi. Czuła, jak sztywnieją jej sutki. Poruszyła się na łóżku, gdy przesunął dłoń niżej, za pasek jej szortów.

Uniosła biodra. Zsunął jej szorty i majtki, a ona zdjęła mu koszulę przez głowę. Pomógł jej trochę, a potem rozpiął guzik spodni. Jego dżinsy i bokserki po chwili wylądowały na podłodze, obok innych ubrań.

Nareszcie nadzy, znów zaczęli się całować i przytulać.

Jordan poczuła pulsowanie w dole brzucha, gdy Beau pocałował ją za uchem i przesunął usta w dół. Znów dotknął wargami jej naprzężonych suteków, pieszcząc je po kolei, aż krzyknęła cicho, rozsuwając nogi.

- Proszę, Beau - szepnęła mu do ucha, gdy układał się nad nią. - Proszę... już.

Zawahał się.

- Otwórz oczy - nakazał chrapliwie.

Zrobiła to.

Spojrzał w jej tęczówki, jakby zaglądał w całą duszę. Oddychał coraz szybciej, podobnie jak ona.

Czas zatrzymał się na dłuższą chwilę. Leżeli tak, patrząc na siebie, przedłużając oczekiwanie.

Wreszcie w nią wszedł. Jordan westchnęła z rozkoszy, szepcząc jego imię. Wciąż patrzyli sobie w oczy, gdy zaczął się poruszać w odwiecznym, namiętym rytmie. Wtórowała mu, poruszając

biodrami. Czula narastajace napiecie. Wiedziala, ze gdyby przerwal, po prostu by umarla.

Ale on nie zatrzymywal sie, nawet wtedy, gdy zaczela jeczec i drzec. Po chwili zatracila sie calkowicie w rozkoszy. Beau wypowiadal jej imie, poruszajac sie coraz szybciej, az wreszcie opadl wyczerpany.

Dotknela jego spoconych wlosow. Gladzila je, gdy namietnosc ustepowala miejsca spokojnemu zadowoleniu.

Beau obudzilo pukanie i kobiecy glos z dziwnym akcentem, woajacy:

- Halo? Halo? Jest tu kto?

Otworzyl oczy.

Zobaczyl, gdzie jest - w pokoju hotelowym, w ktorym panowal popoludniowy polmrok - i uswiadomil sobie, co sie stalo.

- Hm? - mruknela przez sen Jordan, naga w jego ramionach.

- Jesteśmy! - zawolal do sprzaczki. - Proszę nie wchodzic!

- Musze posprzaczac pokoj! - odkrzyknela z korytarza. Widzial klin swiatla, wpadajacy przez uchylone drzwi. - Powinni go panstwo dawno opuscic.

- Zaraz wyjdziemy - powiedziala Jordan, wrywajac sie z objec Beau i rozgladajac sie po pokoju, jakby nie wiedziala, co sie dzieje.

Beau usiadl. Spojrzal na bezladny stos ubrań przy lozku.

- Wrócę za pięć minut! - zawolala kobieta, wzdychajac glosno z niezadowolenia. - Ale nie pozniej. Bo beda panstwo musieli zaplacic za nastepna noc!

Beau chcial jej powiedziec, ze wcale mu to nie przeszkadza. Wyslac ja do recepcji, zeby przedluzyla pobyt. Byloby cudownie wrócic do lozka z Jordan. Spojrzal na nia. Stala naga przy lozku. Wygladala pieknie z potarganymi wlosami i zaskoczonym wyrazem twarzy.

- Która godzina? - zapytala.

Zerknal na zegarek.

- Po drugiej.

- Po drugiej! - powtorzyla. - Musze jechac na lotnisko.

Zaczela wrzucac rzeczy do plastikowej torby: szorty, T-shirt,

buty, szczotkę do włosów. Nagle zorientowała się, co robi. Po kolei wyjmowała ubrania z powrotem i wkładała na siebie. Patrzył, jak pośpiesznie zapina stanik. Gdy włożyła T-shirt, poczuł ukłucie rozczarowania. Nie chciał, żeby się ubierała, śpieszyła, wychodziła. Wolałby, żeby leżała w jego ramionach, rozleniwiona i namiętna.

- Nie musisz jechać - powiedział, przeciągając się.

- Muszę. W pozostałych samolotach dzisiaj nie ma miejsca. Szczęście, że udało mi się kupić bilet.

- Możesz tu zostać i wrócić ze mną samochodem.

Włożyła białe, bawełniane majtki. Pokręciła głową.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo już zadzwoniłam do wspólnika i obiecałam, że jutro będę w pracy - odpowiedziała.

Wydało mu się to żalną wymówką. Ona chyba uważała tak samo, bo znieruchomiała na chwilę z dziwnym wyrazem twarzy. Ale zaraz sięgnęła po szorty. Chciał zaprotestować, błagać, żeby z nim została. Ale jej szybkie, pewne ruchy - i fakt, że wspomniała o pracy w Waszyngtonie - sprawiły, że do pokoju natychmiast wróciła rzeczywistość, szara jak światło wpadające przez szczelinę między zasłonami.

Musiała wrócić, a on - zostać. Tak powinno być.

Chyba żeby zapragnął czegoś więcej.

Czy chciał czegoś więcej? Kręciło mu się w głowie. Tak czy nie? Oczywiście, że nie, powiedział sobie stanowczo w myślach. Przecież podjął już decyzję - nawet kilka razy. Miał zamiar żyć dalej własnym życiem, podobnie jak ona. Ostatnie godziny namiętności spełniły swoje zadanie. Beau zaspokoił żądzę. To było pożegnanie.

Jordan poszła do łazienki, biorąc torbę. Słyszał, jak wrzucała do niej przybory toaletowe. Zamknęła drzwi. Usłyszał szum płynącej wody. Beau wstał z łóżka i też się ubrał.

Podszedł do okna, żeby odsłonić zasłony. Pokój natychmiast wypełnił się światłem, ale mimo wszystko nie wydawał się jaśniejszy. Niebo było zachmurzone.

Spojrzał na przynębiająco szare podwórko: zaniedbane krzewy, zasłonięte plastikowymi płachtami leżaki i brzydki, odrażający

basen. Wyobraził sobie, co by powiedziała Lisa, widząc to, co on. I co powiedziałyby jego matka. Obie stwierdziłyby, że to nie jest miejsce dla Beau Somerville'a. Pomyślał o splocie wydarzeń, które go tu sprowadziły. Nagle uznał je wszystkie za nierealne.

Po jakimś czasie Jordan otworzyła drzwi łazienki. Spojrzał zaskoczony. Tak się zamyślił, że prawie zapomniał o jej obecności. Wyglądała niezwykle schludnie. Uczesała włosy i ściągnęła je w koński ogon, wpuściła T-shirt w szorty. W ręce trzymała plastikową torbę z rzeczami.

- To wszystko?

- To i torebka. Pozostałe rzeczy są w domu na plaży. Jeśli coś się zachowało...

- Zawiadomię firmę, która go wynajmuje, żeby ci je odesłała. Niczym się nie martw - powiedział i wskazał dłonią jej torbę z ubraniami. - Podrzucić ci te rzeczy? Żebyś nie musiała brać plastikowej reklamówki do samolotu...

Podniosła wzrok, chyba zainteresowana. Pomyślał, że się zgodzi.

- Podrzucę ci je, kiedy wrócę do miasta - dodał.

Wyraźnie posmutniała.

- Nie trzeba. Wezmę ją sama. Nie jest ciężka.

Nie chce mnie więcej widzieć, pomyślał.

- Zadzwońię do ciebie, żebyś podała mi nowy adres i numer telefonu Spencera - powiedział, chcąc się upewnić, że nie rozmawia z nią po raz ostatni.

- Curt weźmie Spencera ze sobą - odparła, wzruszając ramionami. - Wynajmie mieszkanie... jeszcze nie wie, gdzie.

- Och. - Odetchnął głęboko. - Chciałbym się zobaczyć ze Spencerem, jeśli cię odwiedzi. Proszę, powiedz mi, kiedy to będzie. Dobrze?

Po raz pierwszy od wyjścia z łazienki spojrzała mu prosto w oczy.

- Jeśli mnie odwiedzi, dam ci znać.

Cholera, co jej się stało? Czyżby nie chciała, żeby zobaczył się ze Spencerem?

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Muszę tu natychmiast wejść! - zawołała sprzątaczką. - Bo

inaczej wezwę kierownika.

- W porządku - powiedziała Jordan, podchodząc do drzwi i otwierając je. - Jesteśmy gotowi.

Zanim Beau minął otyłą, poirytowaną sprzątaczkę, Jordan była już w połowie korytarza.

- Jordan! - zawołał, biegnąc za nią.

- Śpieszę się - rzuciła przez ramię. - Bo ucieknie mi samolot.

- Podwiozę cię na lotnisko.

- Nie trzeba. Zamówiłam samochód. Mam nadzieję, że nie odjechał.

Otworzyła drzwi na klatkę schodową i pomachała mu ręką.

- Nie mam czasu czekać na windę. Na razie, Beau.

I zniknęła.

Stał nieruchomo, patrząc za nią. Poczul chłód i pustkę. Przecież tego chciałem, przypomniał sobie w myślach. Właśnie tego, krótkiego, zdecydowanego rozstania. Żadnych ckliwych pożegnań. Tak będzie najlepiej, uznał, wciskając przycisk przywołujący windę.

Powiedział sobie, że jeśli samochód odjechał, to on odwiezie ją na lotnisko. Ale bardzo długo czekał na windę.

Zjeżdżając powoli na parter, postanowił, że ją zatrzyma. To była nieracjonalna, desperacka myśl. Nie miał pojęcia, jak to zrobić. Wiedział tylko, że Jordan nie mogła odjechać. Że postąpiłby źle, pozwalając jej odejść. Może byłby to największy błąd w jego życiu.

Wreszcie wyszedł do holu i spojrzał na oszklone drzwi, przez które dwie godziny wcześniej wyszedł Spencer. Zobaczył na parkingu samochód z napisem LOTNISKO. Z tyłu siedziała jedna osoba. Rozpoznał zarys głowy z końskim ogonem.

Odchodzi z mojego życia, a ja jej nie zatrzymuję, pomyślał patrząc, jak samochód wyjeżdża na ulicę. Ale nie mógł się ruszyć.

Mieszkamy w jednym mieście, mówił sobie w myślach. Zadzwonię do niej po powrocie. Skontaktuję się z nią. Może nawet się spotkamy.

Ale wiedział - niestety i na pewno - że tak się nie stanie. Zaprzepaścił ostatnią szansę. Postanowił w windzie, że jeśli los tak zechce, to ona będzie jeszcze w holu. A może nawet będzie na niego czekać. Powie, że nie wyjedzie.

Ale ona odjechała, nawet się nie odwróciła.
Najwyraźniej tak zrządził los.

Rozdział 15

Jordan!

Zaskoczona, spojrzała na Jeremy'ego Van Pragma.

- Musisz na mnie krzyczeć? - zapytała, krzywiąc się.

- Tak, muszę. - Potrząsnął swoimi ufarbowanymi na blond włosami. - Kilka razy grzecznie powiedziałem twoje imię, ale nie poskutkowało. W jakim świecie jesteś?

Pokręciła tylko głową, nie chcąc mu opowiadać, o czym myślała. Zmusiła się, by wrócić do rzeczywistości, do znajomego, przestronnego i jasnego biura na parterze ładnego, ceglanego domu.

Wskazała na kartkę, leżącą przed nią na biurku, chociaż nie zerknęła na nią ani razu w ciągu ostatniego kwadransa.

- Zastanawiam się, ile kupić truskawek i białej polewy czekoladowej na wesele Murphy'ego, które będzie w przyszły weekend. O co chodzi?

- Święto Pracy - powiedział Jeremy, przysiadając na jej biurku i wymachując nogami jak dziecko. - Dasz sobie sama radę z piknikiem u Tremella?

- Pytasz mnie o to z tak małym wyprzedzeniem? - zerknęła w kalendarz. - To za niecały tydzień, Jeremy!

- Wiem, ale szef Paula zgodził się, żebyśmy przyszli razem na doroczne przyjęcie na plaży z okazji końca lata - powiedział Jeremy.

- Podejrzewam, że kilku republikańskich senatorów odwołało przybycie, więc nikt nie będzie oburzony, kiedy Paul przyjdzie z facetem.

- Ja będę oburzona - powiedziała Jordan. - Myślałam, że pomożesz mi w organizacji pikniku.

- Paul i ja zawieziemy rzeczy do Murphy'ego - obiecał Jeremy. - Zatrudnisz kilku mięśniaków do sprzątania. Mówiłem, żebyś znalazła kogoś na miejsce Amy i Roba.

Amy i Rob byli studentami, zatrudnionymi w firmie na wakacje. Oboje kilka dni temu wrócili na uczelnię. Jordan naprawdę

zamierzała znaleźć personel na jesień, bo wtedy zawsze było dużo pracy, ale z jakiegoś powodu nie zdążyła się tym zająć.

Tego lata wiele się zdarzyło i trzeba przyznać, że nie była tak skupiona na pracy co zwykle. W ciągu ostatnich tygodni spędzała dużo czasu na rozmyślaniach.

Dziewięć tygodni. Miała już pewność, że nie jest w ciąży.

Z początku tylko robiła sobie wyrzuty z powodu swojej bez troski tamtego popołudnia. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby jakoś się zabezpieczyć. Pomyślała o tym, kiedy było już za późno - w samochodzie, jadącym na lotnisko.

Przez następne tygodnie modliła się o miesiączkę. Ale czasami, gdy wraz z zapadnięciem zmroku ogarniała ją samotność, czuła nieracjonalną nadzieję, że jej jednak nie będzie. Była.

Jordan nie miała wieści o Beau, odkąd zostawiła go w obskurnym hoteliku w Karolinie Północnej. Z biegiem czasu zajmował coraz więcej miejsca w jej myślach, choć powinno być odwrotnie. Wspomnienia były wciąż żywe. Ciągle o nim myślała, była ciekawa, jak on się czuje i co robi.

Nawet nie mogła zapytać o niego Andrei MacDuff, która na całe lato pojechała z mężem do Luizjany i miała wrócić do Waszyngtonu dopiero we wrześniu, na wznowienie obrad Senatu po wakacyjnej przerwie.

Jordan coraz częściej myślała też o Spencerze. Z początku dzwoniła do niego co tydzień, ale teraz nie wyobrażała sobie dnia bez rozmowy telefonicznej. Spencer zamieszkał jednak z wujostwem w Pittsburghu. Curt powiedział, że postarają się z Sue wytrzymać razem pod jednym dachem, dla dobra swoich dzieci i Spencera.

Ale wczoraj wyznał, że nie układa mu się najlepiej. Postanowił, że gdy jego żona i dzieci zaczną studia, on przeniesie się ze Spencerem do dwu- pokojowego mieszkania w ładnej dzielnicy. Spencer miał całe dni spędzać w przedszkolu. Dziś poszedł tam pierwszy raz.

Jordan zanotowała w myślach, żeby do niego zadzwonić i zapytać, jak było. Kilkakrotnie pytała Curta, czy przywiózłby do niej Spencera, bo bardzo chciała go zobaczyć. Ale Curt był bardzo zajęty własnymi kłopotami i sprawami prawnymi Phoebe i Reno, więc nie

miał czasu na podróż.

Wiedziała, że Spencer kontaktował się też z Beau. Kilka razy w rozmowie wymienił jego imię. Jordan musiała się bardzo starać, żeby nie zapytać o niego Spencera i żeby nie błagać o kolejne wieści.

- Ziemia do Jordan! Jordan, zgłoś się! - zanucił Jeremy, wciąż siedząc na jej biurku.

Zamrugła i popatrzyła na niego.

- Hm?

- Pytałem, czy masz ochotę na kawę. Idę do Starbucks na słodki, pyszny i tuczający napój z kofeiną. Przynieść ci coś?

- Nie, dziękuję - wymamrotała Jordan, skubiąc koniec ołówka, który trzymała w dłoni.

Myślała o paczce, którą w zeszłym miesiącu dostała od agencji wynajmu domów. Wewnątrz znajdowały się porządnie zapakowane rzeczy, które zostawiła w domu na plaży. Nie było ich wiele. Tylko ubrania, które leżały w komodzie, oraz przybory toaletowe.

Wiedziona impulsem, wyrzuciła szampon. Nawet nie pachniał miodem, ale wiedziała, że już zawsze przypominałby jej słowa Beau i to, co czuła, gdy ukrywał twarz w jej włosach...

- Jordan. - Jeremy pochylił się ku niej, patrząc przez okulary w jej twarz. - Dobrze się czujesz?

- Jasne.

- Nieprawda - zaprzeczył, kręcąc głową. - Znowu myślisz o Panu Cudownym i Młodszym Panu Cudownym.

- Nie!

- Tak, Jordan. Widzę to w twoich oczach. Na miłość boską, zadzwoń do niego!

- Dzwoniłam. Wczoraj wieczorem. Dziś też zadzwonię i zapytam, jak było w przedszkolu.

- Nie mówiłem o chłopcu i dobrze o tym wiesz - powiedział Jeremy.

Popatrzyła na niego gniewnie. Odwzajemnił spojrzenie.

Jeremy oczywiście wiedział o wszystkim. Opowiedziała mu całą historię ze szczegółami, od razu po powrocie. Nie mogła się powstrzymać. Gdy tylko go zobaczyła, z płaczem padła mu w ramiona. To było zrozumiałe, że Jeremy, stary kolega i wspólnik,

pocieszał ją w trudnych chwilach. Ale nie miała zamiaru słuchać jego rad, choć na pewno chciał dobrze. Jeremy uwielbiał staromodne, przesłodzone romanse z happy endem.

- Jeremy, ile razy mam powtarzać, że nie zadzwonię do Beau? Przystaniesz wreszcie?

- Nie. Nie przestanę. Powinnaś zadzwonić.

- Mowy nie ma! - Ugryzła ołówek tak mocno, że poczuła smak drewna.

Rzuciła go na biurko i spojrzała krzywo na Jeremy'ego.

- Chyba chciałeś iść do Starbucks.

- Idę - powiedział, wstając z biurka i kręcąc głową. - Ale myślę, że popełniasz ogromny błąd. Założę się, że Pan Cudowny siedzi teraz w swoim gabinecie i myśli o tobie.

- Tak, jasne - mruknęła, wracając do zamówienia na truskawki. Jeremy poszedł w stronę drzwi.

- Czytałeś moją wiadomość o spotkaniu z Landrym w przyszłym tygodniu? - zapytał Ed, zaglądając do zagraconego gabinetu Beau.

- Hm? - Wyrwany z rozmyślań, Beau podniósł wzrok.

- Landry - powtórzył Ed. - Widziałeś wiadomość? O spotkaniu?

- Widziałem - odpowiedział Beau, wracając do rzeczywistości. Spojrzał na biurko, szukając notesu. - Zapisałem. Przyjdę.

- W porządku. - Ed spojrzał na Beau, mrużąc oczy. - Dobrze się czujesz?

- Jasne. - Beau bawił się myszką komputera. Na monitorze widać było projekt nowego kompleksu biurowego dla ważnego klienta. Beau pracował nad nim już od kilku dni, ale szło mu wolniej, niż powinno.

- Jak się ma chłopiec? - zapytał Ed, opierając się o ceglana ścianę i splatając ręce.

- Spencer? - Beau westchnął. - Na tyle dobrze, na ile jest to możliwe w jego sytuacji. Rozmawiałem z nim wczoraj. Dzisiaj poszedł do przedszkola. Na cały dzień. Przeprowadzają się z wujkiem do nowego mieszkania.

- Mówiłeś.

- Tak? Przepraszam.

Ed uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Nie ma za co. Ja też pewnie się powtarzam, opowiadając ci o swoich dzieciach.

Ale Spencer nie jest moim dzieckiem, pomyślał Beau. Przed oczami pojawił mu się Tyler. Na myśl o uśmiechniętej twarzy syna sam uśmiechnął się z czułością. Obraz w jego myślach przybrał rysy innego chłopca. Spencera.

Beau bardzo za nim tęsknił. Chciał go przytulić i pocieszyć. Regularne rozmowy telefoniczne ze Spencerem - a także od czasu do czasu z jego wujkiem - nie ukończyły jego tęsknoty. Przeciwnie, brakowało mu go coraz bardziej. Pojawiło się też inne uczucie, które nigdy na długo nie opuszczało jego myśli, a związane było z... Jordan.

- Co ci jest? - zapytał Ed, przyglądając mu się uważnie.

- Nic. - Beau starał się nie okazywać emocji. - Po prostu za nim tęsknię. To wszystko.

- Może więc go odwiedzisz?

- To nie jest dobry pomysł - powiedział Beau. - Nie chcę zepsuć tego, co stara się osiągnąć jego wujek.

- Być może wszystkim by dobrze zrobiło, gdybyś na jakiś czas odciążył Curta i wziął chłopca do siebie - zaproponował Ed.

- To niemożliwe! - zaprotestował Beau, chociaż bardzo by tego pragnął. Od razu wyobraził sobie, jak chodzi ze Spencerem na boisko, do sklepu z zabawkami i do McDonalda na Happy Meal. Dałby chłopcu miłość i prezenty. Wieczorami otulałby go kołdrą, rano robiłby mu śniadanie, nosiłby go na barana i nauczył jeździć na skuterze...

- Dlaczego to niemożliwe, Beau?

- Bo spędziliśmy razem tylko tydzień, kiedy było mu bardzo ciężko - wyjaśnił Beau, z trudem wracając myślami do rzeczywistości. - Nie jestem jego krewnym. Nie znałem jego rodziców. Prawnym opiekunem Spencera jest jego wuj. Nie mogę się wciskać tam, gdzie nie moje miejsce.

- A Jordan? - zapytał Ed.

- O co ci chodzi? - Beau stłumił niechciane uczucie, które pojawiło się, gdy usłyszał jej imię. - Ona też nie ma związku z

przyszłością Spencera.

- A z twoją? - zapytał cicho Ed.

- Ed, przecież wiesz, że nie szukam...

- Tego nie trzeba szukać. Czasami to po prostu dzieje się samo - powiedział Ed. - A wtedy trzeba łapać uczucie i nie rezygnować.

- Może ty tak postępujesz - upierał się Beau. - Ja nie. Podoba mi się życie, jakie prowadzę.

- Żyjesz wyłącznie pracą. - Ed był równie nieugięty. - Wybacz, ale nawet to nie idzie ci najlepiej. Wciąż jesteś zamyślony. Dopóki nie podejmiesz decyzji...

- Co niby mam zrobić? - wybuchnął Beau, czując, że ze złości czerwienieją mu policzki. - Ożenić się z nią?

- Być może - powiedział Ed, wzruszając ramionami. Beau pomyślał z zazdrością, że Edowi łatwo jest mówić takie rzeczy. Był szczęśliwym mężem kobiety, którą kochał od wczesnej młodości i ojcem trzech cudownych, zdrowych córek. Miał wszystko, co liczyło się w życiu, i chyba myślał, że każdemu człowiekowi jest równie łatwo to osiągnąć.

Beau odchrząknął.

- Do cholery, Ed, ja się już nie ożenię. Dobrze o tym wiesz - powiedział chrapliwie.

- Nie sądzę, żebyś sam coś wiedział na ten temat.

Ed włożył ręce do kieszeni i wyszedł z gabinetu, pogwizdując. Beau patrzył za nim wściekły. Serce biło mu tak mocno, jakby przed chwilą ukończył maraton.

Jordan zadrżała z zimna i zamknęła okno samochodu. Skręciła właśnie w ulicę prowadzącą do jej domu. Choć do pierwszego dnia kalendarzowej jesieni został jeszcze miesiąc, czuła, że już kończy się lato.

Może będzie jej łatwiej zapomnieć o Beau i Spencerze, kiedy nastaną jesienne chłody, zwiastujące niedalekie ferie świąteczne i śnieg. Przypomniała sobie, że Beau mówił Spencerowi Jak czeka na śnieg, bo pierwszy raz spędzi zimę na północy kraju. Beau, Spencer... Znowu!

Sfrustrowana Jordan włączyła radio. Było ustawione na jej

ulubioną stację. Samochód wypełniła muzyka. Mick Jagger śpiewał, że czeka na przyjaciela. Stojąc pod światłami, Jordan słuchała znajomej piosenki. Melodia Rolling Stonesów przypomniła jej Beau. Słuchali ich płyty podczas niekończącej się, męczącej podróży do Karoliny Północnej. Nie było tam akurat tej piosenki, ale to nie miało znaczenia.

Chyba wszystko kojarzyło jej się z Beau.

Włączyła automatyczne wyszukiwanie w radiu. Zmieniło się światło, więc ruszyła. Z odbiornika, przestrajającego się ze stacji na stację, dobiegały urywki znajomych piosenek i głosów.

Zdecydowała się na audycję informacyjną, sądząc, że wiadomości nie skłonią jej do żadnych wspomnień. Ale gdy spiker czytał prognozę pogody, znów cofnęła się myślami w czasie.

Zastanawiała się, jak powinna była wtedy postąpić. Szukała w pamięci tego momentu, kiedy trzeba było zachować się inaczej. Bo chociaż próbowała się cieszyć życiem, do którego wróciła po tamtych dniach, nie mogła już zaprzeczyć, że czegoś w nim brakowało.

A raczej kogoś, z kim mogłaby je dzielić.

Nie cieszyły jej już samotne negocjacje z klientami, planowanie przyjęć i poszukiwanie przepisów kulinarnych. Nie miała ochoty polować na czternaście niewymiarowych obrusów z nadrukowanymi bzami na przyjęcie z okazji szesnastych urodzin córki polityka czy na dwieście idealnie okrągłych, dużych i czerwonych jabłek na przyjęcie dla burmistrza Nowego Jorku. Nudziły ją kompozycje kwiatowe, przystawki i lodowe rzeźby. Znudziła ją praca, która kiedyś była sensem jej życia.

Ale Jordan nie chciała też siedzieć w domu. Wydawał się jej dziwnie pusty i cichy. Spencer mieszkał w pokoju gościnnym zaledwie kilka dni, ale teraz co rano, przechodząc obok zamkniętych drzwi, przypominała sobie ze smutkiem, że chłopiec już tam nie śpi. Tęskniła za nim i za Beau.

Mimo że spędzone w trójkę dni upłynęły w atmosferze zagrożenia, nie mogła nie wspominać ich z rozrzewnieniem. Ale nie chciałyby cofnąć się w czasie, nawet gdyby to było możliwe. Wołałaby... To marzenie nie mogło się spełnić. Chciała żyć dalej z

Beau i Spencerem. Zacząć tam, gdzie przerwali... Rozpocząć życie od nowa...

Może powinnam znów umówić się z kimś na randkę, pomyślała bez przekonania. Może znajdę pokrewną duszę. Kogoś bardziej odpowiedniego dla mnie niż Beau Somerville. Spokojnego, mocno stojącego na ziemi mężczyznę, na którym zawsze można polegać.

Ale przecież Beau właśnie taki jest, pomyślała, kręcąc głową. Chociaż nie odpowiada wyobrażeniom o grającym w szachy, ubranym w rozpinany sweter jegomościu.

Nie mogła odpędzić myśli, że dobrze by było, aby Beau się ożenił. Z nią.

On powinien być moim mężem.

Akurat! A Ziemia powinna przestać się obracać.

Skręcając w swoją uliczkę, Jordan starała się nie myśleć o czekającym ją wieczorze, czy raczej jego części. Wiedziała, że odgrzeje duszoną paprykę, bakłażana i zupę, które przygotowała wczoraj, eksperymentując przed jesiennym przyjęciem, organizowanym przez jej firmę. Uznała, że w zupie jest za dużo kurczaka i brakuje ziół, ale mimo to smak nie był zły. Zresztą nie miała w domu nic więcej do jedzenia. Szafki i lodówka świeciły pustkami.

Może posłucha muzyki poważnej, wypije kieliszek wina i przeczyta ostatnie wydanie „Smakosza”. To będzie miły, odprężający wieczór, przyrzekła sobie w myślach, parkując. Odprężający, nie samotny! Ale wysiadając z samochodu, czuła w sobie narastającą pustkę.

Latarnie były już zapalone, na niebie świecił księżyc w pełni. Jej buty na płaskim obcasie cicho stukwały po chodniku, gdy szła do domu. Klucze, które trzymała w dłoni, metalicznie dzwoniły. Słyszała cykady i warkot samochodów, dobiegający z głównej ulicy. Wszystko wyglądało jak zwykle.

Ale coś się zmieniło.

Zwolniła, patrząc na swój dom. Poczowała, że nie jest sama, zanim jeszcze zobaczyła stojącą przy drzwiach sylwetkę. Zatrzymała się. Serce podskoczyło jej do gardła.

Calacci nie żył. Wiedziała to.

Przecież była przy jego śmierci.

Detektyw Rodgers informował ją o postępach śledztwa przeciwko Gisonniemu. Obciążające zeznanie jego współnika gwarantowało, że długo nie wyjdzie z więzienia.

Jordan stała nieruchomo, wpatrzona w mężczyznę na progu. Przerazające myśli wirowały jej w głowie. Gisonni mógł uciec z aresztu albo wynająć innego zabójcę, albo...

- Jordan?

Postać obróciła się w jej stronę i usłyszała znajomy głos, którego brakowało jej od dwóch miesięcy.

- Beau - westchnęła, patrząc, jak wszedł w snop światła przy drzwiach.

Nie mogła uwierzyć, że naprawdę tu jest. Jakby wyszedł z jej wyobraźni prosto na próg jej domu. Wyglądał nawet lepiej, niż pamiętała. Wciąż dobrze zbudowany, jasnowłosy, przystojny. Ale w jego twarzy coś się zmieniło.

Przyglądała mu się, gdy do niej podchodził. W bladym świetle latarni i księżycy wyraźnie widziała, że to nie jest ten sam Beau. Wyteżyła wzrok. Nie wiedziała, co jest teraz w jego twarzy, czego nie zobaczyła wcześniej... Nie, nie mogła dostrzec czegoś, czego nie ma. Uświadomiła sobie, że z jego twarzy coś znikło.

Było tak, jakby uniósł jakąś zasłonę rzucającą cień na jego rysy. Nie było w nich widać napięcia i smutku, z oczu nie wyzierała już czujność i rezerwa.

- Co tu robisz? - zapytała chrapliwym z niedowierzania głosem, gdy zatrzymał się metr przed nią.

- Czekam na ciebie - odpowiedział.

Patrzyła na niego, próbując pozbierać myśli.

- Dlaczego? - zapytała wreszcie. - Czy coś się stało?

- Tak.

- Co takiego? - Serce podskoczyło jej do gardła. Spencer? Czy Spencera spotkało się coś złego? Ale czy to możliwe, żeby Beau dowiedział się o tym przed nią?

- Odzyskałem rozsądek, Jordan - powiedział, podchodząc do niej. - To właśnie się stało.

Ujął obie jej dłonie.

Pomyślała, że Beau ma ciepłe ręce, że ona wciąż ściska w dłoni pęk kluczy i że on na pewno słyszy głośne bicie jej serca.

- Co masz na myśli, Beau? - zapytała, choć była pewna, że rozumiała. I że się nie myliła.

- Moje życie jest puste, Jordan. Bez ciebie.

Gdy dotarło do niej znaczenie tych słów, bezwiednie wstrzymała oddech.

- Od dawna było w nim pusto - ciągnął Beau zachrypniętym głosem. - Ale nigdy nie odczuwałem tego tak silnie, jak przez ostatnie dwa miesiące. Nie wiem, dlaczego tak długo tego nie rozumiałem.

Spojrzała na niego, nie ośmielając się jeszcze uwierzyć w jego słowa. Podniósł jej dłonie do swoich ust i pocałował. Popatrzyli sobie w oczy.

- Tęskniłem za tobą, Jordan.

- Beau - powiedziała cicho - ja też za tobą tęskniłam. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo.

Mocniej niż przyznawałam sama przed sobą, dodała w myślach.

Westchnął z ulgą.

- Przepraszam, że wciąż się od ciebie odsuwałem, Jordan.

- Robiłam to samo.

- Wierz mi, nie chciałem tego. Ale z jakiegoś szalonego powodu myślałem, że postępuję słusznie. Wy tłumaczyłem sobie, dlaczego tak mi dobrze z tobą i Spencerem. Myślałem, że po prostu traktuję was jako substytut tego, co straciłem...

- Myślałam tak samo. O tobie - dodała szybko. Słowa popłynęły, jakby odkręciła jakiś kurek. - Kiedy powiedziałeś mi o katastrofie samolotu... Beau, wiedziałam, że wciąż nie możesz się pogodzić ze stratą żony i syna... - urwała, ale wypowiedzenie tych słów nie zabolowało. A twarz Beau nie przybrała znajomego wyrazu żalu.

- Dużo myślałem - powiedział. - Nie udaję, że było mi łatwo ani że w pełni doszedłem do siebie. Ale mam już pewność, że nic więcej nie osiągnę bez twojej pomocy, Jordan.

- Pomogę ci. - Starła się nie zwracać uwagi na wkradające się w jej myśli poczucie rozczarowania.

Potrzebował tylko ramienia, na którym mógłby się wyplakać?

Życzliwej duszy, której mógłby się wyzalić? Jak to możliwe, że opacznie rozumiała jego słowa? Odwróciła wzrok od jego oczu. Spojrzała pod nogi.

Beau delikatnie uniósł jej głowę, zmuszając, żeby na niego popatrzyła.

- Nie rozumiesz, co mam na myśli, Jordan - powiedział cicho. - Nie proszę, żebyś była moją opiekunką. Ani przyjaciółką.

- Nie?

- Nie.

Patrzyła na niego, próbując zaprzeczyć temu, co czytała w jego wzroku. Nie mogła. Gdyby tylko powiedział to głośno.

- Więc... kim mam dla ciebie być, Beau? - zapytała szeptem.

- Żoną.

Serce jej zatrzepotało. Z całej siły starała się utrzymać emocje na wodzy. On nie mógł tego powiedzieć. Na pewno jej się tylko wydawało. On na pewno...

- Kocham cię, Jordan.

Oddychała z trudem. Powiedział to. Była oszołomiona.

- Kochasz mnie? - powtórzyła. Kiwnął głową.

- Kocham. Nie wiem, dlaczego tak długo tego nie rozumiałem. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Wiedz, że nie nadużywam tego słowa.

- Wiem. - Spojrzała mu w oczy. - Kochasz mnie.

- Kocham cię. - Nie mógł się nacieszyć tym, co mówił.

A ona wiedziała, że te słowa nigdy jej się nie znudzą.

- Ja też cię kocham, Beau - powiedziała wreszcie, z całego serca.

Pochylił się i czule ją pocałował. Jeśli nawet w jej umyśle gościła choćby najmniejsza wątpliwość, ten pocałunek ją rozwiął. Ona i on byli dla siebie stworzeni.

Wreszcie przestali się całować i spojrzeli sobie w oczy.

- Tak właśnie powinno być - powiedział, kiwając głową. - Wprost nie do wiary. Jak mogliśmy tego wcześniej nie zauważyć? Straciliśmy tyle czasu...

- Mamy mnóstwo czasu - powiedziała Jordan, dotykając palcami jego policzka.

- Racja - zgodził się Beau, znów pochylając głowę, żeby ją

pocałować. - Wystarczająco dużo.

Epilog

Nocą padało, ale teraz, w sobotni czwarty poranek, o godzinie jedenastej, słońce świeciło jasno, a niebo miało delikatny odcień błękitu. Słynna waszyngtońska wilgotność powietrza gdzieś znikła. Wiał przyjemny, ciepły wiatr.

- Wspaniała pogoda na ślub - powiedział wesoło Jeremy, nalewając sobie kolejną filiżankę kawy z dzbanka, stojącego na blacie w kuchni Jordan.

Jordan słyszała już kiedyś te słowa. Wtedy wypowiedziała je Phoebe, kiedy stały przed lustrem w sypialni Jordan. Przez okna wpadało jasne światło słoneczne.

- Wspaniała pogoda na ślub, Jordan. Słyszałaś to porzekadło? „Szczęśliwa będzie żona, której świeci słońce”. Czy jakoś tak - powiedziała Phoebe, poprawiając fałdy welonu.

- Myślałam, że to deszcz w dniu ślubu przynosi szczęście.

- Tak się tylko mówi pannom młodym, żeby nie było im przykro - wyjaśniła Phoebe, kończąc układanie welonu. - Gotowe. Pięknie wyglądasz.

- Pięknie wyglądasz, Jordan.

Zamrugła i wróciła do terażniejszości, uświadamiając sobie, że te słowa wypowiedział Jeremy. Patrzył na nią z czułością i podziwem.

- Dziękuję. - Westchnęła i stanęła przed lustrzanymi drzwiami szafy, żeby ostatni raz się przejrzeć.

Pomyślała, że wygląda zwyczajnie. Miała dyskretny makijaż i ściągnięte w tył włosy - oczywiście nie gumką, tylko koronkową opaską - w typowym dla siebie stylu. Wybrała prostą biżuterię: sznur pereł na szyi i perłowe kolczyki.

Tak, jej twarz jest zwyczajna. Ale reszta... Wyglądam jak panna młoda.

Była nią. Znowu.

Stłumiła ostatnie wątpliwości, odwracając się w lewo i w prawo i krytycznie przyglądając się swojemu odbiciu. Suknia ze starej koronki w kolorze kości słoniowej nie miała nic wspólnego z tradycyjną suknią ślubną. Była prosta, ale elegancka. Nie miała trenu i sięgała do kostek, odsłaniając buty na płaskich obcasach, z szerokimi noskami. W niczym nie przypominała stroju, który latami wisiał w jej szafie.

Jordan zastanawiała się przez chwilę, czy ktoś zabrał jej starą ślubną suknię, którą we wrześniu włożyła do pojemnika na odzież dla potrzebujących. Nie dbała o to. Nigdy więcej nie chciała jej widzieć ani myśleć o tamtym dniu.

Teraz było inaczej.

- Jesteś gotowa? - zapytał Jeremy, wstawiając filizankę do zlewu i biorąc kluczyki samochodowe.

- Tak - powiedziała z uśmiechem. - Dziękuję, że odwieziesz mnie do kościoła, Jeremy.

- Od czego są przyjaciele? Jeśli tylko twój ojciec nie będzie miał mi za złe...

- Skądże. To bez sensu, żeby jechał aż do Georgetown, skoro hotel, w którym zatrzymali się z mamą, jest naprzeciwko kościoła. Zresztą tata poprowadzi mnie do ołtarza.

Znowu.

Do cholery! Dlaczego wciąż nasuwały jej się wspomnienia tamtego dnia? Czy to jakiś znak? A jeśli Beau... Nie! Nie mogę tak myśleć!

- Wszystko w porządku? - zapytał Jeremy, otwierając przed nią drzwi.

- Tak - odpowiedziała drżącym głosem.

Stojąc na progu, obejrzała się po raz ostatni.

Mieszkanie miało do niej należeć jeszcze dwa tygodnie. Nowi lokatorzy, dalecy krewni pani Villeroy, wprowadzą się dopiero pierwszego lipca. Ale większość rzeczy Jordan była już spakowana i czekała w magazynie. Po powrocie z Europy, dokąd wybierali się z Beau w podróż poślubną, trzeba będzie tylko przyjechać po ubrania.

Potem pojedą do domu na plaży w Delaware, który wynajęli na całe lato. Wybrali Delaware, bo było niedaleko, więc Beau mógłby w

razie czego dojeżdżać do biura, chociaż zamierzał głównie pracować w domu. To miejsce spodobało im się również dlatego, że chcieli zacząć wszystko od nowa. Nie przypominało im straszliwych wydarzeń sprzed roku.

Chcieli odpocząć i zapomnieć.

Zamierzali wrócić do stolicy jesienią i wprowadzić się do nowego, dwupiętrowego domu w stylu kolonialnym, na dwudziestohektarowej działce w Wirginii. Beau zaprojektował ten dom z myślą o narzeczonej. Była więc wspaniała kuchnia, szklarnia, szwalnia, ogrody... I oczywiście wielka bawialnia. Obręcz do koszykówki, zawieszona nad garażem. A także największy drewniany plac zabaw, jaki Jordan kiedykolwiek widziała - z huśtawkami, zjeżdżalnicami i drabinkami w kolorowe wzorki. Doskonali dla...

- Jordan? - ponaglił łagodnie Jeremy, dotykając jej ramienia.

- Dobrze. Chodźmy. - Uśmiechnęła się do niego.

Gdy wyszli za próg, padły na nich jasne promienie czerwcowego słońca. To był piękny dzień na ślub. Gdy jechali do kościoła, Jordan jeszcze raz przypomniała sobie tamten dzień sprzed pięciu lat...

- Jedziemy do kościoła - śpiewała Phoebe na całe gardło, gdy limuzyna wiozła je znajomymi ulicami Glen Hills. - Na śluuuub!

Stara piosenka dźwięczała w głowie Jordan, gdy Jeremy przeciskał się samochodem przez zatłoczone ulice Georgetown. Chociaż Beau zaproponował, żeby pojechała limuzyną, odmówiła. Nie chciała żadnych skojarzeń z tamtym dniem, poza tym wolała skromną uroczystość.

Wychodziła za jednego z najbogatszych mężczyzn w kraju, ale nie zależało jej na limuzynie z kierowcą i całym tym blichtrze. Nie szukała niczego...

A znalazła to, co najcenniejsze.

W czasie jazdy Jeremy mówił o przyjęciu weselnym, które przecież organizował, o planach rozwoju ich firmy i o nowych, ważnych klientach. To teraz jego firma, poprawiła Jordan w myślach. Niedawno sprzedała mu swoją połowę, prawie bez żalu.

Będą ją teraz zaprzętać inne sprawy. Beau żartował, że nie będzie miała czasu nawet dla niego. Z uśmiechem wyjrzała przez okno, kładąc dłoń na brzuchu. Na jej palcu lśnił platynowy pierścionek zaręczynowy z wielkim brylantem. Kiedy wrócą z Paryża, pewnie będzie już widać. I nie będzie to już ich tajemnicą.

Zaczną myśleć o wyprawce i szkole rodzenia. O odżywkach i kosmetykach. Trzeba będzie uszyć zasłony do pokoju dzieciennego i wyhaftować makatkę w pastelowych kolorach, którą chciała powiesić na ścianie.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Jeremy, parkując przed ładnym, białym kościołem tuż za granicami miasta.

Tak. Dojechali. Spojrzała w stronę kościoła, czekając, aż Jeremy otworzy jej drzwiczki i pomoże wysiąść. Widziała znajome twarze, biały dywan prowadzący do ołtarza i swojego ojca w czarnym smokingu, czekającego, aż poda mu ramię.

Narastał w niej strach. Było tak samo jak wtedy. Odwróciła się od okna, niemal spodziewając się zobaczyć obok siebie Phoebe, która powiedziałaby: „Nie denerwuj się, bo wszystko będzie dobrze”. Przyjaciółki nie było, ale jej głos dźwięczał w myślach Jordan: „Wszystko będzie dobrze”. Te słowa sprawiły, że zrobiło jej się ciepło. Phoebe była przy niej. Jordan czuła to w sercu.

Jeremy otworzył drzwiczki. Wysiadła z samochodu. Uginały się pod nią nogi. Spokojnie, wszystko będzie dobrze. To było wtedy, teraz jest inaczej. Zupełnie inaczej. Teraz jest Beau.

Jordan patrzyła, jak spóźnialscy wbiegają do kościoła. Po chwili Jeremy pocałował ją w policzek, opuścił jej welon i poszedł za nimi. Został tylko ojciec. Przez cieniutki tiul welonu widziała jego uśmiech.

- Ślicznie wyglądasz, kochanie - powiedział.

Kiwnęła głową, nie mogąc wydobyć głosu. Wzięła go pod rękę. Rozległy się dźwięki organów.

To nie był *Kanon D-dur* Pachelbela, tym razem zagrano *Muzykę na wodzie* Haendla.

Jordan spuściła głowę. Drżała. Ojciec poprowadził ją po schodach do drzwi kościoła. Organy umilkły. Przez chwilę w kościele panowała cisza. Wreszcie rozległy się pierwsze tony Marsza

- weselnego Haendla.

Dopiero wtedy, stojąc w progu kościoła, Jordan odważyła się podnieść wzrok. Przez chwilę nie mogła się przyzwyczaić do półmroku.

Dostrzegła Spencera, siedzącego blisko ołtarza. Uśmiechnęła się, gdy na nią spojrział i pomachał ręką. W miniaturowym smokingu, z włosami przeczesanymi na bok, wcale nie wyglądał na pięciolatka. W klapę miał wpiętą herbacianą różyczkę.

Jordan odetchnęła nerwowo, rozglądając się po kościele. Czy to... Zdziwiona, odwróciła wzrok i znów spojrzała w tę stronę. Nie. To tylko światło, pomyślała.

Przez chwilę wydawało jej się, że widzi uśmiechniętą Phoebe w sukni drużyny. Na chwilę zamknęła oczy i usłyszała głos przyjaciółki: „Wszystko będzie dobrze”.

Na pewno? Tyle się zdarzyło: zaręczyny z Beau, sprzedaż udziałów w firmie, plany przeprowadzki i bardzo miła wakacyjna wizyta, podczas której brat Phoebe, Curt, zgodził się, żeby Jordan i Beau byli prawnymi opiekunami Spencera.

Dopiero wtedy wszystko się ułożyło.

Phoebe by tego chciała, powiedział Curt. Spencer potrzebuje matki. I ojca, i rodzeństwa.

Na początek wystarczy jedno niemowlę, pomyślała Jordan. Była pewna, że w odpowiedzi poczuła drżenie w łonie.

Otworzyła oczy i spojrzała w głąb kościoła. Gdzie on jest? Wiedziała, że jeśli go zobaczy... Gdzie on jest? Rozejrzała się uważnie i poczuła strach.

Wtedy Andrea MacDuff, w wielkim kapeluszu, siedząca w drugim rzędzie po prawej stronie, poruszyła głową. Jordan zobaczyła Beau. Patrzył w stronę drzwi kościoła, unosząc głowę i lekko się przechylając, jakby czegoś wypatrywał.

Dostrzegł ją. Ich oczy się spotkały. Uśmiechnął się i ona też się uśmiechnęła.

Wtedy już była pewna, że wszystko dobrze się skończy. Zniknęły resztki strachu.

- Chodźmy - powiedział ojciec, ściskając jej dłoń.

- Tak - zgodziła się Jordan. - Chodźmy.

Przy dźwiękach marsza weselnego szła do swojego narzeczonego, ich dziecka... i szczęśliwej przyszłości.